

ROZMOWA „DO RZECZY”

Profesor Piotr Gliński o ośmiu latach odbudowy polskiej kultury



Po prostu mieliśmy rację
– Warzecha o niedawnych atakach na „Do Rzeczy”

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 40/547 2-8 PAŹDZIERNIKA 2023
CENA 9,90 zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

JANUSZ KORWIN-MIKKE
O POLSCE MIĘDZY
NIEMCAMI,
ROSJĄ I UKRAINĄ
ORAZ O KONFEDERACJI
PO WYBORACH



Jak bezpieka starała się
utrącić Nobla dla Wałęsy

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000
Nakład: 52 000 egzemplarzy



Tak! Należy wyjść z Unii Europejskiej!

ESEJ TOMASZA CUKIERNIKA



Narodowy Bank Polski
informuje:

Dzięki NBP Polska jest na dobrej drodze:

wartość rezerw dewizowych
przekroczyła **180 mld** dolarów,
a zasoby złota zwiększyły się do
ponad **300 ton!**





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

W Warszawie bez zmian

Wiele wskazuje na to, że po 15 października PiS będzie miał po raz trzeci wystarczającą większość głosów, żeby stworzyć samodzielne rządy. Jest to, sądzę, przede wszystkim konsekwencja błędów i słabości opozycji. Mimo że do wyborów zostało raptem kilkanaście dni, można mieć wrażenie, że PO i akolici znaleźli się w ślepym zaułku.

Przed wszystkim, chociaż zwolennicy Tuska ciągle żyją w stanie niemal eschatologicznego uniesienia, głosząc światu prawdę o straszliwych, dziejowych i nieporównywalnych aferach rządu i szerzej prawicy, żadna z nich nie zachwiała istotnie poparciem dla rządzących. Być może największy potencjał miała w sobie tzw. afera wizowa, która pokazała korupcyjny system wydawania wiz w niektórych polskich placówkach za granicą. Jednak nie miała ona takiego wpływu, jak oczekiwała tego Platforma.

PiS szybko zorientował się, na czym polega niebezpieczeństwo, i najpierw pozbył się odpowiedzialnego za błędy wiceministra Piotra Wawrzyka – tak z urzędu, jak z list do Sejmu – następnie zaś, co można uznać za zrządzenie losu albo przebiegły manewr, chorobę ogłosił, i to nie byle jaką, bo COVID, minister Zbigniew Rau. Dodatkowo obwieszczający największą aferę w XXI w. w telewizji marszałek Senatu Tomasz Grodzki nie był w tej roli, pozującego na nieprzekupnego pogromcę korupcji, najbardziej wiarygodny.

Zresztą odwołanie się do kwestii migracji wcale nie było dla PO korzystne. Owszem, wskazując na ogromną liczbę przyjętych przez rząd migrantów zarobkowych, uderzali w czułe miejsce prawicy i mogli dowodzić jej hipokryzji. Jednakże akurat opozycja do roli obrońcy Polski przed napływem

niekontrolowanej fali migracji z Afryki czy Azji nadaje się tak, jak – nie przymierzając – pięść do nosa. Nikt chyba nie zrobił wcześniej tyle, żeby udowodnić, że jeśli wygra wybory, to zlikwiduje mur na granicy z Białorusią i będzie wypuszczał przybyszów na masową skalę, jak właśnie Tusk et consortes. Trzeba tu zresztą powiedzieć, że PO miała wyjątkowego pecha: właśnie wtedy, kiedy mogła się rozkręcić tzw. afera wizowa, postanowiła pokazać swój film w Polsce Agnieszka Holland. Wszystko, co PiS mógł stracić z powodu działań wiceministra Wawrzyka, z nawiązką odzyskał dzięki szaleństwu pani reżyser. Nie tylko zrobiła ona antypolski, propagandowy film, lecz także postanowiła systematycznie obrażać Polaków, przypisując im okrucieństwo, nienawiść, podłość itd., itp.

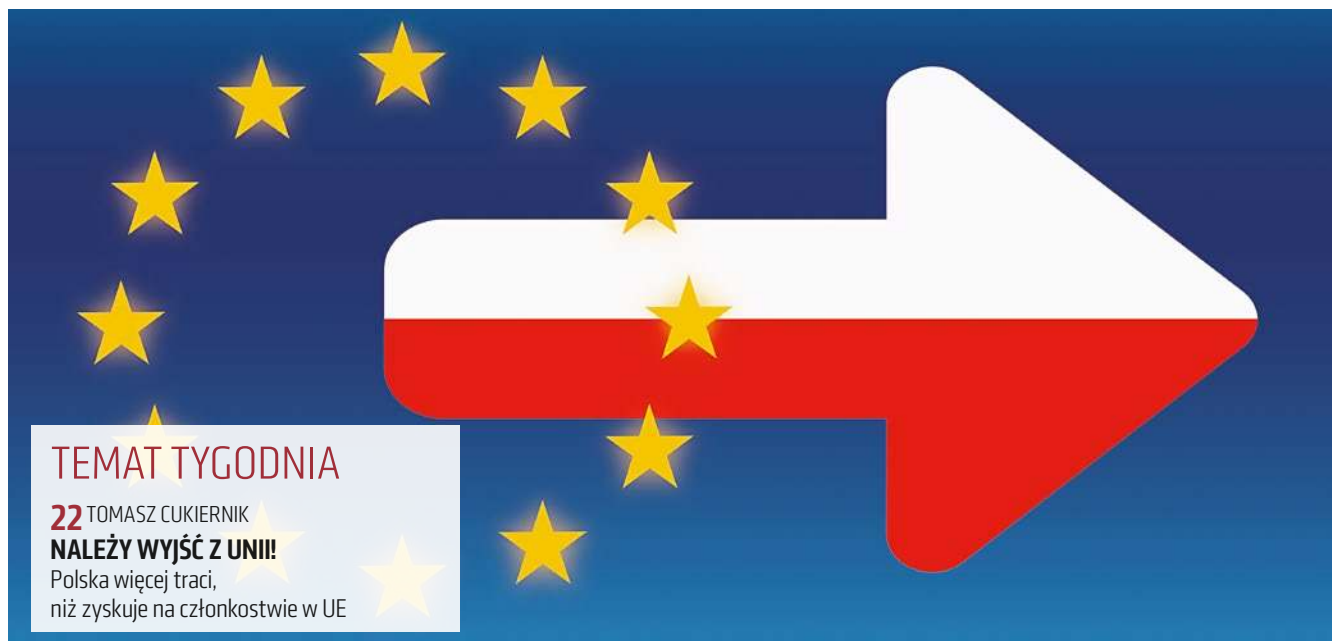
Opozycja podobnie niewiele zyskała na obwieszczaniu innych afer PiS. Desperacja była tak wielka – choć to raczej wyraz rozpacz – że „Gazeta Wyborcza”, niepomna słynnych słów Heraklita, iż nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, postanowiła w najlepsze odpalić starą i zużytą aferę z dwoma wieżami w Warszawie. Główny zarzut opiera się na zeznaniach austriackiego biznesmena, który utrzymywał, że wręczył prezesowi Jarosławowi Kaczyńskiemu kopertę z 50 tys. zł po to, żeby ten przekupił dość tajemniczego ks. Sawicza, który to musiał się podpisać pod wnioskiem o budowę wież. Wizja wszechmocnego prezesa uganiającego się za nieznany szerzej księdzem z gotówką po korytarzach na Nowogrodzkiej i błagającego go w ten sposób o zgodę na podpis – to opowieść, która mogła wywołać rumieńce podniecenia jedynie wśród redaktorów na Czerskiej.

Lepsze efekty polityczne mogło przynieść ujawnienie przez Onet.pl

informacji o prawdziwym majątku premiera Mateusza Morawieckiego. Portal pokazał, że premier zrzęcznie zarządzał swoimi funduszami, skrywając się za intercyzą i bogacąc się na potęgę. Ale i ta historia ma ograniczoną moc rażenia. Owszem, dowodzi ona, eufemistycznie mówiąc, przebiegłości premiera bogacza, strojącego się w szaty Janosika, jednak trudno wskazać, na czym polega tu złamanie prawa. Poza tym: Donald Tusk, który porzucił urząd premiera dla apanaży brukselskich, nie wydaje się być najlepszym sędzią posunąć inwestycyjnych obecnego szefa rządu.

PO nie tylko nie zbudowała czytelnej opowieści o aferach rządu, lecz także do tej pory nie potrafiła zaproponować żadnej realnej nowości politycznej. Co się tyczy rozdawnictwa uprawianego przez rząd, zadeklarowała, że będzie robić to samo, a może bardziej. W sprawach obyczajowych ogłosiła totalną uległość wobec Brukseli, czego ostatnim przykładem była zapowiedź Donalda Tuska, że wprowadzi ustawy pozwalające na szybką zmianę płci, czyli że będzie promował genderyzm. Opowieść o prześladowanych w Polsce kobietach, które masowo giną wskutek braku dostępu do aborcji, skutecznie skompromitowała kilkudniowa gwiazda opozycji, czyli niejaka pani Joanna, wygadując tak niestworzone brednie, że nawet najwięksi aktywiści anty-PiS musieli odczuwać zażenowanie. Teoretycznie opozycja mogłaby zaatakować PiS za nieudolną politykę zagraniczną na Wschodzie, tyle że i tu PO nie ma nic do zaproponowania: była tak samo naiwnie proukraińska i nierealistycznie antyrosyjska jak rządzący.

Po obecnej kampanii będzie zatem można powiedzieć, tak się wydaje, że było w niej dużo dymu bez ognia. ©



KRAJ

26 ROZMOWA Z PROF. PIOTREM GLIŃSKIM
OŚMIEM LAT ODBUDOWY KULTURY
Muzea są dobrze widocznym sukcesem

30 PIOTR SEMKA
ALFABET KAMPAII
RYBKI AKWARIOWEJ

34 ŁUKASZ WARZECHA
W SPRAWIE UKRAINY
„DO RZECZY” MIAŁO RACJĘ

38 AGNIESZKA MARIANOWICZ-SZCZYGIEŁ
GENDER W POLSKIEJ
SŁUŻBIE ZDROWIA

42 ZUZANNA DĄBROWSKA
ODKLEJONY
JAK INFLUENCER

KULTURA

44 PIOTR GOCIEK
DWA KOŃCE EUROPY
Nowe wydanie eseju
Milana Kundery

48 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
48. FPFF W GDYNI.
DRGNIĘCIE W DOBRYM KIERUNKU

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ROZMOWA
Z JANUSZEM KORWIN-MIKKEM
TYLKO BANKRUCTWO
NAUCZY LUDZI ROZUMU
Nie ma mowy o koalicji Konfederacji z PiS czy PO

58 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
SOJUSZNIK ALBO ZASÓB
– WYBÓR UKRAINY

62 PAWEŁ CHMIELEWSKI
SIAŁA HOMOSEKSUALNYCH KLIK

64 KRYSZTOF KRATIUŁ, GRZEGORZ GÓRNY,
PAWEŁ LISICKI
KOŚCIOŁ W CZASACH
WROGIEGO PRZEJĘCIA

HISTORIA

66 GRZEGORZ MAJCHRZAK
WŁADZE PRL KONTRA
NOBEL DLA WAŁĘSY
Kulisy akcji komunistycznych
służb specjalnych

ŚWIAT

70 MACIEJ PIECZYŃSKI
ZBOŻE ROZBRATU
Kryzys okiem ukraińskich mediów

73 WOJCIECH GOŁONKA
MILIARDERKA PODZIELI
UKRAIŃSKI TORT?

76 ROZMOWA Z CSABĄ FARAGÓ
ATAK NA WYBORY
TAK JAK NA WĘGRZECH?

EKONOMIA

80 ROZMOWA
Z MACIEJEM KALWASIŃSKIM
POTĘGA ZAMIAST DOBROBYTU
Jak Xi Jinping przebudowuje Chiny

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (11), GMYZ, GOCIEK (20), ŻEBROWSKI, KOPER (69), PRZYBYLSKI (79), GABRYEL, WARZECHA (82), KOMUDA (86), POSPIESZAŃSKI, KARWELIS (87), JĄSTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (88), SIEDLECKA (89), CEJROWSKI (90)

Z Alior Pay KONTO I KARTA



COFAJ PŁATNOŚCI
Z ALIOR PAY
W ALIOR MOBILE
NA 30 DNI ZA DARMO.
RRSO: 7,9%

za **0 zł**
przez rok!

www.aliorbank.pl

Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) dla limitu kredytowego Alior Pay (dalej: limit) w promocji „Powroty za mniej” wynosi 7,9%, całkowita kwota limitu (bez kredytowanych kosztów): 2700 zł, całkowita kwota do zapłaty: 2821,31 zł, oprocentowanie stałe: 8,91%, całkowity koszt limitu: 121,31 zł (w tym odsetki: 121,31 zł, miesięczna prowizja za spłatę kwoty transakcji Alior Pay w ratach: 0 zł, tj. 0 zł rocznie, przy założeniu, że klient realizuje 1 transakcję Alior Pay w wysokości 2700 zł w dniu zawarcia umowy o przyznanie limitu i spłaci ją w 11 ratach miesięcznych, w tym 10 równych rat w wysokości 256,49 zł, ostatnia rata: 256,41 zł). Decyzja o przyznaniu limitu i jego wysokość zależą od zdolności kredytowej klienta. Kalkulacja dokonana na 1.10.2023 r. na reprezentatywnym przykładzie. Warunkiem skorzystania z ww. promocji jest zawarcie w okresie jej trwania umowy o limit. Aby zawrzeć umowę o limit, należy posiadać w Alior Banku konto osobiste w PLN oraz aplikację Alior Mobile. W promocji „Lepiej z Alior Pay” nie naliczymy miesięcznych opłat za prowadzenie konta osobistego i obsługę karty debetowej przez 12 miesięcy po zawarciu umowy o limit. Ww. promocje obowiązują od 1.10.2023 r. do 31.01.2024 r. Regulaminy powyższych promocji, informacje o limicie, regulaminy kont, kart debetowych i kanałów elektronicznych, Taryfa opłat i prowizji dla Klientów Indywidualnych oraz słownik usług reprezentatywnych dostępne są w placówkach Alior Banku SA i na www.aliorbank.pl.

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Gociak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
Wiesław Chelminiak, Dominika Cioś (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czamecki,
Wojciech Colonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jerzy Karwelski, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torasiński, Piotr Włoczyński, Marcin Wolski, Dariusz Wieronijczyk,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL: redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska**,
Anna Szczepanińska, **Marcin Bugaj**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**,
Grzegorz Grzymowicz, **Dawid Siemkowski**, **Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),

Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład),
Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrycka-Wemerowska**,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYŚOWNICY: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztopa**

Okładka: **Frederick Florin / AFP / East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, **Jolanta Kłoc**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl, tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@mpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż), **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@mpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

Druk: **WALSTEAD CENTRAL EUROPE**

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynnie
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Cebularz lubelski”, „DRz” nr 35/2023

Dzień dobry Paniom,
być może dlatego, że należę do tych, którzy z gotowania potrafią i wodę przypalić, zaczynam „Do Rzeczy” czytać od końca, aby jak najszybciej dotrzeć do „gotujących Sióstr”. Faktycznie, gdy cztery dekady temu dotarłem do Lublina, pierwsze, co mnie zaskoczyło, to cebularz – nieznany wówczas nigdzie indziej w Polsce. Skoro jednak, jak wspominałem, nie poszedłem w ślady śp. Babci (od strony śp. Mamy), która była swego czasu pomocą kucharza na Zamku w Nieświeżu u księżąt Radziwiłłów, to piszę w trochę innej kwestii. Mówiąc o Lubelszczyźnie, wspominają Panie o Pojezierzu Łęczyńsko-Włodawskim, którego de facto nie ma. Pojezierze, owszem, istnieje, ale w okolicach Łęcznej. To, co określiło w PRL jako Pojezierze Włodawskie, to



de facto Polesie. Trochę może kruszę kopię, ale właśnie z racji na zakładanie czasów komunistycznych warto to sprostować. Aby oderwać nas od dziedzictwa RP (nie tylko II RP), ukuto ten zbitek pojęciowy – Pojezierze Łęczyńsko-Włodawskie.

Polesie miało być wymazane z pamięci Polaków i pozostać co najwyżej krainą wiecznego ZSRS. Ukształtowanie terenu, charakterystyka jezior – geografia – same wskazują, że to różne krainy. Bug Zachodni (pamiętajmy, że rzeka Bug – Boh – płynie przez Ukrainę i łącząc się u ujścia z Dnieprem, wpada w cudownym limanie do Morza Czarnego) jest tu jeszcze bardzo wąski. Tak mała rzeka nie była w stanie przedzielić potęgi przyrody Polesia, które się wcale właśnie na niej nie urywa. Na szczęście na obecnych mapach,

w atlasach coraz częściej pada określenie „Polesie” (na ziemię mniej więcej powiatu włodawskiego). To mikroskopijny wręcz „kusoczek” ogromnego bagiennego Polesia (z racji na położenie na wielkiej płycie granitowej) z „sercem” w Pińsku, a ciągnącego się aż za Żytomierz (pod Kijowszczyznę). Po upadku PRL powstał na tym terenie Poleski Park Narodowy (którego przepiękne ścieżki przyrodniczo-historyczno-kulturowe szczerze polecam), a Pojezierze Łęczyńskie „trwa nadal”.

Notabene Lubelszczyzna to faktycznie bardziej określenie obszaru administracyjnego, gdyż teren ten zawiera wiele pięknych i jakże różnorodnych krain na czele chyba z jedynym w swoim rodzaju Roztoczem (od Kraśnika pod Lwów). Choć, fakt, w centrum z Wyżyną Lubelską, ale mało kto wie, że mamy w województwie lubelskim i część Wołynia. Podobna historia jak z wyżej opisanym Polesiem. Powiat Hrubieszowski to „odprysk” Wołynia, który pozostał po tej stronie Bugu Zachodniego. Tu również obecna geografia i kartografia próbują naprawić kolejne kłamstwo komunistyczne. Piękna i jakże różnorodna ta nasza Polska, nawet po przesunięciu w wyniku ostatnich zawieruch dziejowych. Przy okazji jakże dobrze, że za wschodnią granicą mamy niepodległą, przyjazną Ukrainę, dzięki czemu możemy bez przeszkód nawiedzać chociażby Wołyn i choć część południową Polesia (dziś tzw. Polesie Wołyńskie). Daj Boże, aby tak pozostało.

Paniom jeszcze raz dziękuję za piękne teksty de facto o naszym dziedzictwie kulturowym, przekazywane w tak smacznym jego aspekcie. Właśnie szczególnie niskie ukłony za piękną Polszczyznę – naszą Ojczyznę.

Jan Fedirko, Lublin

Od autorek

Bardzo dziękujemy za doprecyzowanie nazwy opisywanego terenu. Wiadomo – wszystko zaczyna się od słowa, od imienia, czyli nazwania rzeczy. Cieszymy się, że i Panu bliskie jest polskie dziedzictwo kultury, tradycji i smaku.

PS Ciekawi nas, czy Pana babcia przekazała jakieś przepisy z czasów swojej pracy na zamku? Chętnie poznamy.

**Pozdrawiamy
gotujące siostry Chruzik**

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

KONFERENCJA

„Prawna obrona przed polonofobią” już w październiku!

KŁAMCY PRZED SĄDEM

Jak Polacy bronią dobrego imienia swojego narodu

SKUTECZNA POLITYKA HISTORYCZNA

Czego Polska może się nauczyć m.in. od Izraela

MANIPULACJE, KŁAMSTWA I POMÓWIENIA

Jak działają środowiska wrogie Polsce

EDUKACJA I WALKA O PRAWDĘ HISTORYCZNĄ NA TEMAT II WOJNY ŚWIATOWEJ

NA PIERWSZY OGIEŃ

Cmentarzysko dawnych nadziei



PIOTR SEMKA

Tyśiące uchodźców opuszczają Górski Karabach i przędzierają się do Armenii po podboju tego regionu przez Azerbejdżan. Górski Karabach dawniej należał formalnie do ZSRS, ale w praktyce mieszkali tam prawie wyłącznie Ormianie. Kiedy w 1991 r. Związek Sowiecki się rozpadł, Ormianie z Górskiego Karabachu powołali własną republikę. Azerbejdżan nie krył, że w wygodnym dla siebie momencie zamierza odbić ten obszar. To, że ta samozwańcza republika Ormian mogła egzystować, było wynikiem cichego wsparcia Rosji, która wspierała Armenię przeciw Azerom.

Jednak gdy w kraju Ormian doszedł do władzy prezydent Nikol Paszinian, zaczął się on starać, aby dobre relacje z Rosjanami równoważyć otwarciem na Zachód. Putin uznał, że trzeba pokazać Ormianom, jak smakuje pełna niepodległość. W rezultacie, gdy doszło ponad rok temu do pierwszej części wojny Azerbejdżanu z Armenią, o wiele silniejsi Azerowie odbili większą część Górskiego Karabachu. Teraz zabrali resztę.

A teraz zwróćmy wzrok na sąsiednią Gruzję. W czasie wojny z Rosją Gruzini stracili 20 proc. swych terytoriów. Próbowali aspirować do NATO, ale Zachód nie zareagował. Dzisiaj Gruzja to kraj pogodzony z rosyjską hegemonią w rejonie. Ani sama nie pcha się do NATO, ani nikt jej tam nie chce zapraszać.

Na casus Armenii i Gruzji patrzy Ukraina. Ona tak samo marzy o wybiciu się na trwałą i bezpieczną niepodległość. Jednak sytuacja Ukrainy po mało skutecznej ofensywie letniej powoli zaczyna się pogarszać.

Wiele państw, takich jak Czechy i Polska, zaczyna przestrzegać Ukrainę przed ulegnięciem obietnicom Niemiec na temat szybkiego wprowadzenia Kijowa do Unii Europejskiej. Wskazują, że UE nie przyjmie kraju, który ma otwarty lub zamrożony konflikt z Rosją.

Europa Środkowo-Wschodnia jawi się dzisiaj jako cmentarzysko nadziei z lat 1990–1999. Takie kraje jak Armenia, Gruzja, Mołdawia czy Ukraina czuły, że będą oddalać się od uzależnienia od Rosji i powoli integrować się z Zachodem. Dziś

decydują siła i przemoc. Ameryka jeszcze jakoś wpływa na rozwój wydarzeń, czy to de facto utrzymując wojnę Ukraińców z Rosjanami, czy też próbując przestrzec Azerbejdżan, że nie pozwoli na pogromy Ormian.

Tyle że podstawowy czynnik lęku w tym naszym rejonie świata – Rosja – wciąż trwa mimo wojny z Ukrainą, a nawet zdążył zapewnić sobie rezerwy walutowe. I nie wiadomo, czy nie uderzy na jakimś innym kierunku.

Jedni walczą tak jak Ukraińcy, inni jak Ormianie odkrywają, co się dzieje, gdy Rosja karze nieposłusznych wstrzymaniem aktywności sił pokojowych w tym regionie, a tacy jak Gruzja przyjmują do wiadomości rosyjską potęgę.

Nasz rejon świata staje się dla małych i słabych coraz groźniejszym miejscem. Na razie mamy ten komfort, że możemy się zbroić i obserwować miejsca, w których rosyjska siła i intryga łamią narodom wschodnioeuropejskim kręgosłup moralny. Pytanie: Czy i dla nas nie nadejdzie za jakiś czas moment próby? ©©



FOT. ADBE STOCK

COVIDOWA NIEGOSPODARNOŚĆ RZĄDU

Najwyższa Izba Kontroli zaprezentowała wyniki kontroli dotyczącej Funduszu Przeciwdziałania COVID-19. Wnioski z niej przekazano do CBA, ponieważ zdaniem Izby kancelaria premiera nie wywiązywała się ze swoich obowiązków i nie zadbała o efektywne zarządzanie tym funduszem. NIK negatywnie ocenił m.in. polskie kontrakty na szczepionki przeciw COVID-19. Kontrolerzy wytknęli, że w Polsce doprowadzono do przeterminowania – a potem utylizacji – 13,1 mln dawek. Kontrolerzy negatywnie ocenili zakontraktowanie części szczepionek o sz-

cunkowej wartości 8,4 mld zł. Zdaniem NIK minister zdrowia podjął decyzję o ich zakontraktowaniu w momencie, gdy poprzednie kontrakty zapewniały już liczbę preparatów wystarczającą do kilkukrotnego zaszczepienia całej populacji Polski, a tempo szczepień wyraźnie zwalniało.

– Nawet wyjątkowe okoliczności nie zwalniają organów państwa od obowiązku gospodarnego wydatkowania środków publicznych – poinformował na konferencji w Warszawie Marian Banaś, prezes NIK.

(luz) ©©

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

XI EDYCJA WYJĄTKOWYCH NAGRÓD STRAŻNIK PAMIĘCI 2023

PARTNER WYDARZENIA



100 LAT
1924-2024
Lasów Państwowych



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Kocopoły z Schengen

Narracje w kwestii „afery wizowej” zmieniały się z dnia na dzień: a to, że PiS sprowadził 600 tys. muzułmanów do Polski, a to, że 60 Hinduśców do Ameryki, a to znowu, że nikogo nie sprowadził, tylko nabrał od Murzynów łapówek, a obiecanych wiz im nie dał. Ostatecznie tefaleńskie wydestylowały z tego przesłanie w tym duchu, że PiS, sprzedając na prawo i lewo („na bazarach”, jak twierdzą politycy opozycji) wizy uprawniające do poruszania w strefie Schengen, nadużył zaufania naszych partnerów z Unii i ci nas teraz za karę z tej strefy wyrzucą, no chyba – oczywiście – że wybierzemy Tuska.

Tę narrację podchwycili politycy niemieccy z samych kanclerzem

Scholzem na czele, uzasadniając „afery wizową” przywrócenie kontroli na granicy z Polską. Połączenie tych dwóch spraw znaczy, że Niemcy mają nas za idiotów – i, niestety, przynajmniej jeśli chodzi o bańkę antypisowską, się nie mylą.

Nawet nie o to chodzi, że według oficjalnych niemieckich danych na polskich wizach wjechało do nich przez ostatnie dwa lata nieco ponad tysiąc osób spoza UE. Nawet dziecko powinno zauważyć, że przecież jeśli ktoś ma taką wizę, to ewentualna niemiecka kontrola musi go wpuścić i już. Nie ma ani prawa podawania w wątpliwość legalności jej uzyskania, ani żadnych narzędzi, by to sprawdzać.

W istocie przywrócenie kontroli na granicach z Polską jest od daw-

na w Niemczech postulowane, ma zatrzymać napływ „nachodźców” Łukaszenki i Putina – którym udaje się przedrzeć przez zapory na naszej wschodniej granicy, umknąć Straży Granicznej i z pomocą Sorosowych „aktywistów” dotrzeć do zbawczych busów przemytniczej mafii. Tylko Niemcom głupio się do tego przyznać, skoro to oni sami wymuszają na całej Europie otwarcie na migrantów, a już Polskę (jak kiedyś Węgry) za pilnowanie granic strefy Schengen kopią szczególnie nie mile i na różne sposoby. Z chęcią uruchomili więc swoich tutejszych „pożytecznych idiotów” i agentów wpływu, a ci chętnie podchwycili, licząc, że pomoże im to w wyborach.

Jak to piszą na titterku: „Nie ma za co”. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Cela Plus demokracja

W historycznej debacie Tusk-Kaczyński w 2007 r. publiczność miała nie zakłócać dyskusji, a już w ogóle nie manifestować wrogości. Mimo to zwolennicy PO buczeli i rzucali obraźliwe uwagi pod adresem premiera Kaczyńskiego. Nie przypominam sobie, by Tusk w jakikolwiek sposób wyraził oburzenie czy choćby dystans wobec ich zachowania. Tak właśnie objął władzę: łamiąc dane słowo, wyborcze ustalenia i reguły, które uznał za właściwe i obowiązujące.

Dziś chce ustanowić własne. Istota jego programu to słynna Cela Plus. Dziennikarzowi, który pytaniem przerwał mu deklarację, zapowiedział, że „ludzie, którzy

zakłócają konferencje prasowe opozycji, będą odpowiadali karnie po wygranych wyborach”. Zamiast wyjaśnić swą politykę „obrony Polski” na połowie terytorium narodowego, nazwał obecny rząd „agenturą rosyjską”. I żeby było jasne: nie popieram ani przerywania konferencji prasowych, ani ujawniania dokumentów obronnych. Ale to nie znaczy, że ci, którzy sprawują władzę, nie zakładali obrony terytorium Rzeczypospolitej, nie powinni dziś tego społeczeństwu wyjaśnić. Choć ich motywów właściwie są znane, powtarzali je wielokrotnie w reakcji na „Reset”. Po prostu, rządząc, zachowywali się tak jak „wszyscy za granicą”. Tak to działa.

Kiedyś polityczny consensus polegał na zgodzie w narodzie. Dziś polega na zgodzie z zagranicznymi rządami bez przejmowania się narodem.

Idzie to, co w świecie liberalnym nazwano „demokracją skonsolidowaną”. Sądy obaliły już konstytucyjne i prawne gwarancje wolności religii. Wolno już przerywać Mszę. Natomiast za przerywanie konferencji PO będzie się iść do więzienia.

Mówi się, że kampania wyborcza to festiwal obietnic, ale takich jeszcze w Polsce nie było. Choć za nami najcieplejszy od stu lat wrzesień – od słuchania obietnic, które Donald Tusk składa swym zwolennikom, zimno się robi. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



PIECZEŃ RZYMSKA

O Niepokalanym Rycerzu Demokracji



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

Gdy piszę te słowa, ze stron włoskich gazet i ekranów telewizyjnych leją się strumieniami łzy rzęsiste i lukier, bo zmarł w wieku 98 lat Giorgio Napolitano, prezydent Włoch w latach 2006–2015. Hołd przy trumnie wystawionej w senacie składają wszyscy ludzie z włoskiego świecznika, a nawet papież Franciszek. Telegram kondolencyjny przysłał Putin. Z wieczornego dziennika TV RAI1 dowiedziałem się, że zmarł człowiek, który całe swoje długie życie poświęcił promowaniu demokracji. Niczego innego dowiedzieć się nie mogłem, bo 30-minutowy serwis poświęcony był w całości Napolitano, podobnie jak nadawany zaraz potem dziennik RAI2.

Co prawda, jeszcze nikt nie powiedział, że Napolitano „usta

śłodsze miał od malin”, ale może to tylko sprawa najbliższych dni. Naturalnie śmierć nie jest najlepszą okazją, by wypominać zmarłemu grzechy, ale to, co wyczyniają teraz włoskie media i gadające głowy, deifikując Napolitano, budzi zdumienie podlane zażenowaniem.

Napolitano pod koniec drugiej wojny był aktywistą faszystowskiej organizacji studenckiej. Zaraz po wojnie przemienił się w żarliwego komunistę i dochrapał miejsca w Komitecie Centralnym. Na łamach „L'Unita” wychwalał jedynie słuszną decyzję Związku Sowieckiego o wysłaniu czołgów na Węgry w 1956 r. W 1974 r., gdy Sowietci wyrzucili z kraju Aleksandra Sołżenicyna, Napolitano tłumaczył, że mieli

rację, bo pisarz noblista rzucił im wyzwanie, złamał sowieckie prawa, a poza tym szerzył chore i szokujące poglądy.

Należał do Komunistycznej Partii Włoch do jej samorozwiązania w 1991 r. z powodu nagłej śmierci szczerzego sponsora – ZSRS. Wówczas Napolitano wraz z towarzyszami zmienili szyld na „Demokratyczna Partia Lewicy” i przepoczwarzyli się w socjaldemokratów. Zapalali również ogromną miłością do Stanów Zjednoczonych. W 2011 r. prezydent Napolitano wziął bardzo aktywny udział w obaleniu rządu Silvia Berlusconi.

Nieźle jak na faceta, który całe życie służył demokracji, co? ©©

ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

MŁODZIEJ NIE
ZAWSZE ZNACZY
LEPIEJ

Plan był sprytny, ale chyba nie wypalił. Zwolnienie Katarzyny Dowbor i zatrudnienie zamiast niej Elżbiety Romanowskiej miało dać programowi „Nasz nowy dom” drugie (młodsze) życie. Tymczasem okazuje się, że pomysł Edwarda Miszczaka nie znalazł uznania wśród widzów, co pokazują dane. Jak podają Wirtualne Media, program Polsatu w nowym sezonie śledzi średnio 875 tys. osób. „W porównaniu z 19. edycją, pokazywaną jesienią ub.r. z udziałem Katarzyny Dowbor, widownia produkcji spadła o 250 tys. osób” –



FOT. PAMEL WODZYŃSKA/EAST NEWS

wynika z raportu. Do tej pory największej widzów program prowadzony przez Katarzynę Dowbor miał 7 września – odcinek tego dnia śledziło 937 tys. osób. Nic dziwnego, że sama Dowbor o całej sprawie wypowiada się gorzko. – Nie oglądałam programu. To trochę moje dziecko, byłam przy jego tworzeniu. Więc po co sobie ból zadawać? – pyta, nie kryjąc rozżalenia. Dodała, że przez ponad dekadę zajmowała się cudzymi domami, a teraz przyszedł czas na jej własny. – Ja

też przez ostatnich 10 lat nie miałam czasu dopieścić swojego domu, ciągle odkładałam to na później, bo wczynie byłam w drodze. Teraz wreszcie mogę zrealizować swoje marzenia o moim idealnym domu – wskazuje prezenterka. Szkoda trochę tylko nowej prowadzącej. Romanowska miała dzięki programowi wspiąć się na szczyt celebryckiej kariery, a została jak wiadomo kto, z wiadomo czym.

RODZINNE
WYZNANIA

Do świata celebrytów można dostać się na dwa sposoby – albo zrobić coś tak durnego, że prasa zacznie o tobie pisać, albo mieć rodziców z koneksjami. O osiągnięciach artystycznych nie wspominam, bo w tym przypadku nie mówimy o celebrytach. Ale wracając – coraz częściej w mediach udziela się syn Edyty Górniak, Allan. Oprócz tego, że jest synem swojej matki, jest także DJ-em. No i Allan w wywiadzie dla Żurnalisty opowiedział, że choć całe swoje życie jest obecny w kolorowych pismach, to nigdy niczego się nie wstydził. – Nigdy nie miałem czegoś takiego. Bardzo dawno temu założyłem taki pakt z mamą, że nigdy nie zrobimy nic, czego ona i ja będziemy się wstydzić, i chyba dotrzymujemy tej obietnicy. Jeszcze nie usłyszałem od mojej mamy, że ona się za mnie wstydzi, ja też nie mam powodów, żeby się za nią wstydzić. Co najwyżej mogę być z niej dumny i tyle – podkreślił muzyk. A czego miałaby się wstydzić Edzia? Według niektórych – swojej współpracy z TVP. W jednym w wywiadów dopytywana, czy wobec rosnącej polaryzacji oraz ciągłej krytyki Telewizji Polskiej ma zamiar przestać się w niej pojawiać, zaprzeczyła. Piosenkarka odpowiedziała – jak to ona – filozoficznie. – Nie postrzegam różnic, które dostrzegają inni. Nie patrzę w taki sposób na ludzi. Każdy ma serce niezależnie od tego, czy się przekręci na TVN, Polsat. Nie ma to znaczenia dla mnie. Jakbym się zastanawiała, kto przychodzi na moje koncerty i czy zasługuje na to, by brać w nich udział. To

jest absurd. Nie. Dla mnie każdy człowiek liczy się tak samo, niezależnie od tego, czy bardziej jest po takiej czy po innej stronie. Człowiek to jest człowiek, serce to jest serce, czy on się przełączy na taką częstotliwość czy inną. Po prostu – wyjaśnia. Jak Edzia coś powie, to kosmos. Dosłownie.

POLSKA PARTIA
AKTORÓW

„Przedwyborcze odmęty szaleństwa”. Trzeba przyznać, że „Zielona granica” Agnieszki Holland sprawiła, iż jest kogo cytować. Smakowitych cytatów naszych „oświeconych elit” jest tak wiele, że trudno się zdecydować, który przytoczyć. No to może Robert Więckiewicz z Festiwalu Filmowego w Gdyni. Aktor odebrał nagrodę za rolę w filmie „Kos”, choć za sprawą jego przemowy wielu mogło umknąć, w jakim właściwie filmie zagrał. – Jedenaście lat temu odbierałem tu nagrodę za rolę w filmie „W ciemności” Agnieszki Holland. To był taki film o człowieku, który pomagał innym w potrzebie podczas wojny – zaczął. – Parę dni temu byłem na premierze innego filmu Agnieszki Holland „Zielona granica”. Spotkała mnie dziwna sytuacja. Zaczęło się od tego, że podjechałem do galerii handlowej, gdzie jest to kino, i już coś mnie zaniepokoiło. Wszedłem do foyer i jest jakiś tłum – coraz bardziej zacząłem się denerwować. W końcu wszedłem do kina, stanąłem na środku i myślę: „Coś jest nie tak”. Tam siedzą ludzie! O co tutaj chodzi? Co więcej, przyjechałem do Gdyni, przez dwa dni nie wychodziłem z kina. Wszędzie ludzie! Zaczęłem się obawiać o swoje zdrowie psychiczne – kpił Więckiewicz, nawiązując do promowanej przez stronę rządową kampanii przeciw pod hasłem „Tyłko świnie siedzą w kinie”. – Mój bohater mówi w filmie „Kos” takie słowa: „Polacy zawsze przegrywają”. To potwornie dotkliwe słowa. Mam takie marzenie, być może naiwne, żeby tym razem było inaczej, za parę tygodni żebyśmy wygrali – mówił aktor ze sceny. My, czyli aktorzy? ©©

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI

2023

XI EDYCJA

WYJĄTKOWYCH NAGRÓD

W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

11 PAŹDZIERNIKA 2023 r.

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej
Polskiej Andrzeja Dudy

RP

Prezydent
Rzeczypospolitej
Polskiej

Dofinansowano ze środków
Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej
im. Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego
w ramach Funduszu Patriotycznego



INSTYTUT DZIEDZICTWA
MYŚLI NARODOWEJ
im. Romana Dmowskiego
i Ignacego J. Paderewskiego



FUNDUSZ
PATRIOTYCZNY

WSPÓLORGANIZATORZY



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

NARODOWE
CENTRUM
KULTURY



INSTYTUT
WSPÓŁPRACY
POLSKO-
WĘGERSKIEJ
IM. WACŁAWA FELCZAKA



PARTNER

100 LAT
1924-2024
Lasów Państwowych

PARTNERZY MEDIALNI



DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

PROJEKT REALIZOWANY WE WSPÓŁPRACY
Z NARODOWYM CENTRUM KULTURY eprasa.pl e4ba89c5d2



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, Polska postanowiła, że będzie się ubiegała o zorganizowanie letnich igrzysk olimpijskich w 2036 r. Of kors do tego jeszcze daleko, ale powiedzcie nam, czy to jest w ogóle możliwe, iżby igrzyska odbywały się w kraju, w którym łamana jest konstytucja.

Otóż jest to sprzeczne z wielowiekową tradycją tego świeckiego sportu. Kiedy zostało ono wynalezione przez starożytnych Ateńczyków, w regulaminie zapisano, iż nie będzie można organizować igrzysk w krajach, które toczą wojnę, łamią konstytucję i sprawują kłopoty społeczności międzynarodowej.

Te wszystkie warunki zostały złamane przez władze tego kraju, które toczą wojnę z opozycją, polityczną wojnę z całą Europą, notorycznie naruszają konstytucję i na forum międzynarodowym zachowują się jak pijany Janusz z Sanoka na eleganckim przyjęciu.

Dlatego naszym zdaniem ten projekt nie ma szans. To jest, kochani, typowy sportwashing, kiedy fashystofska władza próbuje budować swój PR na sukcesach sportowych bądź organizacji tego rodzaju imprez, które miałyby sprawić, iż świat będzie mówił o tym kraju przychylniej. Mamy nadzieję, iż świat nie da się oszukać.

Mamy nadzieję, kochani, iż to tylko zły sen, ale wiele wskazuje na to, iż w Polsce powstanie nieba-



wem pierwsza w historii elektrownia atomowa.

Czy naprawdę w dobie ekologicznej zielonej energii, paneli fotowoltaicznych, wiatraków i energii pochodzącej z miliona serc musimy sięgać po rozwiązania, które nie sprawdziły się już w czasach Związku Sowieckiego?

Przecież istnieje tyle innych alternatyw dla węgla, wystarczy tylko chcieć po nie sięgnąć. Wszystko jest kwestią pozytywnego myślenia i nastawienia. My naprawdę nie chcemy mieć w naszym kraju takiej złowrogi, wadliwej i niepewnej sowieckiej technologii.

Poza tym, na ile się orientujemy w sytuacji międzynarodowej (a nie chwalać się, orientujemy się świetnie), to Niemcy jakiś czas temu powiedzieli, iż oni swoje

elektrownie atomowe będą zamykać. No więc nasz rząd musiał się jak zawsze ustawić w opozycji do Niemiec. W sumie nic dziwnego.

Tak samo nic dziwnego w tym, iż w oficjalnych informacjach prasowych mówi się o „elektrowni jądrowej” – a więc znów patriarchat, elektrownia będzie budowana przez starszych, heteroseksualnych mężczyzn, nie ma tam mowy, nawet na poziomie semantycznym, o pierwiastku kobiecym.

A choćby odejście od takiej szowinistycznej terminologii chociaż trochę sprawiłoby, iż taka elektrownia stałaby się miejscem odrobinę bardziej inkluzywnym, tolerancyjnym i szanującym prawa waginoosób.

W ogóle to okazuje się, iż jest problem. Jak dobrze wiecie, jeśli PiS wygra wybory, to jak zawsze wypie@\$\$#my z tego kraju.

Problem w tym, iż Niemcy podobno zwiększają poziom kontroli na granicach. W związku z tym: Czy ktoś się może orientuje, jak zostać uchodźcą politycznym? Można się do tego zapisać przez neta czy trzeba gdzieś osobiście?

Bo to of kors nie podlega negocjacji, PiS wygrywa, to my wyjeżdżamy, ale tym razem to już na pewno. ©©

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Bez Wołodii nigdzie nie jadę!

Andrzej, co tak siedzisz w kącie? Trzeba do Pułtusa jechać na otwarcie piekarni.

No wiem, Marcin, wiem, ale...

Płaczesz? No, już, już... Masz tu chustkę.

Nie wiem, co mam z tym jego zdjęciem zrobić. Stoi tu od lutego, taką ramkę ładną ma, sam kupiłem, niebiesko-żółtą. A on teraz...

No wiesz, bo w polityce...

Tęsknię za nim. Nie dzwoni. Nie pisze. Tak sobie siedzę, patrzę na niego i normalnie od razu mi łzy same lecą.

Słuchaj, w interesach między państwami...

A ty wiesz, jak mnie przytulał, to taka męska siła z niego emanowała. Też bym taki chciał być. Nawet sobie zamówiłem taki mundurek, jaki on ma, w tej samej firmie ukraińskiej, tylko bez tryzuba.

Ja cię rozumiem, ale naprawdę musimy już do tego Pułtusa...

Zostawcie mnie! Nigdzie nie jadę. Bez Wołodii nie jadę. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Gdybym był młodszy, tobym dał polecenie: na moją komendę koniec z tą władzą”.

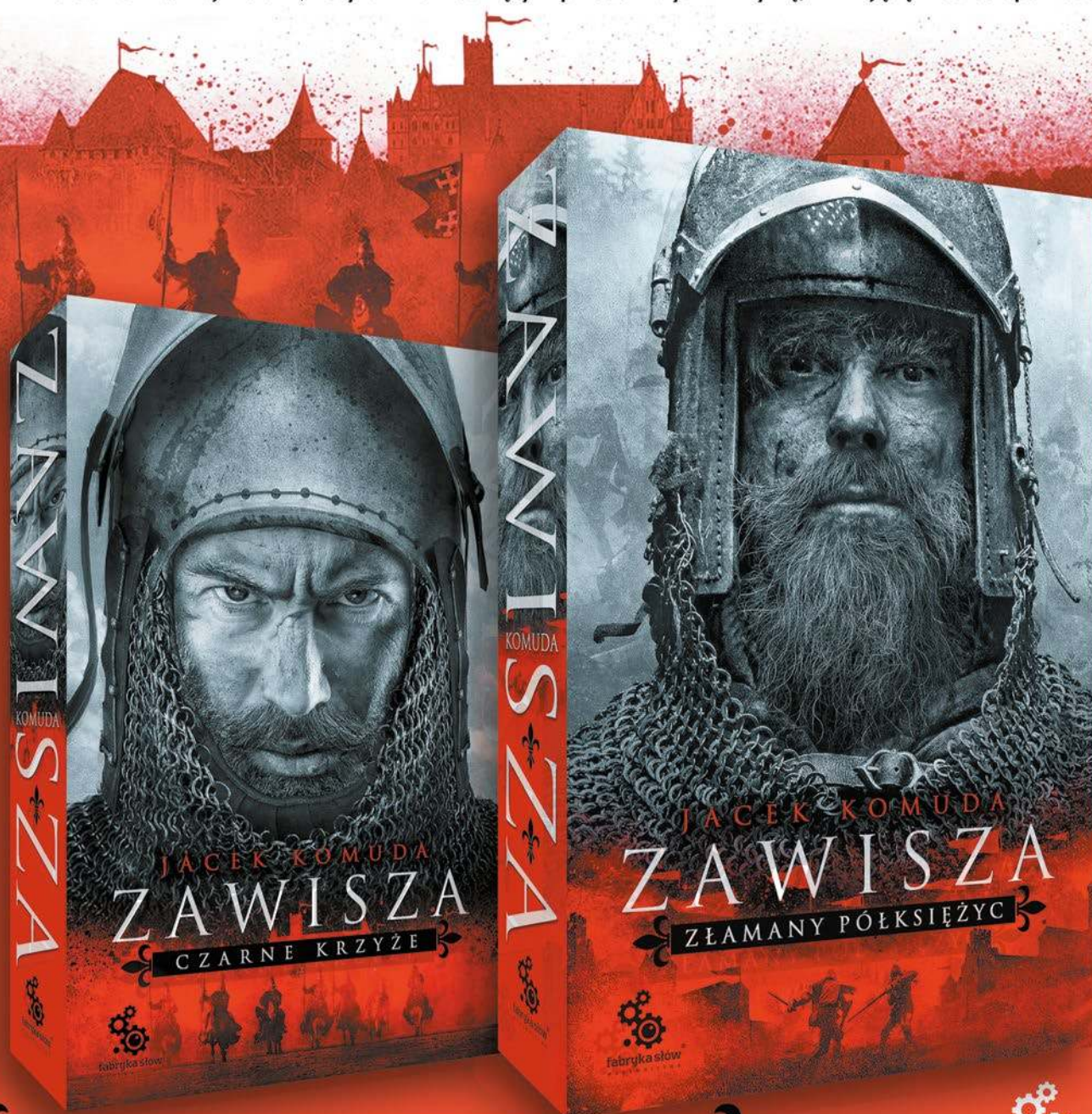
LECH WAŁĘSA, były prezydent, w rozmowie z „Rzeczpospolitą”

N AJWIĘKSZE LEGENDY SPISANE SĄ KRWIĄ.

Najstynniejszy polski rycerz, którego imię żyje do dziś: Zawisza Czarny.

CZŁOWIEK, którego słowo znaczyło więcej niż prawo. Ten, który stawiał do walki tam, gdzie nikt już nie miał odwagi walczyć. A ludzie szli za nim, w ogień, pod deszcz strzał i bezlitosne ostrza. Po śmierć albo po zwycięstwo, ale zawsze za nim.

HISTORIA wyjątkowego człowieka spisana ze swadą właściwą prozie Jacka Komudy, dbałością o szczegóły i realia historyczne. Zapewni rozrywkę na najwyższym poziomie i wielbicielom średniowiecznej historii, i czytelnikom ceniącym przede wszystkim żywą, trafiającą w serce opowieść.



KSIAŻKI DOSTĘPNE W PAPIERZE, EBOOKU I AUDIOBOOKU

Strzegąc pamięci



Laureaci i organizatorzy ubiegłorocznej, jubileuszowej gali nagrody Strażnik Pamięci FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ



Karol Gac

Już po raz 11. tygodnik „Do Rzeczy” uhonoruje tych, którzy dbają o naszą tożsamość narodową i historię. Wśród tegorocznych nominowanych są m.in. minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński, Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL przy ul. Rakowieckiej w Warszawie, Polska Grupa Energetyczna czy Telewizja Polska

Redakcja tygodnika „Do Rzeczy” od 2013 r. wyróżnia osoby i instytucje, które często wbrew trudnościom pielęgnują i promują polską tożsamość. I choć plebiscyt od samego początku cieszy się ogromną popularnością, to lista tych, których należy uhonorować, wciąż się nie wyczerpuje. – Widzieliśmy, że taka

nagroda jest szczególnie potrzebna. Nie działały takie organizacje jak np. Instytut Pileckiego, a istniejące niechętnie odnosiły się do kwestii tożsamości narodowej – wspomina redaktor naczelny „Do Rzeczy” Paweł Lisicki.

To właśnie wówczas pojawiła się w redakcji myśl, by uhonorować tych, którzy pielęgnują pamięć o naszej tożsamości i pokazują to, co w polskiej historii wielkie. – To była pierwsza nagroda, w której prezentowano taki sposób patrzenia na polską historię – zauważa Lisicki. Szybko okazało się, że pomyśl był niezwykle trafiony. Już w pierwszej edycji konkursu do redakcji wpłynęło kilkaset zgłoszeń. Kandydatów do nagrody mogą bowiem zgłaszać listownie i e-mailowo sami czytelnicy.

„Dziękuję za to cenne przedsięwzięcie jego inicjatorom, organizatorom oraz członkom wysokiej kapituły. Wyrażam uznanie dla Państwa zapału i wytrwałości za długoletnie starania o to, aby osoby szczególnie zasłużone dla kultury historycznej w Polsce zostały należycie docenione, a wiedza o ich inspirujących dokonaniach szeroko rozprzestrzeniona” – napisał w ubiegłym roku do organizatorów laureatów Strażnika Pamięci prezydent Andrzej Duda.

„Bez zaangażowania, mądrości i ofiarności grona osób to, co najcenniejsze z naszej przeszłości, uległoby zniszczeniu, a w końcu całkowitemu zapomnieniu. Zachowanie pamięci jest warunkiem trwania narodu, buduje tożsamość, łączy odległe czasy z przyszłością” – zauważała z kolei marszałek Sejmu Elżbieta Witek.

LAUREACI 2022

Podczas ostatniej edycji Strażnika Pamięci w kategorii Twórca nagrodę otrzymał prof. Ryszard Legutko. Europejski PiS podkreślił, że pamięć to „miejsce, przestrzeń, w której istnieją różne rzeczy, przedmioty, utwory skojarzenia, a także idee”. – To, że w którymś momencie odwróciłem się od liberalizmu, spowodowane było właśnie tym, że zauważyłem, iż jest to miejsce, wbrew tej mnogościowej narracji, bardzo małe i niewiele w nim myśli, rzeczy wartościowych, i przebywanie w tej przestrzeni uznajem za nieprzyjemne – wskazywał. W tej kategorii wyróżnienie otrzymali Krzysztof Skowroński, założyciel i prezes Radia Wnet, oraz Tomasz Stańczyk i Sławomir Koper.

W kategorii Instytucja ubiegłoroczną nagrodę otrzymał Narodowy Bank Polski za Centrum Pieniądza NBP. W specjalnym nagraniu prezes Narodowego Banku

Polskiego prof. Adam Glapiński przypomniał, że inicjatorem powstania Centrum Pieniądza NBP był obecny patron tej instytucji Sławomir Skrzypek, który zginął pod Smoleńskiem. – Sławomir Skrzypek wytoczył jasny cel dla CP NBP zawierający się w przekonaniu, że Polacy z wiedzą ekonomiczną łatwiej poradzą sobie z trudnościami oraz będą konkurencyjni na globalnym rynku – powiedział Glapiński. W tej kategorii wyróżniono również Wydawnictwo Biały Kruk oraz Fundację Nasze Dzieci Kornice.

W kategorii Mecenaz nagrodę Strażnik Pamięci otrzymały Lasy Państwowe za upowszechnianie wartości polskiej kultury materialnej. – To wielki zaszczyt dla mnie, że w imieniu wielu tysięcy leśników otrzymałem tę prestiżową nagrodę. Wartości patriotyczne są wpisane w etos pracy każdego leśnika. Bardzo dziękuję kapitulę za tę szczególną nagrodę – powiedział dyrektor generalny Lasów Państwowych Józef Kubica. W tej kategorii wyróżniono również Tomasza Kaźmierskiego, założyciela Fundacji Identitas.

Ponadto nagrodę specjalną portalu DoRzeczy.pl otrzymało w ubiegłym roku Centrum Życia i Rodziny. – Nasza misja jest w dzisiejszym świecie niezwykle ważna. Żyjemy w świecie postprawdy i głębokiego relatywizmu. Wydaje mi się, że ta rewolucja, którą obserwujemy na całym świecie, i niestety także w Polsce, bardzo nam doskwiera i stara się zniszczyć polską duszę i powinniśmy stanąć w obronie naszych wartości, które są tak atakowane – wskazywał Paweł Ozdoba, prezes CŻiR.

Jubileuszową nagrodę z okazji 10-lecia Strażnika Pamięci otrzymał PKN Orlen. Z kolei nagrodę Strażnik Wartości – CUSTOS VIRTUTUM, przyznawaną pod patronatem tygodnika „Do Rzeczy” przez Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka, otrzymał prezes PKN Orlen Daniel Obajtek. – Jesteśmy czempionem multienerygetycznym,

ale nie możemy zapominać o działaniach społecznych, patriotyzmie, historii, czasach przeszłych, które stanowiły naszą polskość. Inwestujemy w zadania społeczne, zabytki, dziedzictwo narodowe, rzeźbiarstwo, malarstwo, duże wydarzenia o charakterze narodowym. Patriotyzm jest dla nas niezwykle ważny. Nasz macierzysty rynek jest przecież w Polsce – powiedział prezes PKN Orlen w specjalnym nagraniu.

KANDYDACI DO NAGRODY 2023

W tym roku Gala Strażnika Pamięci odbędzie się po raz pierwszy w nowo wybudowanym Muzeum Historii Polski na Cytaeli Warszawskiej, które zostało otwarte dla zwiedzających 29 września. To jeden z najnowocześniejszych i największych obiektów muzealnych nie tylko w Polsce, lecz także w Europie.

W tym roku nominacje do nagrody również obejmują trzy kategorie.

W kategorii Twórca nominowani są pisarz Wiesław Helak za „znaczenie jego powieści obrazujących życie na polskich kresach” – „Lwowska Noc”, „Nad Zbruczem” czy „W stronę Seretu”. W tej samej kategorii nominowany jest także pisarz Jacek Komuda za „wielką wartość twórczości literackiej dla budzenia i zachowania polskiej pamięci historycznej”. Redakcja szczególnie docenia takie powieści jak „Diabeł Łańcucki” i „Banita” z czasów sarmackich oraz „Hubal”, „Westerplatte” i „Wizna” z czasów drugiej wojny światowej. Z kolei za „troskę o przywrócenie polskiej kulturze dziedzictwa sarmackiego” nominowany jest również prof. Jacek Kowalski, pisarz i pieśniarz.

W kategorii Instytucja w tym roku do nagrody nominowani zostali prof. Piotr Gliński, minister kultury i dziedzictwa narodowego. Redakcja tygodnika „Do Rzeczy” uznaje determinację i skuteczność, z którymi prof. Gliński dążył do zbudowania Muzeum Historii

Polski. „Dzięki wsparciu licznych współpracowników, ze szczególnym udziałem wieloletniego dyrektora Muzeum Roberta Kostro, prof. Glińskiemu udało się przełamać wieloletni imposybilizm i doprowadzić do otwarcia tego jednego z najważniejszych polskich muzeów” – czytamy w uzasadnieniu. Nominowane jest także Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL przy ul. Rakowieckiej w Warszawie, ponieważ właśnie dzięki tej placówce „można poznać wreszcie skalę antykomunistycznego oporu po wojnie oraz działalność antykomunistycznego podziemia, a także aktywność organizacji niepodległościowych z czasów PRL”. Ostatnim nominowanym w tej kategorii jest Stowarzyszenie „Wizna 1939”. Redakcja docenia nie tylko utrzymywanie pamięci o tej jednej z najważniejszych bitew września 1939 r., lecz także dokumentowanie ogółu zbrodni niemieckich w okupowanej przez Hitlera Polsce.

Nominowanymi w kategorii Mecenaz są: Alior Bank za wspieranie aktywności patriotycznej i historycznej; Michał Bożek za m.in. finansowanie odbudowy i renowację zamku w Grodźcu Śląskim; PGE za „wspieranie działalności patriotycznej i polskiej pamięci historycznej” oraz Telewizja Polska. Redakcja „Do Rzeczy” szczególnie docenia finansowanie przez TVP filmów i sztuk teatralnych poświęconych polskiej historii i trosce o polską niepodległość.

Podobnie jak w latach ubiegłych portal DoRzeczy.pl przyzna również nagrodę specjalną. Z kolei Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka, pod patronatem tygodnika „Do Rzeczy”, ogłosi Strażnika Wartości – CUSTOS VIRTUTUM.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Uroczysta gala wręczenia tegorocznych nagród Strażnik Pamięci odbędzie się 11 października w Muzeum Historii Polski.

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej
Polskiej Andrzeja Dudy

RP

Prezydent
Rzeczypospolitej
Polskiej

Dofinansowano ze środków
Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej
im. Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego
w ramach Funduszu Patriotycznego



INSTYTUT DZIEDZICTWA
MYŚLI NARODOWEJ
im. Romana Dmowskiego
i Ignacego Paderewskiego



FUNDUSZ
PATRIOTYCZNY

WSPÓŁORGANIZATORZY



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



NARODOWE
CENTRUM
KULTURY



INSTYTUT
WSPÓŁPRACY
POLSKO-
WĘGERSKIEJ
IM. WACŁAWA FELCZAKA



100 LAT
1924-2024
Lasów Państwowych

PARTNER

PARTNERZY MEDIALNI



DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

PROJEKT REALIZOWANY WE WSPÓŁPRACY
Z NARODOWYM CENTRUM KULTURY





HISTORYCZNE OTWARCIE

– Nie mam wątpliwości, że ten obiekt będzie kształtował przyszłą Rzeczpospolitą – mówił prezydent Andrzej Duda podczas uroczystego otwarcia Muzeum Historii Polski. Dodając, że muzeum to było ideą i marzeniem prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

– Jest rzeczą symboliczną, że w tym miejscu, miejscu męczeństwa narodu polskiego, miejscu, gdzie mordowani byli polscy patrioci – głównie przez rosyjskiego zaborcę, ale przecież nie tylko – staje Muzeum Historii Polski – wskazywał

z kolei premier Mateusz Morawiecki. Miejscem, o którym mówił premier, jest warszawska Cytadela, twierdza zbudowana po upadku powstania listopadowego przez cara Mikołaja I z zamysłem kontroli nad miastem; twierdza, która stała się miejscem więzienia i kaźni Polaków.

Wystawa stała w Muzeum Historii Polski będzie gotowa dopiero za ok. 30 miesięcy, na razie dostępna jest wystawa czasowa, o której piszemy na str. 54. Cały kompleks to 45 tys. mkw., na które składa się 800 pomieszczeń. To niemal

9 tys. mkw. powierzchni wystawienniczych, sala koncertowa na 600 osób, sala projekcyjno-teatralna, sale konferencyjne, taras widokowy. Będą tu również biblioteka, muzealny sklep i gastronomia.

Koszt całkowity nie jest jeszcze dokładnie znany. Szacuje się, że może przekroczyć 1,2 mld zł.

(raw) © ©

CZYTAJ TAKŻE „OSIEM LAT ODBUDOWY KULTURY” NA STR. 26



dwaj panowie G

Zaczynamy od sensacyjnej wiadomości. Otóż w najbliższym czasie dotychczasowy komendant główny Policji Jarosław Szymczyk straci stanowisko. Już widzimy tę orgię radości w mediach opozycyjnych. Musimy jednak uspokoić te paroksyzmy entuzjazmu. Szymczyk nie wylatuje, lecz awansuje – do unijnych policyjnych struktur związkowych. I to wysoko. Dość powiedzieć, że popierają go nawet Niemcy.

A teraz będzie jeszcze bardziej grubo. Jak twierdzą nasze wiewiórki, największe szanse, by zostać następcą, a dokładniej następczynią Szymczyka, ma Iwona Klonowska. Obecna komendant szkoły policyjnej w Szczytnie. Czegóż to rząd PiS jeszcze nie robi, by wprowadzić w Polsce piekło kobiet?

Skoro już o sprawach policyjnych i wątku niemieckim. Niemiecka szefowa resortu spraw wewnętrznych Nancy Faeser wprowadziła na rubieżach z Polską wzmocnione, choć wyrwykowe kontrole graniczne. Jej polski kolega Mariusz Kamiński dwukrotnie rozmawiał z Faeser i przyjął do wiadomości niemieckie zapewnienia, że nie zablokuje to granic. Odmówił jednak wyrażonej przez nią prośbie, by niemiecka policja mogła samodzielnie operować po polskiej stronie granicy. I nie pomogła argumentacja, że zgodzili się na to Czesi. Krwawy Mario dał jednoznacznie do zrozumienia, że Polakom niemiecki mundur policyjny kojarzy się niespecjalnie dobrze.

Skoro już o granicach. Mamy propozycję, żeby wykorzystać jako pożytecznie całą chryję wokół filmu „Zielona granica” Agnieszki Holland. Otóż proponujemy wyświetlanie jego fragmentów na wielkich ekranach przy granicy białoruskiej. Gdy po tamtej stronie zobaczą, jak rzekomo Straż Graniczna traktuje nielegalnych migrantów, cała ochota powinna im minąć. Wiecie, jak to jest. Trzeba robić dobro ze zła.

Mamy ważną radę dla kandydatów Zjednoczonej Prawicy do parlamentu na ostatnie dni kampanii. Otóż jeśli wieszacie gdzieś plakat, bannery lub kanapki (to takie podwój-

ne kartony na słupach), czyńcie to w miejscach, gdzie jest monitoring. Tam bowiem, gdzie go nie ma, nocami grasują zorganizowane szajki obrońców demokracji, które wszystko kradną i dewastują. Czy monitoring chroni przed utratą kampanijnych zasobów? Nie, ale policja dostała ostatnio przykaz, żeby uważnie przeglądać nagrania i po tablicach rejestracyjnych namierzać ancymonków. Bo widzicie, są na to paragrafy: „zabór mienia” oraz „zabór mienia znacznej wartości”.

Dochodzi także do bannerowych wojen bratobójczych. Znacze zasadę wyborczego stopniowania: „wróg, wróg śmiertelny, kolega z listy”. Dobitnie przekonał się o tym pewien kandydat z list PiS w Lubuskiem. A mianowicie odkrył, że ktoś w nocy zdarł jego dopiero co rozwieszone plakaty i billboardy. Nie zastanawiając się długo, postanowił przeprowadzić wstępne śledztwo na własną rękę, a następnie zgłosić sprawę policji. Zauważył, że w pobliżu operowała kamera monitoringu. Właścicielka kamery zgodziła się udostępnić zapis wysokiej rozdzielczości. Jak się okazało, sprawcami nie byli ani platformersi, ani komuchy, ani trzeciodrogowy, ale inni pisowcy. Zgodzili się oni pokryć koszty zniszczonych plakatów i rozwiesić nowe w tych samych miejscach. A kandydat zgodził się nie zgłaszać tego przestępstwa na policję. Pokój ludziom dobrej woli!

Są rzeczy ważne i ważniejsze. Najważniejszą było w ubiegłym tygodniu otwarcie Muzeum Historii Polski, które uświetnił swą obecnością jeden z Panów G. Oficjeli było wielu,

cała wierchuszka, od prezydenta Andrzeja Sebastiana z małżonką, przez Nadpremiera Jarosława, do premiera, ministrów, europosłów i posłów. Gdy wszystkich przedstawiano, Andrzej Sebastian dostał burzę oklasków, prezes więcej od premiera, a dowódca wojska polskiego – więcej od europosłów. I my rozumiemy to podejście publiczności. Ale bądźmy szczerzy, prawdziwą owacją nagrodzono dyrektora Roberta Kostro. I to też doskonale rozumiemy.

Podczas otwarcia muzeum udało się zaobserwować rzecz rzadką – otóż minister profesor Piotr Gliński był autentycznie roześmiany i dumny. Ani śladu po codziennym obliczu marsowym! Co więcej, na ceremonii pojawił się z małżonką, którą nawet ci i owi mieli okazję zapoznać. W odróżnieniu od imprez opozycyjnych, gdy zaintonowano spontanicznie w holu hymn państwowy, zebrani odśpiewali go dzielnie w całości, aczkolwiek wersję czterozwrotkową, czyli oficjalną. Były więc tarabany, ale nie było: „Niemiec, Moskal nie osiądzie”.

Staramy się unikać patosu w naszej rubryce, ale dzień otwarcia Muzeum Historii Polski zaiste był niezwykle. I wcale nie dziwimy się radości na twarzach ministra Glińskiego i dyrektora Kostro. Bo tak, widzicie, przechodzi się do historii. Nie do kronik codziennej polityki, ale do annałów wielkiej historii. Czego życzymy i innym bohaterom naszej rubryki, zdając sobie jednocześnie sprawę, że dla wielu z nich może to być wyzwanie zbyt trudne.

Wracając do europosłów. Też będzie wątek niemiecki. W miniony czwartek lot Lufthansy z Warszawy do Monachium zakończył się niespodziewanie już w Warszawie. Samolot, owszem, wystartował, po czym okazało się, że padł silnik. Zrzucano czym prędzej paliwo i zawrócono na lotnisko Chopina. Zarówno europosłowie, którzy śpieszyli się na przesiadki do USA, oraz ci, którzy lecieli bardziej po Europie, jak i zwykła gawiedź mieli więc okazję do głośnych narzekań na tradycyjny niemiecki barbak. Ich zdanie podziela chyba niemiecka pani kapitan lotu, bo gdy wyszła z kabiny, była błada jak ściana. ©©

Twoja Domena, Twoja Tożsamość Online!



Odkryj idealną domenę internetową w naszej ofercie!



Unikalne i zapadające w pamięć adresy online na sprzedaż.



Zdobądź swoją przestrzeń w sieci już teraz!



Atrakcyjne ceny – wejdź na domenę aby sprawdzić cenę, złożyć ofertę lub skontaktować się z nami.

Lista atrakcyjnych domen na sprzedaż:

[pilka24.pl](#)

[korba.pl](#)

[kulisy.tv](#)

[pitbul.pl](#)

[bloxpert.pl](#)

[wik24.pl](#)

[jakitaki.pl](#)

[ocen.pl](#)

[cgmk.pl](#)

[ituba.pl](#)

[blogzone.pl](#)

[ototrend.pl](#)

[ototred.pl](#)

[otostyl.pl](#)

[infotuba.pl](#)

[infotuba.eu](#)

[bokserek.pl](#)

[newspr.eu](#)

[capital-point.pl](#)

[capital-point.eu](#)

[newspr.pl](#)

[wik.com.pl](#)

[ototredy.pl](#)

[trafnie.pl](#)

[gretix.eu](#)

[ituba.com.pl](#)

[czytajozdrowiu.pl](#)

[poczytajozdrowiu.pl](#)

[gardenoffood.de](#)

[garden-of-food.com](#)

[ototrendy.pl](#)

[rytmzdrowia.pl](#)

[swiatkorzysci.com](#)

[swiatkorzysci.pl](#)

[swiatkorzysci.com.pl](#)

[adfreezer.pl](#)

[gardenoffoods.com](#)



Należy wyjść



Sławomir Mentzen i prezes Nowej Nadziei oraz Ryszard Petru, założyciel i były szef Nowoczesnej, stoczyli radiową debatę na tematy gospodarcze. W pewnym momencie Petru zadał proste pytanie: „Gdyby dzisiaj było referendum w sprawie wyjścia Polski z Unii Europejskiej, takie samo, jakie było w Wielkiej Brytanii, to ma pan dwa warianty: albo głosuje pan tak, albo nie. Proszę o jasną deklarację – czy zostajemy w takiej Unii niedoskonałej czy wychodzimy z niej?”. Zamiast odpowiedzieć wprost, Mentzen zaczął kluczyć, wymigiwać się od odpowiedzi, aż minął



Tomasz Cukiernik

Sam zakaz używania samochodów spalinowych jest tak wielkim pogwałceniem wolności i wolnego wyboru, że samodzielnie mógłby stanowić wystarczający powód polexitu. Jednak tych powodów jest dużo więcej

czas. Niepotrzebnie. W aktualnej sytuacji Polska więcej traci, niż zyskuje na członkostwie w Unii Europejskiej, a bilans ten w najbliższych latach gwałtownie się

pogorszy. Dlatego odpowiedź mogła być tylko jedna: należy wyjść z UE.

Wydaje się, że prezes Mentzen z powodów wyborczych nie chciał tego

z Unii!

energetycznego to miliardy, które od lat już wpływają z Polski do międzynarodowych spekulantów finansowych. Ale to tylko przygrywka. Czekają nas ETS2, czyli objęcie certyfikatami CO₂ także budownictwa, transportu i rolnictwa, co według raportu Warsaw Enterprise Institute będzie kosztowało 21 mld zł rocznie. Cała strategia „Fit for 55” ma kosztować Polskę, bagatela, 200 mld euro. W tym mamy realizować urojoną zeroemisyjność budynków, wprowadzić zakaz dla samochodów spalinowych, kotłów na paliwa kopalne i inne regulacje podobnego charakteru. To wszystko spowoduje, że przeciętnego człowieka zwyczajnie nie będzie stać na to, by utrzymać siebie i swoją rodzinę. Tak bardzo podrożą energia elektryczna, ogrzewanie, transport lądowy i lotniczy oraz przede wszystkim produkty spożywcze.

Unijne rozporządzenie metanowe doprowadzi do szybkiej likwidacji polskiego górnictwa

Dyrektywa EPBD, która zmusza do termomodernizacji budynków, już została okrzyknięta dyrektywą wywłaszczeniową. Szacuje się bowiem, że termomodernizacja tylko jednego mieszkania tak, by spełniała nowe unijne normy, będzie kosztowała 10–50 tys. euro. A Parlament Europejski przyjął przepisy, które przewidują wprowadzenie od 2030 r. zakazu sprzedaży i wynajmu mieszkań niespełniających wymogów w zakresie tzw. śladu węglowego.

FUNDUSZ ODBUDOWY

Drugim powodem wycofania się z UE jest unijny Fundusz Odbudowy, na który niestety entuzjastycznie zgodził się polski rząd (pamiętamy na ulicach te billboardy o 770 mld zł wynegocjowanych dla Polski w UE). Z jednej strony oznacza on utratę suwerenności w związku ze wspólnym zaciąganiem długu przez kraje członkowskie Unii, a z drugiej wprowadza – łamiąc w ten sposób polską konstytucję – nowe podatki. Polska nie dostała w ramach Funduszu Odbudowy do tej

oficjalnie i jednoznacznie przyznać, obawiając się utraty części poparcia. To błąd, bo zdecydowana większość zwolenników Konfederacji zdaje sobie sprawę z destrukcyjnego charakteru członkostwa Polski w Unii.

POLITYKA KLIMATYCZNA

Po pierwsze, unijna polityka energetyczno-klimatyczna przynosi Polsce wyłącznie straty. I to gigantyczne. Chodzi już nie tylko o energetykę (Anna Moskwa, minister klimatu i środowiska, w wywiadzie z „Rzeczpospolitą” stwierdziła, że w ramach konieczności dostosowywania

się Polski do unijnej polityki energetyczno-klimatycznej do 2040 r. wydatki na same moce wytwórcze w elektroenergetyce wyniosą 726,4 mld zł) i przemysły energochłonne, które zostały wtłoczone do ETS i zostały zmuszone do wykupywania absurdałnych uprawnień do emisji dwutlenku węgla po to, aby Polska zrezygnowała z węgla i gazu na rzecz wiatraków i fotowoltaiki.

Jest jeszcze unijne rozporządzenie metanowe, które w sposób niekontrolowany doprowadzi do szybkiej likwidacji polskiego górnictwa węgla kamiennego. Poza kwestią utraty bezpieczeństwa

PH. ADRIAN STOK

pory złamanego euro, ponieważ Bruksela zażądała spełnienia tzw. kamieni milowych jako warunków wstępnych wypłat (sam spór z UE w sprawie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego kosztował Polskę prawie 556 mln euro). Pieńędzy nie otrzymujemy, ale Polska już płaci odsetki na spłatę długów Funduszu Odbudowy, a od początku 2021 r. także unijny podatek od nierecyklowanego plastiku (ok. 1,7 mld zł rocznie).

Tymczasem Brukseli zaczyna brakować środków. Komisja Europejska przedstawiła plan mający zwiększyć dochody własne Unii Europejskiej o kilkadziesiąt miliardów euro w skali roku. W tym celu mają zostać nałożone nowe podatki, m.in. oparte o CIT i graniczny podatek węglowy. Komisja chce też przejąć część dochodów z ETS. Kolejne europodatki w drodze, jak np. opłata od dostawców treści internetowych na rzecz operatorów telekomunikacyjnych.

ESG

Trzecim powodem opuszczenia UE jest coś, o czym dopiero zaczyna się głośno mówić, a większość społeczeństwa nie ma jeszcze o tym pojęcia. W 2018 r. weszło w życie kosztowne, niepotrzebne i mocno doskwierające przedsiębiorcom BDO (Rejestr podmiotów wprowadzających produkty, produkty w opakowaniach i gospodarujących odpadami), ale to była tylko przygrzywka przed czymś znacznie poważniejszym. Mam na myśli raportowanie ESG (kwestie środowiskowe, społeczne i praktyki zarządzania). Jak w raporcie „Pod ciężarem ESG. Koszty raportowania ESG dla małych i średnich firm w Polsce” zauważył Warsaw Enterprise Institute: „Firmy bezpośrednio objęte unijną dyrektywą CSRD co roku będą ponosić koszt w wysokości od 1,4 do 2,6 mld zł. Dodatkowo poniosą jednorazowy koszt dostosowania się do tej regulacji w wysokości od 0,8 do 1,1 mld zł. Co więcej, wysokie koszty poniosą także firmy nieobjęte bezpośrednio CSRD, ale będące kontrahentami tych posiadających obowiązek raportowania ESG. Dla polskich MŚP ten koszt pośredni może sięgać nawet 8 mld zł rocznie. Małe i średnie firmy poniosą też jednorazowe koszty dostosowania się do przepisów na poziomie do 1,4 mld zł”. Są też uzasadnione obawy, że CSRD zostanie rozszerzona

Za nieprzyjęcie migrantów będzie trzeba płacić kwotę w wysokości co najmniej 20 tys. euro na osobę. Rady UE nie interesują miliony uchodźców wojennych z Ukrainy, które przyjęła Polska

na wszystkie małe i średnie firmy z wyłączeniem osób fizycznych prowadzących działalność gospodarczą o zatrudnieniu do dziewięciu osób. W tej sytuacji „coroczne bezpośrednie obciążenia wyniosłyby od 9,8 do 23,6 mld zł, a koszty jednorazowe wdrożenia regulacji od 5,5 do 13,2 mld zł”. Przy czym żadnej firmie do niczego nie są potrzebne ani te raporty ESG, ani te koszty, a skutkiem wdrożenia będzie utrata przez nie konkurencyjności na międzynarodowym rynku.

BEZPIECZEŃSTWO ŻYWNOŚCIOWE

Czwarty powód: Unia Europejska prowadzi nieudolną interwencjonistyczną Wspólną Politykę Rolną (przeregulowanie branży, patologiczne dotacje i dopłaty od hektara), a ponadto traktaty unijne pozbawiły nas suwerenności handlowej, co uderzyło w polskich rolników w czasie ukraińskiego konfliktu z Rosją. Polska nie mogła wbrew unijnemu prawu zamknąć granic, kiedy zaczęto sprowadzać z Ukrainy olbrzymie ilości zboża i innych produktów rolno-spożywczych.

Jestem zwolennikiem wolnego handlu, ale musi się on odbywać na uczciwych zasadach. Tymczasem ukraińskie towary nie muszą spełniać unijnych norm i przez to stają się nieuczciwą konkurencją dla polskich rolników i firm. Eurokratom i tego za mało – w Komisji Europejskiej pojawił się obłąkany pomysł, by w celu „odtworzenia przyrody” Polska załała wodą prawie 400 tys. ha gruntów użytkowanych rolniczo. Ta polityka wobec rolnictwa wraz z unijną strategią „Od pola do stołu” i omówionymi wyżej certyfikatami CO₂ zlikwiduje nasze bezpieczeństwo żywnościowe.

IMIGRANCY

Powód piąty to wymuszanie przez Brukselę przyjmowania imigrantów. W okresie pierwszej fali wielkiego najazdu arabskich nielegalnych imigrantów do

Unii Europejskiej polski rząd był mocno krytykowany przez eurokomisarzy za brak zgody na ich relokację do Polski. Miały być jakieś kary, ale rozeszło się po kościach. Teraz – po koronawirusowej pandemii, a mimo rosyjsko-ukraińskiej wojny – temat wrócił na brukselskie salony.

W czerwcu Rada Unii Europejskiej ustaliła minimalną roczną liczbę relokacji na 30 tys. osób. Za nieprzyjęcie imigrantów będzie trzeba płacić kwotę w wysokości co najmniej 20 tys. euro na osobę. Będzie to nie tylko kosztowało, lecz także rodziło problemy wewnętrzne – utratę bezpieczeństwa przez Polaków. Co ciekawe, Rady UE nie interesują miliony uchodźców wojennych z Ukrainy, których przyjęła Polska. Ich się nie wlicza do bilansu. Gdzie podziła się nasza suwerenność? Tak samo jak w kwestii Puszcz Białowieskiej czy kompleksu energetycznego w Turowie, którego zamknięcie zażądał TSUE.

GENDER

Szóstym powodem jest Karta praw podstawowych i coraz bardziej agresywne zmuszanie do indoktrynacji w duchu obcej nam ideologii gender i LGBT, co stoi w całkowitej sprzeczności z sumieniem i wyznawaną wiarą zdecydowanej większości Polaków.

Chodzi o likwidację tradycji i naszej tożsamości oraz całkowite przerobienie społeczeństwa na bezbronną, zindoktrynowaną masę. W tym celu m.in. blokowane są wypłaty należnych dotacji unijnych samorządom nieuległym marksistowskiej patologii.

Już w 2015 r. Komisja Europejska przyjęła listę działań odnośnie do postępu w zakresie równości LGBT. Znalazły się tam postulaty, których realizacja może naruszać porządki konstytucyjne krajów członkowskich, np. narzucenie siłą nakazu legalizacji tzw. małżeństw homoseksualnych.

Teraz – mimo że zgodnie z unijnymi traktatami prawo rodzinne materialne należy do wyłącznej kompetencji krajów członkowskich – Komisja przygotowała projekt rozporządzenia, który wprowadza obowiązek wzajemnego uznawania przez kraje Unii orzeczeń stwierdzających rodzicielstwo osób tej samej płci.

Jakby tego było mało, projekt dyrektywy dotyczącej zapobiegania i zwalczania przemocy wobec kobiet i przemocy domowej proponuje penalizację umyślnego nawoływania do przemocy i nienawiści w Internecie ze względu na „gender”, co – zdaniem Instytutu Ordo Iuris – może służyć za pretekst do istotnego ograniczenia wolności słowa. Unijni prawodawcy domagają się też w dyrektywie m.in. wspierania „odpowiednich” zmian zachowań w społeczeństwie czy używania przez urzędników języka „wrażliwego płciowo”.

Jak czytamy w książce „Kościół w obliczu rewolucji. Marksistowski marsz przez instytucje Kościoła katolickiego” autorstwa Dariusza Rozwadowskiego: „Unia Europejska w wyniku długiego marszu przez instytucje została opanowana przez marksistów i krok po kroku realizuje ich wizję świata bez Boga, gdzie człowiek zostaje sprowadzony do poziomu zwierzęcia, którym łatwo sterować”. Autor dodaje, że „Unia Europejska, przyjmując za drogowskaz zjednoczenia »Manifest z Ventotene«, wypowiedziała wojnę Kościołowi katolickiemu i wartościom chrześcijańskim. Porzuciła własne dziedzictwo, dokonała apostazji i – śladem Imperium Rzymskiego – prześladowała chrześcijan, mimo że w odróżnieniu od Rzymian, którzy jeszcze nie poznali tej religii, doskonale zdaje sobie sprawę z dóbr duchowych i moralnych oraz kulturowych i społecznych, jakie chrześcijaństwo dało Europie”. Na pewno nie do takiej Unii wchodziliśmy.

I WIELE, WIELE INNYCH

Powyższe punkty oczywiście nie wyczerpują wszystkich problemów, które stwarza nam Unia Europejska. Takich kłopotów jest wiele. Na przykład kwestia konieczności recyklingu odpadów, która wymusiła absurdalną reformę zbierania śmieci – w efekcie czego ceny za te usługi wzrosły o kilkaset procent.

To także różne wymogi dotyczące norm emisji spalin czy obowiązkowego instalowania niepotrzebnych systemów w samochodach powodują, że są one znacznie droższe. Zmagamy się z RODO, a tymczasem nadchodząca dyrektywa PSD3 spowoduje, że firmy i urzędy będą miały dostęp do wszystkich naszych danych pochodzących z płatności drogą elektroniczną. Pamiętamy sprawę eurozakazu tradycyjnych żarówek, termometrów rtęciowych i plastikowych sztuczków. Zakazano też plastikowych słomek, które firmy, takie jak McDonald’s, zastąpiły papierowymi rurkami. Bruksela zastanawia się też nad zakazem używania tradycyjnego papieru toaletowego. Legalny ma być produkowany wyłącznie ze słomy. Pojawił się też pomysł zakazu zbierania grzybów i owoców w lesie.

Ryszarda Petru może być tylko jedna. Członkostwo w Unii Europejskiej oznacza gigantyczne obciążenie dla polskiej gospodarki, polskich firm, polskich finansów publicznych, a przede wszystkim kieszeni przeciętnego Polaka, o ograniczeniach wolności i przerobieniu naszej mentalności nie wspominając. Co niezwykle istotne, są to koszty, które musimy ponieść wbrew traktatom i naszej woli, a nie są one nam do niczego potrzebne. Jeden z unijnych zakazów tak skomentował Szczepan Wójcik, przedsiębiorca, prezes Instytutu Gospodarki Rolnej: „Niespecjalnie przeraża mnie wizja UE bez samochodów spalinowych. Liczę po cichu na to, że współczesna karykatura wspólnoty europejskiej, która miała być naszym wspólnym dążeniem ku rozwojowi i współpracy gospodarczej

Kierowana przez Niemcy polityka Unii Europejskiej bezpardonowo niszczy polską gospodarkę, wysysa z niej soki i drenuje kieszenie polskich podatników i konsumentów, uderzając przy tym w naszą suwerenność

Od 2024 r. ma zacząć obowiązywać unijna regulacja, zgodnie z którą firmy eksportujące swoje produkty do Unii Europejskiej będą musiały udowodnić, że ich towary nie są powiązane z wylesianiem, co może wprawić w kłopoty biznesy z wielu branż, np. papierniczej. Z drugiej strony takimi przepisami jak pakiet mobilności pierwotne cztery wolności, na których opiera się unijna współpraca (na dostępie do ponad 400 mln konsumentów Europejskiego Obszaru Gospodarczego polska gospodarka bardzo zyskała), są coraz bardziej ograniczane. A na dodatek Bruksela chce przejmować kolejne obszary, w których nie ma kompetencji, jak np. sądownictwo, a ostatnio lasy. W ten sposób podmywa suwerenność krajów członkowskich w celu budowy państwa federalnego.

„NIE CHCEMY WASZYCH TRAKTATÓW LIZBOŃSKICH”

Powyższe punkty w sposób jednoznaczny i wystarczająco wyjaśniają, dlaczego odpowiedź na pytanie

między narodami, będzie do tego czasu złym wspomnieniem”.

Kierowana przez Niemcy polityka Unii Europejskiej bezpardonowo niszczy polską gospodarkę, wysysa z niej soki i drenuje kieszenie polskich podatników i konsumentów, mocno uderzając przy tym w naszą wolność, bezpieczeństwo i suwerenność. Im szybciej powstrzymamy ten skrajnie szkodliwy dla Polski i szybko pogłębiający się proceder, tym lepiej dla nas. Odważniejszy od prezesa Mentzena był poseł Krzysztof Bosak, który podczas konwencji Konfederacji powiedział wprost: „Nie chcemy waszych traktatów lizbońskich i waszej Karty praw podstawowych, przed którą podobno nas zabezpieczyliście, a którą teraz nas szantażują. Nie chcemy europejskich zielonych ładów, nie chcemy waszego »Fit for 55«, na który zgodził się Morawiecki, nie chcemy ETS, na które zgodził się Tusk, nie chcemy ETS2, na które zgodził się Morawiecki. Nie chcemy tej całej klimatycznej nowomowy”.

TOMASZ ROWIŃSKI: Jak patrzy pan na te osiem lat pracy na rzecz polskiej kultury? Jakie to doświadczenie?

PROF. PIOTR GLIŃSKI: To było osiem lat bardzo ciężkiej pracy, ale jednocześnie pracy, która była misją i wyzwaniem. W pewien sposób my wszyscy – mówię o kierownictwie resortu – jesteśmy wolontariuszami. Nikt nas nie zmuszał do podjęcia tej pracy, nie możemy zatem narzekać na ciężar obowiązków. Polityka jest działaniem dla dobra publicznego, ale stanowi też obszar rzeczywistości – na ogół nielogiczny, niesprawiedliwy, często pełen skrajnych emocji i wielu jeszcze innych cech, które są trochę nieludzkie, nadzwyczajne. Wszystko to wymaga uzbrojenia się w specyficzne mechanizmy obronne czy przystosowawcze. Bez tego osiągnięcie celu, którym jest właśnie dobro publiczne, jest właściwie niemożliwe.

Jednak polityka to chyba nie sam ciężar?

Polityka jest także fascynująca, bo jest to jeden z nielicznych obszarów ludzkiej aktywności, w których można mieć tak duży wpływ na zjawiska społeczne o szerokiej skali. Często osoby spoza polityki są sfrustrowane tym, że nie są sprawcze. Stąd zresztą, nieprzypadkowo, wynika m.in. wielka popularność negatywnych stereotypów na temat polityki. W polityce wszystko widać, wszystko odbija się w mediach w sposób wielokrotniony, np. ludzkie słabości, stąd łatwo jest polityków szybko, negatywnie oceniać. Jednocześnie bardzo często osoby zajmujące się opisywaniem spraw publicznych – to dotyczy dziennikarzy czy analityków społecznych – przeskakują do polityki, bo – mówiąc metaforycznie – ornitolog chce latać. Bycie w polityce daje więc tę poszukiwaną przez wielu sprawczość. Jedni potrzebują jej, by rozkoszować się smakiem władzy, inni – by mieć satysfakcję z realizacji dobra publicznego.

A może bardziej chodzi o sławę i chwałę?

Naturalnie, polityka daje także rozpoznawalność. Wiele osób ma tę słabość, i to jest też naturalne. Gdy Jarosław Kaczyński zaproponował mi misję wejścia do polityki, tworzenia rządu technicznego, zastanawiałem się, czy ja sam nie chcę jej podjąć właśnie dlatego, że z dnia na dzień cała Polska będzie o mnie mówiła. Tego rodzaju skłonność czy –



Z prof. Piotrem Glińskim,
ministrem kultury i dziedzictwa narodowego
rozmawia Tomasz Rowiński

Osiem lat odbudowy kultury



mówiąc wprost – słabość charakteru nie powinna jednak decydować o naszym zaangażowaniu w życie publiczne. A przynajmniej nie powinna być dla podjęcia takiej decyzji kluczowa.

Jest też jakiś rodzaj satysfakcji?

Uważam, że zadania, których się podjęliśmy, mają charakter podstawowy. Unikam mówienia o osobistej satysfakcji. Natomiast mogę mówić o wypełnieniu zadań, których się podjąłem. I to wymagało determinacji. Przez pierwsze trzy lata pracowałem np. po kilkanaście godzin dziennie przez siedem dni w tygodniu. Bez tego realizacja wielu założeń nie byłaby możliwa. Teraz widać już pewne efekty, które do pewnego stopnia mogę uznać za satysfakcjonujące. Do tego potrzebna była również kumulacja trzech aspektów – dobrego, merytorycznego rozpoznania sytuacji, odwagi w podejmowaniu decyzji i konsekwencji w pilnowaniu ich wykonania. Dodałbym jeszcze walkę o pozycję tych spraw, za które jestem odpowiedzialny w hierarchiach politycznych – w obrębie rządu, grupy politycznej. Tu miałem o tyle łatwiej, że od początku byłem wicepremierem, uczestnicząc także w pracach prezydium komitetu politycznego Prawa i Sprawiedliwości. To są kwestie

Przez pierwsze trzy lata pracowałem np. po kilkanaście godzin dziennie. Bez tego realizacja wielu założeń nie byłaby możliwa

bardzo ważne, żeby zapewnić skuteczność naszych działań. Szczególnie że kultura jest zwykle w polityce na końcu spraw istotnych.

Dlaczego tak się właściwie dzieje?

Ponieważ efekt uzyskiwany dzięki pracy na rzecz kultury jest często początkowo niewidoczny, mało spektakularny, wymaga zmian długofalowych i nie dotyczy potrzeb podstawowych, ale samorealizacji. A jednocześnie to właśnie

FOT. MINISTERSTWO KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

te potrzeby samorealizacyjne budują ostatecznie system tożsamości, system wartości, od tego zaś zależą w długim okresie wszystkie inne rzeczy. Niestety, presja doraźnych potrzeb bieżącej polityki często osłabia tę długodystansową pracę czy perspektywę. To zresztą jest jedną z przyczyn złej polityki, tego, że polityka bywa często nieskuteczna.

Skoro już rozmawiamy o samej polityce, to jak ważny jest dobór współpracowników?

To kolejna składowa sukcesu w polityce. Dobór właściwych ludzi jest bardzo trudnym przedsięwzięciem. Potrzebni są ludzie zdolni do tego, by realizować zadania. Nie zawsze ma się szczęście spotkać odpowiednie osoby. Jednak udało nam się zbudować zespół o bardzo różnych, mocnych osobowościach. Mocne osobowości to, co prawda, trudne osobowości, ale często też skuteczne. Sam nieraz żyzym się na działania swoich współpracowników, ale wiedziałem, że tak musi być, że muszą oni mieć autonomiczny obszar swoich działań i odpowiedzialności, ponieważ w ten sposób mnie wspierają – nawet jeśli uważałem, że coś powinno być inaczej czy lepiej zrobione. Inna sprawa, że nieraz było cudem, iż coś w ogóle udawało się przeprowadzić.

Cudem?

Tak można powiedzieć. Kultura jest trudnym obszarem, jest zwykle niedoinwestowana, a zaległości w tym zakresie w Polsce są znaczne. Jednocześnie sprawy kultury często znajdują się na medialno-politycznym pierwszym froncie. Do tego środowiska artystyczne i kulturalne są współcześnie szalenie zindywidualizowane, kapryśne, egoistyczne. Mają na uwadze przeważnie swój wąski partykularny interes, coraz trudniej spotkać artystę z cechami polskiego inteligenta, który miał zawsze jakieś poczucie misji czy odpowiedzialności wobec wspólnoty. Jednocześnie wciąż pokutuje w tych środowiskach straszliwy kompleks wobec Zachodu, objawiający się zarówno w bezrefleksyjnym, stadnym naśladownictwie zachodnich trendów i mód, jak i w automatycznych zachwytach wobec zachodnich instytucji i „autorytetów”.

Jak pan ocenia pracę resortu kultury przed rokiem 2015?

Przed wszystkim wtedy budżet ministerstwa był dwa razy mniejszy, a także, jak sądzę, mniej podejmowano wyzwania. Jednego z ministrów, który tu był przede mną, nazywano np. „Panem Nie”. Nie było mnie jednak wtedy w resorcie, więc nie chcę tego oceniać. Wolę mówić o tym, że po roku 2015 podjęliśmy wiele wyzwań, których wcześniej nie podjęto. Czasem może nawet za dużo, bo moi współpracownicy są niekiedy naprawdę przeciążeni obowiązkami.

Proszę spojrzeć, dziś ministerstwo współprowadzi o 100 proc. więcej instytucji, niż miało to miejsce w przeszłości. Oznacza to dwukrotnie większy potencjał polskiej kultury pod opieką państwa. Mamy o 100 proc. więcej pomników historii, trzy razy większe nakłady na zabytki, realizujemy znacznie więcej programów w ramach mecenatu ministra, zrealizowaliśmy ok. 30 tys. projektów, 8 tys. inwestycji, w tym liczne dotyczące zabytków. Za naszą sprawą powstało m.in. 25 nowych sal koncertowych w szkołach muzycznych, zaangażowaliśmy się – w różnym stopniu – w ponad 300 projektów muzealnych w Polsce i za granicą.

Jakimi kryteriami kierowało się ministerstwo, wybierając obszary działań?

Potrzebami polskiej kultury. Zaniechaniami poprzedników. Ale te wybory często miały także charakter w pewnym sensie naturalny. W niektóre dziedziny niełatwo było inwestować, więc szliśmy w te strony, gdzie widzieliśmy, że można osiągnąć efekty, gdzie nasze stanowisko było przyjmowane ze zrozumieniem, a mecenat państwa uznawany za potrzebny. I rzeczywiście przeprowa-

która mogła wystartować już w trzy miesiące od powołania instytucji na bazie zespołu wyrzuconego z Warszawskiej Opery Kameralnej, to rzadkie przypadki. Dla przykładu: Teatr Kłasyki Polskiej, zanim stał się narodową instytucją kultury, formował się przez kilka lat, przy naszym wsparciu, ale jako działalność kulturalna w ramach trzeciego sektora.

Skoro mówimy o teatrze, pomówmy też o filmie...

Z tym było bardzo różnie. Film jest trudniejszy od spektaklu teatralnego, ponieważ wymaga większych pieniędzy i jest większe ryzyko porażki. A środowisko też jest, jakie jest. To, co się udało, to zmiana na stanowisku szefa PISF. Kieruje nim sprawny menedżer, który rozumie środowisko filmowe. Niewątpliwie daliśmy więcej możliwości twórcom – w tej chwili kręconych jest przy wsparciu państwa 50 filmów rocznie. Myślę, że możemy oczekiwać, iż między nimi będą powstawały wartościowe rzeczy – już takie powstają. Dużo zrobiliśmy, żeby powstawały produkcje poświęcone polskiej historii. Niekoniecznie jestem usatysfakcjonowany ich jakością, ale jest ich dużo. Spowodowaliśmy olbrzymi skok w filmie dokumentalnym. Wprowadziliśmy także tzw. zachęty, czyli system częściowej refundacji kosztów produkcji wytworzenia dzieła filmowego w Polsce.

W ostatnich ośmiu latach ministerstwo najbardziej postawiło jednak na rozwój muzealnictwa.

To jest jeden z wiodących naszych projektów, ponieważ w Polsce brakowało muzeów. Wcale nie mamy takich placówek więcej niż w innych krajach, wręcz przeciwnie, byliśmy dość daleko w staty-

Środowiska artystyczne i kulturalne są współcześnie szalenie zindywidualizowane, kapryśne, egoistyczne. Mają na uwadze przeważnie swój wąski partykularny interes

dziiliśmy swoistą korektę, jeśli chodzi o strumienie środków, które szły z ministerstwa do twórców. Jednak pieniądze to nie wszystko, do każdego działania potrzebni są ludzie i czas, w którym dany projekt dojrzeje. Takie historie jak powstanie Polskiej Opery Królewskiej,

stykach europejskich. Można powiedzieć, że taki ruch był konieczny. Wiele białych plam polskiej pamięci nie było zinstytucjonalizowanych, zaopiekowanych. Nie było muzeów Żołnierzy Wyklętych, polskich Kresów, Sybiru, Piaśnicy i wielu, wielu innych. Muzea są bez wątpienia na-

szym dobrze widocznym sukcesem. I to są zwykle bardzo ciekawe instytucje. Zresztą jestem właśnie zwolennikiem tworzenia sprawnych instytucji, a jeśli za nimi stoją zmotywowani ludzie, to oznacza to mniej pracy dla ministerstwa. Zwykle jest tak, że ludziom, którzy stają na czele instytucji – szczególnie gdy są one związane z jakąś aksjologią – zależy na ich jak najlepszym funkcjonowaniu. System instytucjonalny w połączeniu z wartościami po prostu działa. Właśnie wróciłem z Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego przy Świątyni Opatrzności Bożej, które powstało w 2020 r. To świetne muzeum, choć jeszcze za mało rozpropagowane.

Które muzeum jest dla pana najważniejsze osobiście?

Na pewno Muzeum Historii Polski, które właśnie otworzyliśmy na warszawskiej Cytaeli, ale nie mogę nie wspomnieć o Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, które udało nam się wyprowadzić z poważnego kryzysu w trakcie budowy. Tam mieliśmy do czynienia niemal z katastrofą budowlaną, a jednak wyprowadziliśmy tę placówkę na prostą pomimo dramatycznej sytuacji, w jakiej się znalazła.

Może to dobry moment, by wspomnieć też o innych nowych niemuzealnych instytucjach, jakie powstały w ostatnich latach.

Przede wszystkim Instytut Pileckiego, Instytut Architektury i Urbanistyki, Instytut Literatury, Instytut Polonika – to pierwszy instytut, który zajmuje się naszym dziedzictwem za granicą. Także Instytut Dziedzictwa Solidarności i Centrum Solidarności „Stocznia” w Szczecinie. Powołanie tych instytucji to były działania absolutnie konieczne, które wcześniej przez lata zaniedbywano.

Teraz jeszcze czekają w kolejce do utworzenia równie bardzo ważne instytucje, jak strategiczna wręcz Narodowa Agencja Rewitalizacji Dziedzictwa, która ma zająć się wielkim wsparciem dla zabytków w Polsce, m.in. rewitalizacją miast, czy Narodowy Instytut Sztuk Wizualnych. Warto też wspomnieć o takich – jak się zdawało – straconych, a udanych misjach, jak zakup kolekcji Czartoryskich, uratowanie Muzeum Polskiego w Rapperswilu, zakup archiwów dokumentujących działalność grupy

Ładosia, sprowadzenie do Polski dzieł Łukaszowców, kolekcji tureckiej ambasadora Sokolnickiego czy rzeźb Augusta Zamoyskiego. Przez lata tylko mówiło się, że są to sprawy do załatwienia, ale nic się właściwie nie działo, żeby zostały załatwione. My to zrobiliśmy.

Na pewno trzeba wspomnieć system odzyskiwania dzieł sztuki.

To najbardziej zauważalne medialnie działanie Ministerstwa Kultury. Przez ten pryzmat wielu Polaków widzi naszą pracę. I bardzo dobrze. Dlatego działania restytucyjne doinwestowaliśmy, powołaliśmy specjalny departament, który się tym zajmuje. W czasie ośmiu lat odzyskaliśmy prawie 700 dzieł sztuki i innych utraconych obiektów, np. kolekcję... zoologiczną przedwojennego Państwowego Muzeum Zoologicznego w Warszawie.

Udaje się sporo dzieł odzyskiwać dzięki indywidualnym pertraktacjom, ale państwo niemieckie, niestety, nie pomaga

Jednak relacje ze stroną niemiecką, nie mówiąc o Rosjanach, nie są dobre.

Jeśli chodzi o Rosjan, to pozostaje nam składanie kolejnych wniosków restytucyjnych. To trochę działanie pro forma, ale naszym obowiązkiem jest upominanie się o polskie straty, co do których mamy pewność, że są w rosyjskich zbiorach. Niestety, po stronie niemieckiej także nie ma woli, by nasze słuszne oczekiwania spełnić. Udaje się sporo dzieł odzyskiwać dzięki indywidualnym pertraktacjom i działaniom restytucyjnym, ale państwo niemieckie, niestety, nie pomaga. Prawo niemieckie umożliwia przejście na własność dzieła skradzionego po 30 latach, jeśli ktoś stał się jego posiadaczem w tzw. dobrej wierze. Dlatego skradzioną z Muzeum Narodowego w Warszawie w 1984 r. grafikę Kandinsky'ego, opatrzoną pieczęcią naszej instytucji, zidentyfikowaną na aukcji w Niemczech, wróciła do niemieckiej posiadaczki, a nie do pra-

wowitego właściciela w Polsce. Ot, taka niemiecka, europejska, jak najbardziej współczesna, praworzadność...

Proponował pan stronie niemieckiej jakieś konkretne działania w sprawie polskiego mienia, które zostało zagrabione?

W 2018 r. zwróciłem się do ówczesnej minister kultury Niemiec z propozycją, byśmy wystosowali w mediach wspólny apel do społeczeństwa niemieckiego o zwrot dóbr. Chodziło o to, żeby zmobilizować niemiecką opinię publiczną, uwrażliwić ją na tę kwestię, żeby Niemcy obywatele przejrzieli, co mają w swoich salonach, sejfach i piwnicach, i na zasadzie dobrowolności oddali. Niestety, nigdy nie udało się tego apelu opublikować, mimo że zaczęły się jakieś wspólne prace, powstał szkic tekstu. Niemcy się jednak z tego „rakiem” wycofali. Zapewne było to dla nich zbyt kosztowne politycznie, co oznacza, że społeczeństwo niemieckie nie jest jeszcze gotowe do rozliczenia się ze zbrodni drugiej wojny światowej. Jak z tego punktu mamy oceniać wszystkie te deklaracje o przeprosinach i biciu się w piersi? To jest czysta obłuda.

Warto także pamiętać, że wciąż nie ma pomnika polskich ofiar drugiej wojny światowej w Berlinie, a strona niemiecka przewleka sprawę od 20 lat. Jak diabeł wody święconej boją się też naszego raportu o stratach wojennych.

Jakie wyzwania stoją jeszcze przed ministerstwem?

O części instytucjonalnej już powiedziałem, są pewne sprawy legislacyjne, które należy przeprowadzić. Jednak to, na co trzeba jeszcze zwrócić uwagę i rozwinąć, to wychowanie młodego pokolenia, dalsze wsparcie dla szkół artystycznych. Doinwestowania potrzebują też archiwa, to bardzo ważna część tożsamości państwowej i narodowej. Nieco ten temat już ruszyliśmy – przykładem mogą być nowo otwarte archiwa w Krakowie, Nowym Sączu czy Bydgoszczy. Chciałbym również, aby zrealizowany został program większej dostępności narodowych instytucji kultury i muzeów, co oznaczałoby darmowe bilety dla dzieci, młodzieży i seniorów. Mamy to w programie Prawa i Sprawiedliwości. Jeśli znajdą się na to środki, to ten projekt także wkrótce zostanie zrealizowany.

Alfabet kampanii rybki akwariowej



Michał Kołodziejczak z AgroUnii (w niebieskiej koszuli) próbuje nie dopuścić Michała Rachonia do Donalda Tuska. Patrz: punkt „Wyjątkowo niski ochroniarz”

FOT. WOJCIECH OLSZAK/STREET NEWS



Piotr Semka

Jak w naszej pamięci zapisze się kampania wyborcza 2023 r.? Ostatnie przedwyborcze tygodnie streszczamy w alfabetycznym skrócie

AKWARIOWA RYBKĄ. Według licznych teorii ma pamięć ograniczającą się do paru sekund. Skąd skojarzenie obecnej kampanii z rybkami akwariowymi? Wszystkie rywalizujące obozy polityczne, na czele z dwoma głównymi

antagonistami – PiS i Platformą – bardzo często zmieniały główne tematy politycznej rywalizacji. Przykładowo, gdy PiS w maju ogłosił, że zwiększa kwotę pomocy socjalnej z „500+” do „800+”, wydawało się, że będzie to jeden z wątków w kampanii rządzącej partii. Jednak zarówno Platforma szybko zaczęła się zaklinać, że nie ruszy owych „ośmiu stówek” w razie zdobycia władzy, jak i PiS szybko zorientował się, że wyborcy uznali podwyżkę sumy za coś oczywistego. I nie skłoni ich to bynajmniej do jakiejś nadzwyczajnej wierności dla partii Jarosława Kaczyńskiego. Z kolei Platforma skupiała się na rytualnym powtarzaniu „Oni już wiedzą, że przegrali”. A ogłoszonych „stu konkretnych Platformy” żaden z polityków tej partii nie był w stanie

spamiętać. Dlatego tematy zmieniały się w tym roku bardzo często. Było to o tyle naturalne, że przy ostrości wzajemnych ataków planiści wszystkich kampanii musieli co rusz zmieniać pole sporu, aby nadążyć za gustami wyborców.

AKTYWISZCZA. Według słownika slangu Miejski.pl jest to „osoba zajmująca się aktywizmem”. Zazwyczaj są to osoby o lewicowych poglądach związane ze społecznością LGBT lub kolektywami anarchistycznymi. Określenie to zostało wymyślone jako tzw. neutratyw, czyli forma neutralna płciowo, tak aby pod tę kategorię można było podciągnąć nie tylko kandydatki na posłów kobiety i kandydatów mężczyzn, lecz także osoby niebinarne używające w stosunku do sie-

bie zaimków „ono” i „jego”. W kampanii trzy „aktywistyczne” startują z list lewicy, a jedno „aktywistyczne” zostało wystawione na listę Koalicji Obywatelskiej.

BAKIEWICZ ROBERT. PiS wprowadził jednego z organizatorów Marszu Niepodległości, wynagradzając jego paroletni polityczny flirt z PiS. Bąkiewicz wsadził na listę w okręgu Radom. Początkowo Platforma chciała uczynić oburzenie z nominacji dla Bąkiewicza jednym z głównych motywów krytykowania rzeckomej „faszyzacji” PiS. Jednak późniejsza decyzja Donalda Tuska o wystawieniu w województwie świętokrzyskim Romana Giertycha bardzo utrudniła PO demonstrowanie świętego oburzenia.

BIĄŁE KOSZULE I CZERWONE SERDUSZKA. Jednolite „umundurowanie” polityków Koalicji Obywatelskiej miało być demonstracją czystych intencji i moralnej jasności platformersów, w odróżnieniu od czerni garniturów „kaczystów”. Jednak pomysł ten jakoś nie odegrał większej roli w kampanii, podobnie jak symbol biało-czerwonego serca. Faktem jest, że Donald Tusk w białej koszuli prezentował się stosunkowo młodzieńczo. Ale skłonności do marszczenia czoła i brwi w słynnym „wilczym” wyrazie twarzy nie zmienił.

„CZASKOSKI”. Tegoroczna kampania miała być okazją do ugruntowania jego roli swego rodzaju wiceszefa Platformy. Tym, którym obce są skomplikowane meandry naczelnych władz PO, przypomina, że Rafał Trzaskowski jest obecnie tylko jednym z aż 14 wiceszefów PO. Zaproszenie Donalda Tuska w kierunku Trzaskowskiego, by ten wspomagał go na trasie kampanijnej, wyglądało jak jakiś wstęp do duopolu na szczytach władzy Platformy. Ale wiecznie dobrze zapowiadający się 50-letni chłopiec Platformy szybko znudził się spotkaniami na prowincji. Prędko skupił się na swojej ulubionej imprezie Campus Polska. Zwolennicy Trzaskowskiego (trudno w to uwierzyć, ale jeszcze tacy bywają) po cichu kolportują w obrębie partii plotki, że Tusk na początku października, czy być może w trakcie planowanego marszu miliona, przedstawi Trzaskowskiego jako przyszłego premiera rządu. Admiratorzy

tego manewru przekonują, że przyciągnie to do urn tych liberałów, którzy nie potrafią polubić Donalda Tuska. Ci, którzy ten scenariusz kwestionują, podkreślają, że skoro Tusk nie zdecydował się na taki krok do końca września, to wszelkie nadymanie Trzaskowskiego nie osiągnie już swojego celu. A Trzaskowski kolejny raz zaprezentował się jako malowana lala, która najbardziej lubi, żeby w polityce wszystko podać mu na srebrnej tacy.

DEHNEL JACEK I HARTMAN JAN. To dwaj progresywni skandaliści – pierwszy z obszaru literatury i środowiska LGBT, a drugi z rejonu elit uczelnianych zakochanych w PO. Obaj przenieśli na czas kampanii swoje tradycyjne ulubione zajęcia, czyli mieszanie antyklerykalizmu z zamiłowaniem do skandali. Jacek Dehnel, który startuje do Sejmu z list Lewicy w Warszawie, z lubością wyszydził ikonę beatyfikacyjną rodziny Ulmów. I żadna krzywda mu się nie stała. Inaczej wydarzyło się w wypadku Jana Hartmana, który miał reprezentować Lewicę w okręgu nr 14 w Nowym Sączu. Hartman zabłysnął w tym roku skandalizującą wypowiedzią, że pedofile jak wszyscy przestępcy, również seksualni, mają swoje prawa. Włodzimierz Czarzasty nie zdzierzył takiej dezynwoltury i usunął Hartmana z list Nowej Lewicy. Krytyka Polityczna pooburzała się rytualnie, ale w obozie opozycji zbyt wielu obrońców Hartmana nie było. Być może dlatego, że wszyscy po cichu uznali, iż bronienie pedofilów znacznie utrudni uderzanie w Kościół. A tej ulubionej rozrywki lewicowcy nie dadzą sobie odebrać.

EKSPRESOWA KATASTROFA. Kto dziś jeszcze pamięta, jak pani Marianna Schreiber, żona ministra PiS Łukasza Schreibera, z wielką pompą zakładała własną partię polityczną Mam Dość? Media wspierające opozycję zainteresowały się całym pikantnym projektem, licząc, że skandalizująca żoneczka wywoła jakąś apetyczną awanturę w PiS z nadzieją na wyrzucenie Łukasza Schreibera z partii. Ale Jarosław Kaczyński, choć sam kawaler, najwyraźniej dobrze rozumie, jakim problemem mogą być dla polityków zbyt ambitne połowice. Łukaszowi Schreiberowi włos z głowy nie spadł i opozycyjna

sfera medialna straciła zainteresowanie sprawą. A pani Marianna koniec końców została wyrzucona z partii, którą sama założyła. Najwyraźniej także w jej ugrupowaniu wszyscy mieli „jej dość”.

FILMY WYBORCZE. Dziwacznej tradycji ostatnich lat stało się zadość. Tak jak wybory samorządowe w październiku 2019 r. poprzedzał film „Kler” Wojciecha Smarzowskiego, tak jak krytyczny wobec Kościoła film „Tylko nie mów nikomu” Tomasa Sekielskiego poprzedzał wybory do europarlamentu w maju 2019 r., tak wiele osób skojarzyło premierę „Zielonej granicy” Agnieszki Holland z wyborami sejmowymi w październiku 2023 r. Dwa poprzednie filmy skłaniały liberalnych publicystów do żywienia nadziei, że wpłyną one na wyborczą porażkę PiS. I w obu wypadkach im bliżej było wyborów, tym częściej zabierali głos inni komentatorzy, którzy ponuro wróżyli, że awantura wokół tych dzieł dziesiątej muzy tylko wzmocni PiS. Kończy się wrzesień i na razie lewicowy świat jest zachwycony filmem Agnieszki Holland. Ciekawe, ile minie czasu, zanim zaczną się potępięcze głosy, że Hollandowa obiektywnie wspomogła Jarosława Kaczyńskiego.

GIERTYCH ROMAN. Jedyny kandydat w tych wyborach, który w trwającej kampanii na razie ani razu nie pojawił się w Polsce. Choć są i tacy, którzy wróżą, że Giertych wróci tuż przed wyborami i odpali jakiś gruszy numer, aby prokuratura nie miała wyjścia i musiała go zamknąć. A wtedy już efektywna kampania skierowana na potrzeby czułych serc zachodnich polityków przedstawi pana Romka jako osobistego więźnia wszechwładnego Jarkacza.

HASŁA DZIWNE I JESZCZE DZIWNIEJSZE. Nic nie poradzę, że parę razy w czasie tej kampanii Konfederacja wyskoczyła z hasłami jakby wprost napisanymi przez lobbystów pewnych specyficznych rejonów polskiego biznesu. Tak było w przypadku Sławomira Mentzena, który z zaskakującym uporem powracał do postulatów legalizacji gry w pokera na pieniądze i zniesienia zakazów picia piwa w miejscach publicznych. Równie wiele do myślenia dawały wypowiedzi

■ Krzysztofa Bosaka, innego lidera Konfy, który w publicznych wypowiedziach postulował, by deweloperzy mogli oferować nawet tak małe mieszkania jak lokale o powierzchni 15 mkw.

JOANNA Z KRAKOWA. Kto dziś pamięta, jak na fali wezwania policji do lekarza – jak się okazało, z powodu próby samobójczej – panią Joannę kreowano na nową Joannę d’Arc obozu antykacyzmu? Ekscentryczna krakowianka nie okazała się zbyt skuteczna w zdobywaniu serc zwykłych Polaków. Donald Tusk co prawda ogłosił, że jej krzywdą zostanie oprostowana na marszu miliona 1 października, ale Platforma szybko zapomniała o swej ekspresowej heroinie. Najwyraźniej Tusk zaufał feministkom, że jest to skandal wszechświata, a potem zawiedziony słabą wiarygodnością pani Joanny dyskretnie zepchnął ją na dalszy plan kampanii elekcyjnej.

KARNOWSKI JACEK. Prezydent Sopotu i domniemany lider ruchu samorządowców Tak! Dla Polski. Wiosną bieżącego roku Karnowski zamówił sondaż z pytaniem o szanse wyborcze dla ruchu polskich samorządowców. Badanie miało wykazać, że samorządowcy mogą aspirować do roli trzeciej siły na scenie politycznej, i wódarz miasta z mewą w herbie doszedł do wniosku, że w sprawie podziału miejsc na liście KO może rozmawiać z Donaldem Tuskiem jak równy z równym. Wielki Donald najpierw zachnął się ze złością, a potem dopilnował, aby Karnowski długo był trzymany jak najdalej od niego. Dzisiaj Karnowski, owszem, ma miejsce na liście, ale samorządowcy z ruchu Tak! Dla Polski bynajmniej nie rozdają kart w obozie Koalicji Obywatelskiej. I jak za dotknięciem różdżki czarnoksiężnika nagle ucichli chwalczy, którzy w samorządach widzieli najzdrowszą część polskiej polityki. Karnowski lekcję zrozumiał, spuścił z tonu i teraz już bardzo uważa, by niczym nie rozdzielić wielkiego Donalda.

LUDOŻERCY. W opinii Adama Michnika tak można określić obóz PiS. Naczelny „Wyborczej” nie wyjaśnił, kogo w pierwszej kolejności ludzie Kaczyńskiego będą zjadać po ewentualnych wygranych wyborach.

MARKOWSKI RADOŚLAW PS. PROFESOR. Nieobfitującą specjalnie w zbyt wiele chwil uśmiechu kampanię szacowny pan profesor rozjaśnił swoją opowieścią, że w trakcie imprez u siebie w domu przegląda po kryjomu portfele przybyłych gości. Jeśli u kogoś wykryje kartę lojalnościową Orlenu, to mimo prób o litość karze taki dowód kryptokacyzmu brutalnym wyrzuceniem na korytarz. „Czy wy też przeglądacie swoim gościom portfeliki, jak tego nie widzą?” – zapytał dowcipnie Konrad Kołodziejski, publicysta portalu wPolityce.pl.

NAJWIĘKSZA AFERA PO 1989 R. To określenie robiło karierę w obozie Platformy, choć co rusz odnoszono je do kolejnych problemów PiS. Najpierw największą aferą po 1989 r. była sprawa „Twin Towers”, potem sprzedaż Lotosu, a aktualnie jest nią afera wizowa. Ale jak sądzę, do 15 października coś jeszcze zostanie ochrzczone tym dramatycznym mianem.

OFIARA NR 1 WYBORCZEGO WZMOŻENIA. W mojej nieśmiałej opinii okazał się nią Michał Kolanko, dziennikarz „Rzeczpospolitej”, który wyłansował określenie „gejmczendźer” i strasznie polubił jego używanie. Teraz koledzy z „Rzepy” wymusili na nim, by gejmczendźerem tej kampanii obwieścić sprawę wiz. Kolanko wiał się jak piskorz, ale w końcu przyznał, że afera wizowa może być gejmczendźerem. Jak się zdaje, raczej nie była. Afera z wizami notowań gwałtownie nie zmieniła. I tylko honoru Kolanki żal.

PROCESY WYBORCZE. Na tle poprzednich kampanii, gdzie były one barwną areną politycznych gladiatorów, w tym roku parę nielicznych wyroków w trybie przyspieszonym wygląda ubogo i blade na tle swoich poprzedników z innych lat. Prawie wszyscy nauczyli się już atakować innych w tak sprytny sposób, by nikt nikogo nie mógł złapać za słowo.

SEWERYN ANDRZEJ. Jego nagranie wzywające swojego wnuka do „napier..ania” wejdzie do kanonu polskiego filmu. „Napier..ać i nie zważać na nic, trzeba przypie..olić, a nie dyskutować z nimi”. Sam Seweryn niespecjalnie wyglądał na zmieszanego wyciekami filmiku do mediów.

Wolał skupić się na skardze na tych, którzy mieli dostęp do jego prywatnego konta.

TOMEK KOPERTOWIEC oburza się na aferę. Pomyśl, aby to akurat adresata wiadomo jakich oskarżeń uczynić twarzą wystąpienia oburzającego się wydawaniem wiz za łapówki, pokazał, że w sztabie PO nikt w niczym nie widzi już nic dziwnego. Uznano tam, że ciemny lud pisowski nie dostrzega megaafery obozu PiS i trzeba go oświecić jedynym możliwym sposobem wdarcia się do telewizji – za pomocą orędzia telewizyjnego marszałka Senatu. Tego, że taki występ kojarzy się z kabaretem, najwyraźniej wśród platformersów nie przewidział nikt.

WYJĄTKOWO NISKI OCHRONIARZ. Tajemnice wciągnięcia lidera AgroUnii Michała Kołodziejczaka na listy KO wyjaśnił incydent pod gmachem TVP na warszawskim placu Powstańców. Gdy do Wielkiego Donalda prawie przebił się Michał Rachoń mający zamiar zadać mu parę kłopotliwych pytań, na drodze stanął mu domniemany następca Andrzeja Leppera. Niestety, ten niebanalny polityk sięga Rachoniowi tylko do kłatki piersiowej. Nie zmniejszało to jednak młodzieckiego zapału pana Michała w obronie swego pryncypała. Aż prosi się napisać kolejną zwrotkę „Pieśni o małym rycerzu”.

ZJAWISKOWA PANI VON DER LEYEN. Tak, tak. To szefowa Komisji Europejskiej wyciągnęła PiS z etapu braku zdecydowania, w jaki sposób poprowadzić kampanię. Pani Ursula zapowiedziała słone opłaty za uchylanie się od obowiązkowej dystrybucji uchodźców po wszystkich krajach Unii i sflaczały już nieco PiS natychmiast nabrał wigoru. Za proponował referendum w tej sprawie, równoległe do wyborów sejmowych, a potem jeszcze rozszerzył referendum o trzy kolejne pytania. Co ciekawe, Platforma podchwyciła to wyzwanie i uznała pojawienie się w kinach filmu „Zielona granica” Agnieszki Holland za idealną linię konfliktu w ostatnich tygodniach przed wyborami. Komu temat wyborczy wyjdzie na zdrowie, a dokładnie na wysokość wyborczego wyniku, dowiemy się w noc wyborczą.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



KONFERENCJA

„Wolność sumienia i ideologia LGBT”

TYTUŁY PANELI:

**REWOLUCYJNE PRZYSPIESZENIE.
KTO I DLACZEGO CHCE NARZUCIĆ POLSCE
AGENDĘ LGBT?**

**TO NIC TAKIEGO? SEKS-EDUKACJA
W POLSKICH SZKOŁACH**

**WATYKAN W CIENIU TĘCZOWEJ GWIAZDY.
CZY KOŚCIÓŁ STANIE PO STRONIE
REWOLUCJI LGBT?**

**RODZINA – OSTATNI BASTION
KONTRREWOLUCJI?**

W sprawie Ukrainy „Do Rzeczy” miało rację



Łukasz Warzecha

Na każdą rzecz można patrzeć z dwóch stron. Jest prawda czasów, o których mówimy, i prawda ekranu, która mówi: prasłowiańska grusza chro- ni w swych konarach plebejskiego uciekiniera.

Reżyser Bogdan Zagajny, „Miś”, reż. Stanisław Bareja

Na przykład teraz, w roku 1984 (o ile faktycznie był 1984) Oceania walczyła z Eurazją, mając Azję Wschodnią za sojuszniczkę. W żadnej wypowiedzi prywatnej ani publicznej nie mogła pojawić się sugestia, że te trzy siły mogły być w jakiegokolwiek chwili w innej konfiguracji. W istocie Winston zdawał sobie sprawę, że zaledwie cztery lata wcześniej Oceania była sprzymierzona z Eurazją i toczyła wojnę z Azją Wschodnią [...]. Oficjalnie nigdy nie doszło do zmiany sojuszników. Oceania prowadziła obecnie wojnę z Eurazją, a zatem Oceania zawsze prowadziła wojnę z Eurazją.

George Orwell, „Rok 1984”

Chcę powiedzieć panu prezydentowi Zeleńskiemu, żeby nigdy więcej nie obrażał Polaków! – próżno czekałem na reakcję na te skandaliczne słowa któregoś z uczestników życia publicznego, którzy przez całe miesiące pilnie śledzili każde odstępstwo od linii bezwzględnej miłości wobec Ukrainy i jej przywódcy.

Nie odezwali się ani wiceminister Paweł Jabłoński, ani minister Stanisław Żaryn, ani nawet Jakub Maciejewski, który zaledwie kilka tygodni wcześniej w tygodniku „Sieci” demaskował nasze pismo jako „prorosyjskie”, a mnie nazywał „Łukaszem Jarosławowiczem”. Maciejewski nie odezwał się być może dlatego, że musiałby w takiej sytuacji potępić Mateusza Kornelowicza. To

bowiem sam pan premier Rzeczypospolitej grzmiał na jednym z niedawnych wieców, upominając w bardzo obcesowy sposób pana prezydenta Zeleńskiego w związku z jego ostatnimi wypowiedziami pod adresem Polski.

To, co obserwujemy od paru tygodni w kwestii stosunku polskiej elity władzy i jej akolitów do Ukrainy, przebiega nawet świat ukazywany przez Orwella w jego najsłynniejszej powieści. Tam Winston pamięta sojusz sprzed czterech lat, który za sprawą Ministerstwa Prawdy został uznany za niebyły. Nasze zbiorowe ministerstwo prawdy zadziało znacznie szybciej. Sytuacja dla niektórych autorów naszego tygodnika jest o tyle niesamowita, że nie zmieniliśmy naszych diagnoz, podczas gdy otoczenie zmieniło kurs o blisko 180 stopni. Nagle to, co przez całe miesiące było przejawem skrajnego onucyzmu, stało się elementem oficjalnego przekazu. Śmiem twierdzić, że tego typu operacji, na taką skalę i w sprawie o takim znaczeniu, w III RP dotąd nie było.

Przypomnijmy zatem, jak było. Oto Paweł Jabłoński, wiceminister spraw zagranicznych, występując w Radiu Zet w drugiej połowie maja tego roku, grzmiał, że nie możemy od Ukrainy oczekiwać niczego w zamian za naszą pomoc, ponieważ byłaby to „polityka transakcyjna”. Kiedy napisałem na Twitterze, że dramatem jest, iż ktoś taki sprawuje funkcję wiceministra spraw zagranicznych, zostałem nazwany przez pana Jabłońskiego „prorosyjskim propagandzistą”. Jak tamto stanowisko pana Jabłońskiego ma się choćby do niedawnej, żenująco infantylnej akcji – którą firmowały w mediach społecznościowych osoby wcześniej zaangażowane we wspieranie bezkrytycznie proukraińskiej linii – umieszcza- nia wpisów z hashtagem #WeRemem-

berDoYou („My pamiętamy, a pan?”) skierowanej do prezydenta Ukrainy? Przecież to jawne propagowanie polityki transakcyjnej: my pomogliśmy Ukrainie, a zatem ona powinna teraz przestać forsować swój zbożowy interes (a raczej: interes ukraińskich oligarchów). Pan Jabłoński jednakże milczy. Boję się, czy nie zaniemógł.

JAK WŁADZA PONIŻAŁA REALISTÓW

Ten sam wiceminister – jedna przecież z czołowych postaci radykalnie proukraińskiej narracji – w marcu startł się ze mną w Klubie Jagiellońskim, gdzie wywodził, że mówienie o rozbrajaniu się Polski na rzecz Ukrainy jest absolutnie niesłuszne. Później pan minister wy-



35

■ wczesne. Na czym ta przegrana Rosji miałyby polegać? Do tej pory Zachód użył wobec Rosji bardzo daleko idących sankcji, największych w historii. Być może odetnie jeszcze gaz i ropę. Efekty tej zmasowanej akcji są ograniczone, ponieważ Rosja w przeciwieństwie do znanych z przeszłości państw, w stosunku do których można było stosować blokadę gospodarczą, nie jest wyspą. A trzeba pamiętać, gdy był to okres, kiedy polskie media praktycznie codziennie zachłystywały się informacjami o tym, jakie to jeszcze sankcje można by na Moskwę nałożyć, jak druzgocące są skutki tych już nałożonych, a także o tym, że pod wpływem sankcji Rosja lada chwila straci zdolności do toczenia działań wojennych. Po ponad roku temat sankcji zniknął praktycznie całkowicie. Nikt już nie twierdzi, że dadzą one cokolwiek w przewidywalnym czasie.

LISICKI, FIEDORCZUK, GOLONKA

Gdy w listopadzie ubiegłego roku wiceministrem spraw zagranicznych Ukrainy został Andrij Melnyk, polityk nastawiony do Polski skrajnie konfrontacyjnie, Paweł Lisicki pisał, komentując reakcję polskich polityków:

„Jak to, nasz najbliższy sprzymierzeniec i naród, któremu udzielamy wielkiej pomocy, tak nas traktuje? Mówię o lekkiej konsternacji, bo natychmiast panująca u nas polityczna poprawność sprawiła, że większość polityków zaczęła grać w swoją ulubioną grę, czyli chować głowę w piasek. Podstawy tego rozumowania, sądzę, wyglądają tak: Rosja, jak tylko będzie mogła, to nas napadnie, więc krytykować Kijowa nie wolno.

Nic dziwnego, że przy takim założeniu nominacja Melnyka wywołała bardzo ograniczone echo. Były już rzecznik PiS Radosław Fogiel stwierdził, »że to niefortunne zdarzenie, nasi ukraińscy partnerzy powinni wykazać większe zrozumienie dla polskiej wrażliwości«. Ale właściwie dlaczego mają nasi ukraińscy partnerzy cokolwiek wykazywać, skoro my sami nie jesteśmy w stanie jasno określić swoich potrzeb i żądań? Równie niejasno wypowiedział się rzecznik MSZ, Łukasz Jasina: »Liczę na to, że różne nierozważne decyzje po obu stronach nie doprowadzą do zniszczenia kapitału, jakim są relacje polsko-ukraińskie«.

I konkludował: »Niestety, w sprawach polityki reguła jest prosta: jeśli chcesz, żeby inni szanowali ciebie, to musisz sam szanować siebie. Obowiązkiem polskich władz jest – niezależnie, czy im się to podoba czy nie – twarda obrona pamięci niewinnych polskich ofiar. To jest właśnie ten warunek sine qua non, to jest coś, co nie może podlegać grze. Jeśli Polska chce, żeby ją traktować poważnie, to nie może na takie lekceważenie własnej pamięci nikomu pozwalać. Dlatego ta nominacja i tolerancja dla niej są nie do obrony».

Była wtedy mowa o pamięci o Wołynie, ale, jak się okazuje, diagnoza Lisickiego sprawdziła się i 11 lipca tego roku, i bardziej generalnie.

Paweł Lisicki nie był oczywiście jedynym publicystą „Do Rzeczy” stawiającym trzeźwe diagnozy na wiele miesięcy przed zmianą oficjalnego tonu. Inny nasz publicysta, Jan Fiedorczuk, wskazywał jeszcze w czerwcu ubiegłego roku: »Stosunek Polski do Ukrainy jest traktowany w kategoriach moralnych, a nie politycznych, co sprawia, że już sama rozmowa o kosztach przyjmowania

także podkłada bombę o opóźnionym zapłonie pod wspólne relacje, gdyż wzmacnia antyukraińskie resentymenty. Można wspierać Ukrainę i jednocześnie twardo domagać się uznania rzezi wołyńskiej za ludobójstwo, można przyjmować miliony uchodźców i protestować przeciwko antypolskiemu dyplomacie na stanowisku wiceszefa MSZ».

W styczniu 2023 r. natomiast diagnozował: »Punktem wyjścia jest utożsamienie polskiego interesu z interesem ukraińskim. To tutaj, w utracie tego fundamentalnego rozróżnienia, należy szukać genezy wszelkich negatywnych zjawisk – od cichej akceptacji probanderowskiej polityki Kijowa, poprzez wdrażanie mechanizmów uderzających w polskie rolnictwo, aż do apogeum absurdu w postaci pomysłu budowy federacji polsko-ukraińskiej».

A oto, co jeszcze w marcu ubiegłego roku pisał kolejny publicysta „Do Rzeczy”, Wojciech Golonka: »Wszystkie kursy jakiegokolwiek formy ratownictwa głoszą, że ratownik w pierwszej kolejności powinien zadbać o swe własne bezpieczeństwo. Naszym wschodnim sąsiadom należy pomagać humanitarnie – i już to bardzo sprawnie robimy – ale pod żadnym pozorem rząd nie powinien dać się komukolwiek wciągnąć do wojny rosyjsko-ukraińskiej. Przestańmy sztydzić z ostrożności Orbána i jemu podobnych, przestańmy dążyć do nie naszej wojny, zadbajmy o nasze bezpieczeństwo narodowe, inaczej, być może, nawet nie będziemy w stanie ulżyć Ukrainie humanitarnie».

Golonka zwracał także uwagę na próbę cenzurowania debaty wokół wojny na Ukrainie w sierpniu ubiegłego roku: »Ma się rozumieć, w sytuacjach wyjątkowych zagrożeń władza ma jak najbardziej możliwość cenzurować media i debatę publiczną w ogóle i odpowiadają temu odpowiednie zapisy konstytucyjne. Skoro jednak nie wprowadzono w Polsce przewidzianych ku temu odpowiednich stanów nadzwyczajnych, to obecne nachalne próby zwalczania, nie tyle argumentów przeciwnych, ile w ogóle samej możliwości debaty, których znakiem rozpoznawczym jest m.in. prymitywne etykietowanie przeciwników mianem ruskich onuc, świadczą nie o zagrożeniu dla polskiej racji stanu, a o chorobowym lęku ze strony obozu władzy».

**Sprzeciwialiśmy się
schematowi: kto nie popiera
proukraińskiego kursu,
ten sprzyja Rosji**

uchodźców oraz poziomie naszego zaangażowania w konflikt na Wschodzie jest przedstawiana jako podłość. Paryż może dbać o interes Francuzów, Budapeszt o Węgrów, a Berlin o Niemców, a jedynie polscy politycy mają moralny imperatyw nieustannego wychodzenia przed szereg i nadstawiania karku w interesie – było nie było – obcego państwa».

Komentując nominację Melnyka, Fiedorczuk pisał: »Awans Andrija Melnyka na wiceszefa ukraińskiego MSZ świadczy o całkowitym lekceważeniu naszego państwa przez Kijów. Ukraina została przyzwyczajona do tego, że w żaden sposób nie musi zabiegać o polskie względy, więc trudno mieć do niej pretensje, że korzysta z tej luksusowej pozycji. Utożsamianie polskiej racji stanu z żądaniami Kijowa nie tylko prowadzi nas na manowce, lecz

Nie był w tym sam. W „Do Rzeczy” wielokrotnie sprzeciwialiśmy się budowaniu prostackiego schematu: kto nie popiera maksymalnie proukraińskiego kursu, ten sprzyja Rosji i „rezonuje ruską propagandę”.

NADMIERNE KOSZTY

Mogę wreszcie przypomnieć kilka fragmentów moich własnych tekstów. Gdy wszyscy entuzjastycznie się, jak to Polska staje się „mocarstwem humanitarnym”, w kwietniu ubiegłego roku zwracałem uwagę na koszty związane z przyjmowaniem uchodźców. Pisałem wtedy: „W tej sytuacji jest pytanie, na które nikt na razie odpowiedzi nie udzielił: Dlaczego w ogóle Polska w zasadzie bez namysłu i debaty przyznała uchodźcom tak szerokie uprawnienia socjalne, znacznie przekraczające ciążące na nas zobowiązania, a generujące gigantyczne koszty? Obowiązują nas dość ogólna konwencja genewska z 1951 r. dotycząca statusu uchodźców oraz bardziej szczegółowa unijna dyrektywa o uchodźcach z 2001 r. (2001/55/WE). Ta ostatnia w art. 13. mówi o niezbędnych potrzebach,

a nie o zrównaniu uprawnień uchodźców z uprawnieniami obywateli państwa ich przyjmującego [...]. Czy dlatego, że rząd od początku zaplanował, iż skłoni jakąś część uchodźców do pozostania w naszym kraju, i szerokie uprawnienia socjalne mają być do tego zachętą? Być może – ale jeśli taka jest rządowa strategia, ten plan powinien zostać otwarcie zakomunikowany opinii publicznej, bo byłaby to decyzja o strategicznym charakterze. Zamiast tego wydaje się, że trwa »jakoś obędzizm«, spoza którego przebijają coraz bardziej paniczne apele o fundusze, których nikt na razie nie ma zamiaru nam przekazywać”.

Sprawa nie została do dziś rozwiązana, a ogólny chaos w sprawie imigracji tylko się pogłębia.

W marcu, gdy wyszła na jaw tajna misja polskich policjantów (?) na Ukrainie, o której dowiedzieliśmy się po fakcie, komentowałem: „Wynika z tego jednak znacznie więcej. Polska, podejmując w tej sprawie decyzję inną niż wszystkie pozostałe kraje koalicji proukraińskiej, ugruntowała swój wizerunek państwa nie liczącego się z konsekwencjami i za-

chowującego się już nie odważnie, ale po prostu brawurowo. O ile można jeszcze zrozumieć chęć pobudzenia przez Warszawę naszych partnerów do większej odwagi – jakkolwiek można się z tym nie zgadzać – to łatwo tu przekroczyć granicę, i Warszawa to uczyniła. W ten sposób zamiast przykładem odwagi stajemy się przykładem bezmyślności i szafowania własnym bezpieczeństwem. A to nie tylko nie pociąga innych w tę samą stronę, ale przeciwnie – raczej odstrasza i wywołuje za kulisami pukanie się w czoło”.

Takich przykładów i cytatów można by przytoczyć o wiele, wiele więcej. Bylibyśmy oczywiście skrajnie naiwni, gdybyśmy oczekiwali, że ktokolwiek wśród zawodowych tropicieli onuc posypie głowę popiołem i przyzna, że niektórzy publicyści „Do Rzeczy” mieli jednak rację, krytycznie oceniając relacje Warszawy z Kijowem. Jedyną metodą jest schowanie głowy w piasek i udawanie, że Oceania zawsze walczyła z Eurazją.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

KLINIKA UZDROWISKOWA®
„Pod Tężniami”
w Ciechocinku

Pobyty w terminach:
08.10 – 20.12.2023

LECZENIE I REHABILITACJA

**POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny,
Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.**

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie • Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna •
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie •

*możliwa dopłata



Turnus Świąteczny 20.12 - 27.12.2023, Turnus Noworoczny 27.12.2023 - 03.01.2024



tel. 54 416 70 00

www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrowska „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek

Gender

w polskiej służbie zdrowia



Agnieszka Marianowicz-Szczygieł

Polska wdraża nową wersję międzynarodowej klasyfikacji medycznej ICD-11. Ten dokument WHO wprowadza do obiegu m.in. płeć „odczuwaną” zamiast płci biologicznej, wykreowuje obszar „nieszkodliwej pedofilii” i wykreśla z listy zaburzeń homoseksualizm

ICD to międzynarodowa klasyfikacja medyczna autorstwa WHO, która oficjalnie obowiązuje w Polsce. Zawiera ok. 17 tys. kodów chorób i zaburzeń, które są wykorzystywane w każdej polskiej placówce zdrowia, także w statystykach medycznych czy rejestrach zgonów. Co pewien czas dokonywane są rewizja i uaktualnienie



ICD-11 zostało przyjęte tylko w 35 krajach na 194 członków WHO, w tym przez Polskę. Poprzednia wersja w pełnym brzmieniu obowiązywała w ok. 120 krajach. Dlaczego więc tak wiele krajów nie zgodziło się na ICD-11? W ramach portalu Afirmacja.info zadałam Ministerstwu Zdrowia kilka pytań. Odpowiedzi szokują.

CO SIĘ ZMENIA

Poprzez redefinicję w ICD-11 zastąpiono pedofilię pojęciem „zaburzenia pedofilnego” (kod 6D32) klasyfikowane go, tylko jeśli odczucia pedofilne komuś przeszkadzają, są stałe i uzewnętrzniane w zachowaniu. Co to znaczy stałe? I dlaczego musi być obecny ów osobisty „niepokój” (dystres), aby zdiagnozować pedofilię? Wykorzystanie „okazji” lub „odurzenie”, „zachowania przejściowe”, które pojawiają się „impulsywnie lub oportunistycznie”, pedofilią teraz nie są. Tymczasem takie rozróżnienie w praktyce jest trudne do zastosowania, nieprzewidywalne, naraża bezpieczeństwo dzieci i otwiera furtkę dla społecznej tolerancji dla „uczuć pedofilnych”. Dodatkowo diagnozę uzależniono także od norm kulturowych.

Płeć w ujęciu biologicznym (męskość i kobiecość) zastąpiono uznaniowym, płynnym subiektywnym genderem (wielowariantową „płcią odczuwaną”) oraz „płcią przypisaną przy urodzeniu”.

Zaburzenia tożsamości płciowej, pomimo wręcz ich epidemii wśród młodzieży, teraz jako „niezgodność płciowa” (kody HA60, HA61, HA6Z) umieszczono w nowej kategorii nr 17 pt. „Zdrowie seksualne”. Wykreślono z listy zaburzeń fetyszizm i sadomasochizm (zredukowano go do „zaburzenia przymusowego sadyzmu seksualnego”). Zrelatywizowano także kulturowo – znów użyto kryterium dystresu – inne zaburzenia seksualne (teraz „zaburzenia parafilne”). Definitywnie wykreślono z listy zaburzeń homoseksualizm (funkcjonował tu i tak w szóstkowej formie jako homoseksualizm egodystoniczny – F66.1), co likwiduje podstawę prawną i medyczną do stosowania psychoterapii przez osoby doświadczające niechcianych odczuć homoseksualnych i prowokuje do prześladowania osób i instytucji, które oferowały lub przekazywały

informację o tego typu pomocy, co i tak ma już miejsce.

Powszechnie zastosowano subiektywne kryterium dystresu (dyskomfortu psychicznego) jako podstawy klasyfikacji medycznej czy psychiatrycznej w miejsce obiektywnych faktów, empirii, doświadczenia klinicznego oraz zdrowego rozsądku (zaburzeniem jest coś o tyle, o ile dana osoba źle się z tym czuje).

DLACZEGO POLSKA SIĘ NA TO GODZI?

Prace nad rewizją ICD-10 trwały od 2007 r. 1 stycznia 2022 r. ICD-11 weszła oficjalnie w życie. Obecnie trwają w Polsce prace nad tłumaczeniem nowych zapisów. Bez tłumaczenia nie jest możliwa oficjalna premiera nowej klasyfikacji. Prace te odbywają się w Centrum Medycznym Kształcenia Podyplomowego we współpracy z Departamentem Lecznictwa Ministerstwa Zdrowia oraz Centrum e-Zdrowia – wartość tego projektu przekracza 9 mln zł, z czego blisko 8 mln zł pokryła Unia Europejska.

W nowej kwalifikacji chorób WHO **fetyszizm i sadomasochizm wykreślono z listy zaburzeń**

Gdy pytałam o tę sprawę Biuro Komunikacji Ministerstwa Zdrowia, odpisano mi: „Szerokie grono krajów (bez udziału Polski) wzięło udział w Konferencji Rewizyjnej ICD-11 (Tokio, 12–14 października 2016 r.), podczas której eksperci i przedstawiciele instytucji z całego świata przekazali WHO pozytywne opinie na temat treści i struktury ICD-11”. I zaznaczono, że „klasyfikacja ICD-11 została przyjęta przez państwa członkowskie WHO w maju 2019 r.”.

Ministerstwo Zdrowia zaznaczyło też, że zgodnie z licencją Światowej Organizacji Zdrowia nie można wnosić zmian w nowej kwalifikacji – wszystkie zmiany muszą być uzgodnione z centralą Światowej Organizacji Zdrowia (WHO). Takie obwarowanie z dokumentów jednak nie wynika. Może komuś bardzo zależy, by w nowych opisach chorób nic nie zmieniać?

tej klasyfikacji. Poprzednia wersja, czyli ICD-10, obowiązywała przez ok. 30 lat.

Obecnie jest wprowadzana do użycia nowa wersja – ICD-11. Zawiera zideologizowane, a niekiedy wręcz niebezpieczne sformułowania zwłaszcza w dziale dotyczącym płci i seksualności, choć i inne działy, które zostały mocno przekształcone, wzbudzają profesjonalne kontrowersje.

Warto zauważyć, że poprzednia wersja ICD-10 obowiązywała w niektórych krajach w niepełnej lub zmodyfikowanej wersji (np. wykorzystywano tę klasyfikację tylko do zwrotu kosztów i alokacji zasobów w swoich systemach opieki zdrowotnej), a poszczególne kraje, np. Kanada, Niemcy, Australia czy Holandia, miały swoje własne wersje, oznaczone odpowiednio jako: ICD-10 CA, ICD-10 GM, ICD-10 AM, ICD-10 nl. Dlatego więc WHO wymaga przyjęcia ICD-11 w całości?

Poprosiłam o wgląd w dokument, w którym Polska zobowiązywała się do tak niekorzystnej transakcji. Link, który mi dostarczono, nie działał, ale po opisie trafiłam na dokument z 28 maja 2019 r., który powstał w ramach 72. World Health Assembly pt. „Eleventh revision of the International Classification of Diseases”, który jest bardzo ogólnym ogłoszeniem wejścia w życie ICD-11 i nigdzie nie zawiera sformułowania, że ICD-11 należy przyjąć w całości. Nie ma tu także podpisu Polski. Jest tylko mowa o tym, że oficjalna premiera będzie miała miejsce 1 stycznia 2022 r., że World Health Assembly przyjmuje listę kategorii i opcjonalną (a więc nie ma przymusu) listę subkategorii, jest też mowa o możliwości rewizji ICD-11.

Na moje szczegółowe pytanie, czy, kiedy i jak Polska zgłaszała uwagi do ICD-11 na etapie jej powstawania, otrzymałam z resortu zdrowia tylko ogólny opis całego procesu, z czego wnioskuję, że Polska bez żadnego sprzeciwu łyknęła kolejną porcję ideologicznego kolonializmu. Szczegółowe informacje dotyczyły tylko tego, że zabrakło nas na wspomnianej kluczowej konferencji rewizyjnej w Tokio w 2016 r.

Summa summarum WHO dyktuje, Ministerstwo Zdrowia kwituje groźną w skutkach nową wersję ICD-11, bo za decyzję z 2019 r. odpowiada obecny rząd.

KTO BARDZIEJ DOPCHA SIĘ DO WHO?

Zadałam w tej sprawie serię pytań samemu WHO na adres e-mailowy podany w związku z ICD. Pytałam m.in. o to, kto tworzył i opiniował wyżej wymienione kategorie diagnostyczne w ICD 11 (tj. 6D32 – „zaburzenie pedofilne” oraz HA60, HA61, HA6Z – dotyczące niezgodności płciowej znajdującej się obecnie dodanej nowej

Groźne zmiany dotyczące pedofilii to nie wypadek przy pracy, ale efekt długiego marszu przez instytucje

kategorii „zdrowie seksualne”). Chciałam wiedzieć też, jak można zgłosić postulaty zmiany tych kategorii oraz czy i kiedy będą planowane rewizje ICD-11. Do dziś nie otrzymałam żadnej odpowiedzi.

Z opisu tego, jak powstawało ICD-11, wiem, że w trakcie obowiązywania ICD-10 włączano raczej uwagi, które dotyczyły treści wewnątrz danej kategorii, a nie dokonywano przesunięć pomiędzy kategoriami. Być może byłoby więc możliwe wpłynięcie na definicję (opis) pedofilii, ale skoro gender wyładowało w kategorii „zdrowie seksualne”, to z tym może być już kłopot.

Ze sposobu powstawania ICD-11 można wysnuć jeszcze inne ciekawe wnioski. Wykreślenie z listy zaburzeń i przeniesienie do nowego działu „zdrowie seksualne” dawnego transseksualizmu, a obecnie „niezgodności płciowej” wynika z wyrażonej wprost troski o depatologizację i destygmatyzację (a więc nie ze względów merytorycznych), na podobnych zasadach wykreślono bez należytej bazy dowodowej tę „resztkę” w postaci homoseksualizmu egodystonicznego, nie bacząc na liczne problemy psychiczne i dominującą nabytą genezę obu tych zjawisk.

„Dotychczasowy proces konsultacji wykazał powszechną zgodę co do tego, że w odniesieniu do kategorii związanych z niezgodnością płci przeniesienie ich z rozdziału »F« [zaburzenia zdrowia psychicznego i zachowania – przyp. red.] może pomóc w odpsychopatologizowaniu schorzeń” – czytamy na podstronie WHO relacjonującej powstawanie ICD-11. I dalej: „Niezgodność płci zakodowana w części dotyczącej warunków zachowania w rozdziale poświęconym zdrowiu psychicznemu i zaburzeniom zachowania wywoływała błędne wrażenie, że niezgodność płci jest powiązana ze zdrowiem psychicznym”.

Wiadomo, kto był konsultantem tak wywrotowych społecznie zmian w systematyce chorób, a mianowicie same

organizacje LGBT+, takie jak Global Action for Trans Equality (GATE) czy Transgender Europe (TGEU).

„Kilka miesięcy przed publikacją DSM-5, przypadającą na 18 maja 2013 r., odbyło się spotkanie porozumiewawcze pomiędzy przedstawicielami WPATH i WHO, mające na celu wypracowanie konsensusu w procesie przygotowywania jedenastej, gruntownie zrewidowanej wersji klasyfikacji ICD” – to cytat z jednego z polskich artykułów naukowych (Dora M., Grabski B., Dobroczyński B., 28.01.2020).

WPATH to czołowe towarzystwo naukowe dotyczące zaburzeń płci, wydające międzynarodowe standardy „pomocy” w nurcie afirmującym gender, czyli lobbujące za operacjami zmiany płci, także u osób nieletnich.

Taki rodzaj wpływania na dokument zainteresowanych grup wcześniej dotknął też DSM – amerykańską klasyfikację chorób i zaburzeń psychicznych, tyle tylko, że w obszarze samej pedofilii. W 2010 r. organizacja B4U-ACT wydelegowała swoich przedstawicieli, sześć osób, „które pociągają osoby nieletnie” na spotkanie ze specjalistami opracowywującymi klasyfikację zaburzeń seksualnych w DSM w Amerykańskim Towarzystwie Psychiatrycznym. Upierano się, aby kryteria diagnostyczne były bardziej „dokładne” i „poparte naukowo”, ale jednocześnie rozmywano kryterium wieku i opowiadano się za „dystresem”. Oczekiwano np. używania słowa „pacjent” zamiast „sprawca” czy „oprawca”.

OSWAJANIE PEDOFILII

Te groźne zmiany w ICD-11 dotyczące czy pedofilii, czy zaburzeń tożsamości płciowej, czy samej definicji płci rozumianej teraz jako gender to nie wypadek przy pracy, ale efekt długiego marszu przez instytucje. Określenia osławiające pedofilię, jak „seksualnie wyrażana przyjaźń”, „międzypokoleniowa intymność”, a z drugiej strony „tabu wieku”, „moralna panika” czy „mit traumy” u molestowanych dzieci, oraz tezy o stygmatyzowaniu pedofilów pochodzą często z publikacji w renomowanych periodykach naukowych.

Wpadki z pedofilią, które należałoby wprost odczytać jako próby normalizacji pedofilii, zaliczyły czołowe i opiniotwórcze na świecie towarzystwa profesjonalne, jak

Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne i Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne. W listopadzie 2013 r. ukazało się bardzo dziwne oświadczenie pierwszego z nich, w którym określenie pedofilii jako orientacji seksualnej w nowej wersji klasyfikacji zaburzeń DSM tłumaczono jako pomyłkę językową, choć sam proces uchwalania nowej wersji DSM, podobnie jak ICD, trwa kilka lat i przechodzi wielokrotnie przez gęste sito recenzji.

Głośny był także list z odpowiedzią od wiceprezesa Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego w sprawie tzw. incydentu Rind i in. w 1999 r. W magazynie „Psychological Bulletin” opublikowano bowiem artykuł „A Meta-Analytic Examination of Assumed Properties of Child Sexual Abuse Using College Samples” (Metaanalityczne sprawdzenie przypuszczalnych właściwości wykorzystania seksualnego dzieci na próbach studentów). Na podstawie rzekomego przeglądu 59 badań dowodzone, że wykorzystanie seksualne dzieci albo nie wykazuje szkodliwości, albo jest ona znacznie mniejsza niż sądzono. Sprawa oparła się o amerykański Senat.

Senatorzy w USA musieli także w tym roku interweniować w innej sprawie „emancypacji” pedofilii. „John Kennedy i senator Marco Rubio zażądali odpowiedzi od administracji Bidena w sprawie niedawnego sponsorowania przez Organizację Narodów Zjednoczonych (ONZ) raportu, w którym stwierdza się, że nieletnie dzieci mogą wyrazić zgodę na seks z dorosłymi” (wiadomość z dnia 24 kwietnia 2023 r. ze strony senatora Kennedy’ego). Wiemy także o tym, że pedofilów sprawców wysłędzono w gronie oficjalnych przedstawicieli WHO i ONZ (jak Peter Dalglish), molestowania seksualnego (wobec osoby dorosłej) – jak podawały „New York Times” i „Financial Times” – dopuścił się także Temo Waqani-valu, dyrektor w siedzibie WHO w Genewie. Przedstawiciele WHO dopuścili się także aż 83 nadużyć seksualnych w Kongu podczas epidemii wirusa ebola (doniesienia portalu NPR z 2021 r.).

Groźne zmiany w klasyfikacji medycznej ICD-11 to wymarzone narzędzie w ideologicznym marszu przez instytucje. Instytut „Ona i On” organizuje

akcję wysyłania listów do decydentów w sprawie zastopowania ICD-11, na stronie wymieniono także listę konkretnych postulatów. Na portalu Afirmacja.info zacytowano całą korespondencję z resortem zdrowia w tej sprawie.

Na razie spośród grona adresatów, wśród których są premier, minister zdrowia, marszałek Sejmu, Państwowa Komisja ds. Pedofilii, Rzecznik Praw Dziecka, odpowiedziało nam jedynie Biuro Prezesa Rady Ministrów. Poinformowało, że zobowiązało dyrektor Biura Ministerstwa Zdrowia do odpowiedzi z kopią na biurko tej pierwszej instytucji.

Nie tylko wykreowanie obszaru nieszkodliwej pedofilii, lecz także wprowadzanie tylnymi drzwiami gender do polskiej służby zdrowia wymagają pilnej i zdecydowanej reakcji. Zaniechania w formie braku choćby szkoleń dla administracji rządowej na temat zagrożeń obecnej rewolucji kulturowej mszczą się właśnie na rządzie PiS.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest psychologiem, prezesem Fundacji Instytut Analiz Płci i Seksualności „Ona i On”.

REKLAMA



KIEDY KOŚCIÓŁ NISZCZY KŁAMSTWA, NIE MOŻEMY MILCZEĆ

54,90 zł

41,90 zł

Czy papież Franciszek abdykuje?

Czy w Niemczech dojdzie do schizmy?

Co wydarzy się po synodzie i czy nasz Kościół nadal będzie katolicki?

**NAJNOWSZA KSIĄŻKA TRZECH
KATOLICKICH PUBLICYSTÓW
DAJE OPARCIE W CZASIE ZAMĘTU**

Zamów książkę na www.esprit.com.pl
lub pod numerem telefonu 12 267 05 69.









FOI, ADRIE STOCK

Odklejony jak influencer



Zuzanna Dąbrowska

Stojąca za nimi rzesza fanów i duże pieniądze w wielu przypadkach dają influencerom poczucie bezkarności. „Zwykłych ludzi” traktują jako gorszych, bo są przecież gwiazdami Internetu

Włączmy teraz minutnik i zobaczymy, w ile nam to zrobią. Jeżeli poniżej 10 minut, to spoko. Jeżeli powyżej, to nie spoko – mówi na nagraniu Karol Pieszek, youtuber i influencer (777 tys. obserwujących na Instagramie), który szerszą rozpoznawalność zdobył dzięki udziałowi w projekcie Ekipa. Video zostało nagrane w jednej z filii modnego bistra Charlotte w stolicy. Na swoim kanale w serwisie YouTube opublikowała je Monika Kociołek (1 mln followersów), która podobnie jak Pieszek była członkiem Ekipy. Film był jednym z serii, w której „Monia” testowała różne warszawskie restauracje. Kucharze nie zdążyli przed „deadline’em” wyznaczonym przez

internetowe gwiazdy. Kelnerka poinformowała, że nie udało się przygotować jednego z dwóch zamówionych dań, co bardzo nie spodobało się Pieszce. Dziewczyna, wyraźnie zakopotana i zestresowana, kilkukrotnie przeprosiła za opóźnienie, ale to nie wystarczyło. – Rabacik będzie spoko. Lubimy rabaty – stwierdził. Kelnerka wyjaśniła, że to jej pierwszy dzień w pracy, i poprosiła o niewystawianie negatywnej opinii. Influencer nie przejął się prośbą i odparł, że zła ocena i tak się pojawi.

Zachowanie Kociołek i Pieszki wywołało falę krytyki w sieci. Internauci wytykali im brak wyrozumiałości i wyraźne patrzanie z góry na zatrudnionych w bistrze. – Nie chcę absolutnie się wybielać, ale mam swoje przemyślenia po dwóch dniach na ten temat. Bardzo dużo myślałam, bardzo dużo analizowałam, bardzo się przejmowałam też tym wszystkim i tak naprawdę wasze komentarze i osób w moim otoczeniu dały mi do myślenia i jest mi głupio. Dobrze, że ta sytuacja się wydarzyła, bo wiem, gdzie popełniłam błąd, jak zachować się w przyszłości [...]. Jestem w ogóle na siebie zła, bo ja nie przejawiam w ogóle takich zachowań na co dzień, nie uważam się absolutnie za nie wiadomo kogo, nie uważam się za żadną gwiazdeczkę i szanuję zawsze każdego i każdego pracę, więc no

słabo, że wyszła taka sytuacja, i na pewno da mi to nauczkę – tłumaczyła się Kociołek po kilku dniach.

Wielu przyjęło te wyjaśnienia ze zrozumieniem, choć nie zabrakło komentarzy o tym, że influencerka, montując materiał, sama wybrała do niego akurat takie, a nie inne sceny i dobrowolnie udostępniła film. Pokajał się także Pieszek. – Byłem dzisiaj w tej restauracji z takim zamiarem, żeby po prostu porozmawiać z kelnerką i zapytać, jak się czuje, a przede wszystkim po prostu przeprosić za moje zachowanie. Moje zachowanie było nie na miejscu. Niestety, dziś jej nie było w pracy. Na pewno tego tak nie zostawię. Chcę z nią porozmawiać i przeprosić na żywo. Tak jak miałem odwagę powiedzieć jej te nieodpowiednie rzeczy – poinformował.

Całą sytuację dość celnie podsumowuje jeden z komentarzy: „Można być prezesem, jeździć bugatti, być znaną osobą, ale szacunek i rozum nie kupisz. W tym przypadku mamy właśnie styczeń z totalnie aroganckim i wieśniacko-prostackim zachowaniem”.

„SORRY NOT SORRY”

Podobnego rodzaju podejście osób z dużymi zasięgami w sieci do „nor-

malsów” nie jest niestety rzadkością. Niedawno portale lifestyle’owe żyły historią jednej z „Królowych życia” (nazwa programu w stacji TTV), Julii von Stein (191 tys. followersów). Gwiazda odwiedziła McDonald, wybierając opcję drive thru. Afera zaczęła się, gdy obsługujący ją pracownik zwrócił uwagę, by zgasła papierosa. Von Stein wpadła w szal.

– Pan milczy, a mówię ja. Gdzie jest zakaz palenia w moim samochodzie? Jakim prawem pani pracownik ma śmiałość powiedzieć mi, że mam zgasić papierosa w moim samochodzie. Kim on ku... jest? Kim? Kim, człowieku, jesteś? Kim? Właścicielem tego samochodu? Zap..... na to, co ja mam? Ty mi będziesz dyktował ku..., czy ja mogę palić czy nie? Za twoje palę? – krzyczała celebrytka do pracownika restauracji i jego menedżerki. Co ciekawe, podobnie jak Kociołek sama pokazała kompromitujące nagranie w swoich mediach społecznościowych. – Ku... jeszcze czegoś takiego nie miałam. Ja nie mogę ku... palić w swoim samochodzie, bo jakiś kmiot, pracownik mi powie, że ja nie mogę palić w samochodzie. No ku... łeb mi zaraz wyp..... – oburzała się wulgarnie „królowa życia”.

Co prawda, po jakimś czasie przyszła refleksja, jednak w słabym stylu pt. „Sorry not sorry”, czyli przeprosin dla tych, którzy poczuli się urażeni. – Ze względu na to, że mam w sobie pokorę i jestem na tyle osobą myślącą, że zauważam błąd po swojej stronie, chciałabym was za to przeprosić. Rzeczywiście osoby, które mnie na co dzień nie znają, nie znają mojego charakteru, nie znacie mnie prywatnie, mogły odnieść wrażenie, że jestem pier..... burakiem, wywyższającym się, krzyczącym na pana, który niczemu nie jest winien – tłumaczyła się Julia von Stein. Pracownik fast foodu otrzymał wsparcie pracodawcy. „Prośba ze strony pracownika o zgłoszenie papierosa nie jest niczym nagannym. Ze względu na zdrowie, bezpieczeństwo i komfort pracowników obecnie sprawdzamy możliwości prawne i operacyjne oraz rozważamy wprowadzenie takiego zakazu” – czytamy w oświadczeniu wydanym przez McDonald’s.

Poczucie wszechmocy wiąże się, niestety, także z groźną dla innych bezmyślnością. Ponad dwa miesiące temu na krakowskim moście Dębnickiego doszło

do tragicznego wypadku. Zginęło w nim czterech młodych mężczyzn. Wśród nich był Patryk Peretti, syn innej „królowej życia”, Sylwii Peretti. Ustalono, że to on był kierowcą, który nie tylko przekroczył dozwoloną prędkość, lecz także prowadził pod wpływem alkoholu. Przy okazji tego dramatu media przypomniwały fragment wywiadu celebrytki udzielonego dwa lata temu. W rozmowie Peretti z rozbrajającą szczerością (oraz bez wyczuwalnej nagany) opowiada, że jej syn lubi jeździć szybko po mieście. Co prawda, określiła to jako „wadę”, jednak zabrakło wyraźnego potępienia. – Mój młody ma jedną dużą wadę, że zamiast jechać faktycznie na tor się wybawić, to niestety śmiga po mieście – przyznawała wówczas. To jednak nie koniec. – No nie robi tego, co ja kiedyś – stwierdziła Sylwia Peretti.

Co miała na myśli? Okazuje się, że sama niegdyś straciła prawo jazdy w wyniku nieodpowiedzialnego zachowania za kierownicą – uzbierała aż 98 punktów karnych. – To z.....e głupio – mówiła we wspomnianym wywiadzie i mówiła to z lekkim uśmiechem. Rzecz jasna, lekkomyślna postawa matki nie usprawiedliwia brawury syna, jest jednak dowodem na to, że influencerowi wydaje się, iż może więcej. Że łamanie prawa to gra, z której zawsze wychodzi się cało, a przy okazji można zbudować wokół siebie aurę osoby niepokornej. W tym przypadku może i się udało, choć cena była najwyższa z możliwych.

„TRYB BOGA”

Gdy pieniądze i zasięgi stają się naprawdę imponujące, niektórym włącza się tzw. god mode, czyli „tryb boga” (ewentualnie „tryb nieśmiertelności”). Pół biedy, gdy człowiek naraża jedynie samego siebie. Gorzej, gdy dla własnych zysków wykorzystuje innych. Takim przykładem jest jedna z nowszych afer, którymi żyje sieć. Chodzi o odcinek GOATS (ekipę tworzą niezwykle doświadczeni internetowi twórcy – Boxdel, Wardęga, Błoński, Izak oraz Gola). W odcinku tym wyselekcjonowane dziewczyny walczyły o wejście do drużyny „goatsów” na Move Federation 2 (piłkarski show z udziałem influencerów). Podczas ostatniej konkurencji zawodniczki walczyły w parach o utrzymanie piłki. – Podtapianie jest dozwolone, natomiast jeżeli ktoś będzie

podtapiał powyżej 20 sekund, to wyciągamy, ratujemy – poinformował Sylwester Wardęga. W pewnym momencie zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie, co jednak nie spowodowało przerwania „zabawy”. – Ona ją dusi – skwitował z uśmiechem Boxdel. Influencerzy stali za taśmą i rozbawieni obserwowali całą sytuację. Rywalki zaczęły się ze sobą szarpać, jedna z nich ciągnęła drugą za włosy. Co prawda, obraz w opublikowanym na YT wideo został ocenizowany, ale nikt nie zaprotestował.

I znowu, podobnie jak we wcześniej opisanych przypadkach, dopiero oburzenie internautów wywołało reakcję. Oliwy do ognia dołączyła jedna z uczestniczek, która opowiedziała w sieci, że doznała

Gdy pieniądze i zasięgi stają się naprawdę imponujące, niektórym włącza się tzw. god mode, czyli „tryb boga” (ewentualnie „tryb nieśmiertelności”).

Pół biedy, gdy człowiek naraża jedynie samego siebie. Gorzej, gdy dla własnych zysków wykorzystuje innych

poważnego urazu stopy, ale nie otrzymała pomocy medycznej. – Szanowni państwo, przy realizacji naszego ostatniego odcinka, gdzie dziewczyny rywalizowały, by dostać się do naszej drużyny, doszło do sporych błędów po naszej stronie. Plan był ubezpieczony, na miejscu były osoby, które mają skończony kurs pierwszej pomocy, ale dużym błędem było to, że nie zapewniliśmy, żeby na planie była karetka – przyznał Wardęga.

Wydaje się, że nowym, zupełnie porażającym odkryciem na temat mrocznych stron świata influencerów będzie rozkręcająca się powoli sprawa domniemanej pedofilii i używania wpływów w sieci do wykorzystywania nastoletnich dziewcząt. Pokrzywdzonych mogło być wiele, a krzywdzącymi mogły być naprawdę znane w Internecie osoby – idole zaledwie kilkuletnich dzieci. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Gociek

Tragedia Europy Środkowej nie zaczęła się wraz z narodzinami Związku Sowieckiego i nie skończyła z jego upadkiem. Geopolitycy mówią o „strefie zgniotu”. Co na to pisarze, poeci i filozofowie?

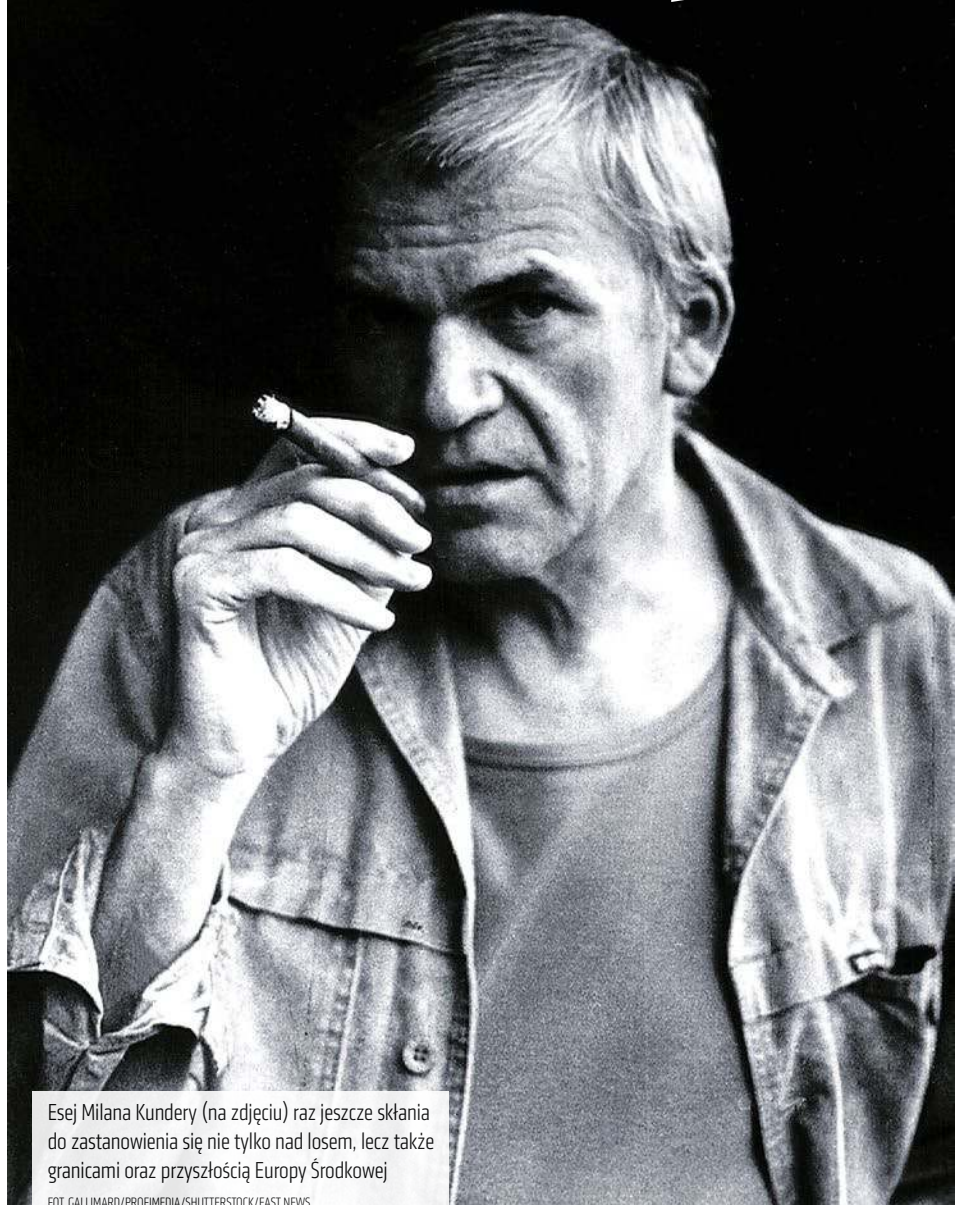
Oto powrót potrzebny, niezbędny, choć pewnie nieoczekiwany – zazwyczaj mało kogo (poza uniwersyteckimi molami) interesuje, o co spierali się pół wieku pisarze. W listopadzie minie tymczasem 40 lat od publikacji eseju Milana Kundera „Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej” (francuskie pismo „Le Débat” nr 27/1983). I okazuje się, że to gniewne wystąpienie, które zdaniem niektórych przekształciło mentalną mapę Europy, zasługuje dziś na uważną lekturę, bo aktualności nie straciło, a sygnalizuje konieczność przemyślenia natury zagrożeń, wobec których stoi dziś kontynent.

Niektórym wydać się dziś może wywód Kundera oczywistą oczywistością, w owym czasie był potężnym głosem w obronie wielkiej części Europy oddanej we władanie Sowietom. Stawał Kundera w obronie Czechów, Polaków, Węgrów, przypominając: „Od swego zarania narody te należały do tej części Europy, która zadomowiła się w rzymskim chrześcijaństwie. Uczestniczyły w całości jego dziejów. Słowo »Europa« nie oznacza dla nich faktu geograficznego, lecz pojęcie duchowe, określające to samo co słowo »Zachód«”. W chwili, gdy te kraje przestają być Europą, to znaczy Zachodem, zostają „wyrwane z własnego przeznaczenia, z własnej historii; tracą samą istotę swej tożsamości”.

W ROSYJSKIEJ BARBARII

Jaka to tożsamość i na jakim fundamencie? „Europa geograficzna (ta, która rozciąga się od Atlantyku po Ural) dzieliła się zawsze na rozwijające się oddzielnie połowy: jedną powiązaną ze starożytnym Rzymem i Kościołem

Dwa końce Europy



Esej Milana Kundery (na zdjęciu) raz jeszcze skłania do zastanowienia się nie tylko nad losem, lecz także granicami oraz przyszłością Europy Środkowej

FOT. GALLIMARD/PROFIMEDIA/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

katolickim (znak szczególny: alfabet łaciński), drugą zakotwiczoną w Bizancjum i Kościele prawosławnym (znak szczególny: cyrylica). Po roku 1945 granica między obiema Europami przesunęła się o kilkaset kilometrów na Zachód i tych parę narodów, które zawsze uznawały się za zachodnie, obudziwszy się pewnego pięknego poranka, stwierdziło, że znalazły się na Wschodzie”.

Winowajcą jest Rosja, przebrana w szaty Związku Sowieckiego. Rosja, która oderwała część Europy i zamknęła ją w nowej barbarii. Przypomina mi się wywiad, którego udzielił Kundera we francuskiej telewizji po swojej emigracji z Czechosłowacji. Otóż wprost mówił w nim, że nienawidzi Rosji za to, co zrobiła jego krajowi, jego narodowi. Znajdziemy te słowa w czeskim filmie dokumentalnym „Milan Kundera: Od żartu do nieistotności”, dostępnym w HBO Max.

Kto zna eseistykę Kundery, ten musi przypomnieć sobie także jego zmagania ze Wschodem na płaszczyźnie literatury, jego coraz bardziej podejrzliwy stosunek do Dostojewskiego, który z jednej strony jest niezbędny, bo daje klucz do rosyjskiej duszy (i rosyjskiego ducha imperialnego, do pogardy wobec Zachodu), a z drugiej jest przerażający, bo jest tego wschodniego niebezpieczeństwa współtwórcą. Na jeden z wywodów Kundery („Wprowadzenie do wariacji”, „New York Times Book Review” nr z 6 stycznia 1985 r.) gniewnie odpowiadał Kunderze rosyjski poeta Josif Brodski. Jego głośny esej „Dlaczego Kundera myli się co do Dostojewskiego” prócz argumentów przyniósł także ironiczne wycieczki ad personam, które redukowały wypowiedź Kundery do rangi osobistych zniewag. Kpił Brodski z tego, że „dojrzały pisarz zinterpretuje fakt zatrzymania jego samochodu przez żołnierza okupacyjnej armii jako osobisty zatarg z historią. Takie były, zdaje się, odczucia Milana Kundery w Czechosłowacji w roku 1968. Będziemy mu współczuli, ale tylko dopóty, dopóki nie zacznie snuć ogólnych rozważań na temat żołnierza i reprezentowanej przez niego kultury. Łatwo zrozumieć lęk i niesmak powstałe w tej sytuacji, ale przecież żołnierze nie są nigdy reprezentantami kultury czy choćby literatury. Żołnierze dźwigają karabiny, nie książki”. Kundera się wywyższa, chce być bardziej europejski niż Europejczycy – argumentował

Brodski. Zarzucał też czeskiemu pisarzowi „gorączkowe poszukiwanie winnego”. Pisał: „Oceny Kundery są błędne, wynikają one, najprawdopodobniej, z redukcjonistycznego podejścia do człowieka, zwalczanego przez Dostojewskiego i będącego produktem – użyjmy tu najskromniejszego określenia – agnostycyzmu”.

Ciekawa to sprawa, bo okazuje się, że ów spór sprzed 40 lat o to, kto ponosi winę za porwanie i zdeprawowanie Europy Środkowej, zaczyna w tym momencie przypominać współczesne dyskusje nad tym, kto może uratować Europę przed nią samą; dyskusje w których niektórym zdaje się, że duch i wiara zostały przechowane na Wschodzie i Rosja zbawi ateistyczny Zachód popełniający zbiorowe samobójstwo. Dlaczego na Zachodzie nie urodził się tak wielki

[...]. Wszyscy jesteśmy militarystami i imperialistami”. Ale nawet broniąc Dostojewskiego, myśliciela, pisarza, specjalisty od duszy ludzkiej (tylko którego: tego nienawidzącego katolików, Polaków, Francuzów?), trudno nie zauważyć, że idee mają konsekwencje. I że podglebia kulturowego rosyjskiej ekspansji nie da się lekceważyć.

Wytyka Brodski Kunderze, że narzeka na zagładę, która przyszła ze Wschodu, zapominając o tym, że wcześniej kataklizm ojczyźnie czeskiego pisarza przyniosła inwazja z Zachodu. No tak, ale przecież imperializm Hitlera nie wynikał z chrześcijańskich fundamentów Europy, lecz z nihilizmu i rasowego poczucia wyższości. Wy tłumaczenie tej pozornej sprzeczności znajdziemy w samym sformułowaniu „marksizm-leninizm”, kluczowym dla rosyj-

Ukazuje się dziś esej Kundery w chwili, gdy na Ukrainie trwa walka o rozszerzenie granic Zachodu, granic Europy (także Europy Środkowej). Inna sprawa, czy Ukraina w pełni zdaje sobie sprawę z tego, jakich wartości (i czy w ogóle) jest współczesna Europa powiernikiem

pisarz jak Dostojewski? – pyta (sam padając w poczucie wyższości) Brodski. I wykpiwa fakt, że Kundera przedkłada racjonalizm i ironię Diderota ponad Dostojewskiego, dla którego najważniejsza była „walka o duszę człowieka, gdyż pisarz ten zakłada, iż człowiek ma duszę, jest bytem duchowym” i który jak nikt inny „widział ludzką skłonność do czynienia zła”.

Po rosyjskiej inwazji na Ukrainę, po Buczy, Irpieniu, po deklaracjach dyrektora Ermitażu o roli kultury rosyjskiej w wojnie z Zachodem wywody Brodskiego brzmią mniej przekonująco. A esej Kundery raz jeszcze skłania do zastanowienia się nie tylko nad losem, lecz także granicami oraz przyszłością Europy Środkowej. Przypomnijmy: Michaił Piotrowski oświadczał na łamach „Rossijskiej Gaziety” w czerwcu 2022 r.: „Wystawa Szczukina i Morozowa w Paryżu to rosyjska flaga nad Laskiem Bułońskim” [...]. Nasze ostatnie wystawy za granicą to po prostu potężna ofensywa kulturowa. Jeśli chcesz to tak nazwać, to swego rodzaju »operacja specjalna«

skiej ekspansji w XX stuleciu, bo Marks to Zachód, a Lenin to Wschód – oto ideowe kleszcze, które z dwóch stron zginały Europę Środkową.

CO PO KULTURZE?

Ukazuje się dziś esej Kundery w chwili, gdy na Ukrainie trwa walka o rozszerzenie granic Zachodu, granic Europy (także Europy Środkowej). Inna sprawa, czy Ukraina w pełni zdaje sobie sprawę z tego, jakich wartości (i czy w ogóle) jest współczesna Europa powiernikiem. Ale wróćmy do tej „powiązanej ze starożytnym Rzymem i Kościołem katolickim” Europy katedr, gotyku i alfabetu łacińskiego. Nie bez powodu podnoszą się na Ukrainie głosy, aby przejść właśnie na ów alfabet, nie bez powodu ukraińska Cerkiew jest w tak ostrym konflikcie z patriarchatem moskiewskim. Polacy mogliby dodać, że ta walka o przeniesienie granic Zachodu w kierunku wschodnim to także przypomnienie, że Europa sięgała nie tylko tam, dokąd sięgały gotyckie katedry, lecz także tam, dokąd sięgały polskie

dwory kresowe. Bój o to, by Ruś znów oznaczała Ruś Kijowską, a nie Rosję carów despotów; Rosja dzisiejsza stała się zaś tym, czym była, zanim rozpoczęła imperialny marsz na Zachód – odległą i egzotyczną Moskwą.

Niespodziewanie – i podejrzewam: wbrew intencjom Kundery – okazuje się także, że jego esej skłania do zastanowienia się nad innym zagrożeniem. Kluczowy jest tu powrót do tego, jak czeski eseista definiuje ów Zachód, do którego tęskni. I do krzywdy, którą Zachód sam sobie wyrządził, porzucając Europę Środkową, oddając ją w pacht rosyjskiemu barbarzyńcy i nie dostrzegając jej tragedii. Jak do tego doszło? Jak było to możliwe? Pozwolę sobie na kolejny obszerny cytat z Kundery, bo dopiero wtedy rzecz stanie się jasna.

„Europa nie zauważyła zniknięcia swojego wielkiego kulturowego domu, gdyż Europa nie odczuwa już swojej jedności jako jedności swojej kultury”

Czytając dziś „Zachód porwany”, możemy odpowiedzieć: po odrzuceniu wspólnej religii i wspólnej kultury pozostała nicość, którą wypełniać zaczęły nowe utopie

– pisze Kundera. Przypomnijmy, jest rok 1983, a nie 2023, i mówimy o eseju uciekiniera zza żelaznej kurtyny, a nie o polemice w Parlamencie Europejskim. „Na czym w istocie opiera się jedność Europy? W wiekach średnich opierała się ona na wspólnej religii. W czasach nowożytnych, kiedy Bóg Średniowiecza przeistoczył się w Deus absconditus, religia ustąpiła miejsca kulturze, która zaczęła urzeczywistniać najważniejsze wartości, przez które ludzkość europejska rozumiała samą siebie, którymi siebie określała i tworzyła własną tożsamość. Wydaje mi się jednak, że w naszym stuleciu zachodzi inna jeszcze zmiana, równie istotna jak ta, która rozdzieliła czasy średniowieczne i czasy nowożytne. Tak jak kiedyś Bóg ustąpił miejsca kulturze, tak dzisiaj to kultura odstępuje swoje miejsce. Ale czemu i komu? W jakiej dziedzinie urzeczywistnią się najwyższe wartości zdolne zjednoczyć Europę? Osiągnięcia techniki? Rynek? Media? (Wielkiego poetę zastąpi wielki dzien-

nikarz?). Czy może polityka? Tyle że jaka? Prawicowa, lewicowa? Czy ponad tym manicheizmem, tyleż durnym, co nieprzewidywanym, istnieje wyrazisty wspólny ideał? Byłaby nim zasada tolerancji, szacunek dla wiary i dla poglądów innych ludzi? Skoro jednak tolerancja nie chroni żadnej bogatej twórczości i żadnej silnej myśli, nie staje się ona pusta i zbyteczna? A może w odejściu kultury należałoby dostrzec niejaki wyzwanie, któremu trzeba się euforycznie powierzyć? A może Deus absconditus powróci i zajmie opuszczone miejsce, czyniąc się widocznym? Nie wiem, nie mam pojęcia. Wiem natomiast to jedno: kultura porzuciła swoje miejsce”. Tyle Kundera, A.D. 1983.

Pisarz zadawał cztery dekady temu pytania, na które nie znał odpowiedzi. Być może właściwych udzielić nie mógł ze względu na wytykany mu przez Brodskiego agnostycyzm i wynikający z miłości do Diderota i francuskiego

tchrześcijańskiej moderny europejskiej, w okrażeniu, które musiałaby rozerwać duchowo i politycznie, aby potrafiła odnaleźć swą tożsamość” – mówi Preisner. Przestrzega przed niemieckimi skłonnościami do odrzucania kapitalizmu i Ameryki, w której to skłonności widzi sentyment antyzachodni; wytyka także niemieckim sojusznikom „sprawy środkowoeuropejskiej” miłość do Rosji.

PONADczasowa diagnoza

Jakże współcześnie brzmi diagnoza Rio Preisnera sprzed czterech dekad: „Kiedy Gunter Grass mówi dziś o roli Niemiec w europeizacji Związku Sowieckiego – przy czym jednocześnie odrzuca anglosaski demokratyczno-kapitalistyczny Zachód, w czym nie różni się od Sowietów – należy spytać, o jaką Europę chodzi w tej rzekomej europeizacji? [...] Europa Środkowa zawsze płaciła za koncepcję Nowej Europy – czy to jakobińskie, czy cesarsko-niemieckie”. Wypada dopytać: Za zagrożenie ze Wschodu? Preisner nie ma złudzeń i dostrzega coś, czego nie dostrzegał Kundera, zakochany w ironii i racjonalizmie Francji: Związek Sowiecki to bękart jakobinizmu i niemieckiego idealizmu. Stąd słowa czeskiego filozofa o okrażeniu, a nie tylko o porwaniu Europy Środkowej.

W książce, która ukazała się w minionych dniach pod tytułem „Zachód porwany”, znajdziemy jeszcze jedno wystąpienie Kundery. To przemówienie „Literatura i małe narody”, wygłoszone na Zjeździe Pisarzy Czechosłowackich w 1967 r. Tu z kolei mówi o roli kultury i literatury w obronie tożsamości czeskiej przed wchłonięciem jej przez Niemcy czy sowiecką Rosję. Ale ostrzega też przed procesami integracyjnymi współczesności, śmiertelnie niebezpiecznymi dla małych narodów. Pojawia się tu zdanie, z którego wywiedziony później zostanie „Zachód porwany”: „Cywilizacja rosyjskiego totalitaryzmu stanowi radykalne zaprzeczenie Zachodu, jaki ukształtował się u zarania czasów nowożytnych”. Dziś, wracając do Kundery, Brodskiego, Preisnera, patrząc na rosyjskie barbarzyństwo na Ukrainie, trudno nie zgodzić się z tą diagnozą. Ale trzeba też zadać pytanie, na ile Zachód stanowi dziś swoje radykalne zaprzeczenie.

© All rights reserved

Wyjątek, czyli o Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia”

Łatwo jest zgubić drogę. Szczególnie wtedy, gdy ma się 23 lata i brak konkretnego planu na przyszłość. Wrażenie, że z każdym rokiem wiem o sobie coraz mniej, jest tak przytłaczające, że szukam siebie nie tam, gdzie powinienam. Przeżyć życie – to ci dopiero wyzwanie!

W 2017 r. pierwszy raz włożyłam żółtą koszulkę stypendystki Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia” – organizacji, która od 2000 r. wspiera duchowo i finansowo uzdolnioną młodzież pochodzącą z niezamożnych rodzin. Jan Paweł II – patron Fundacji – był dla mnie tylko kolejnym świętym, którego warto naśladować. Moja wiedza o jego nauczaniu ograniczała się do kilku cytatów powtarzanych w mediach na okrągło. Z czasem jednak przekonałam się o mądrości Karola Wojtyły. Dzięki niemu wiem, że dezercja nie wchodzi w grę, że każdemu człowiekowi, choćby nie wiem, jak bardzo różnił się ode mnie, należy się szacunek i miłość, że świat jest po to, by o niego dbać, że życie jest zawsze dobrem, że jestem tu po coś. Do papieskiego nauczania wcale nie należą brzydkie pomniki stojące pod każdym kościołem, śpiewana o godz. 21.37 „Barka”, kremówki czy parę anegdot i wyjętych z kontekstu cytatów. Papież Polak to przede wszystkim ogromna skarbnica życiowej mądrości, często tak głębokiej i nieprzemijającej, że dziwi to, iż dane słowa zostały wypowiedziane czy napisane kilkadziesiąt lat temu. To jedynie wynik wyboru najpiękniejszych z możliwych dróg – Chrystusowej.

Właśnie po to powstała Fundacja – by wypełniać powierzone nam zadanie. Nieść dobro ze świadomością, że celem jest Chrystus. Nieustannie uczymy się tego, że talentów nie zakopuje się pod kamieniem, ale stawia w najbardziej widocznym miejscu. I rozdaje. Razem z samym sobą. Podobno tak się głosi Ewangelię – ze świadomością, że nie głoszę jej ja, ale ten, do którego wyciągam rękę.

W niedzielę 15 października w całej Polsce obchodząc będziemy XXIII Dzień Papieski pod hasłem „Cywilizacja życia”. Tego dnia szczególnie wspominamy życie i nauczanie św. Jana Pawła II. To także okazja do pomocy nam – stypendystom Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia”. Swoje wsparcie można okazać, wysyłając SMS o treści **STYPENDIA** pod numer **74265** (4,92 zł z VAT), a także podczas ogólnopolskiej zbiórki przy kościołach i na ulicach. Więcej o fundacji i jej sty-

pendystach można przeczytać na naszej stronie internetowej: www.dzielo.pl. Za każdą złotówkę, modlitwę w intencji Fundacji, za każdą dobrą myśl dziękujemy z całego serca.

Czasem chciałoby się zbuntować, ogłosić kapitulację, wywiesić białą flagę i powiedzieć: „Dość!”. Szczególnie wtedy, gdy tak blisko nas dzieje się wojna, kiedy łamane są podstawowe prawa człowieka, gdy w kolejnym kraju płoną lasy i topią się dobytki, gdy tak bardzo cierpimy na brak dobrych wiadomości. W takich momentach warto przypomnieć sobie papieski przepis na „cywilizację miłości” – życie ma sens wtedy, kiedy stajemy się darem z samych siebie. A „życie w pełni” zaczyna się od momentu, gdy zadamy sobie pytanie, które kiedyś postawił św. Augustyn: „A ty powiadasz: Może ja stanę się wyjątkiem?”.

Milena Kwiatkowska

Cywilizacja życia

XXIII Dzień Papieski
15 X 2023

FUNDACJA
DZIEŁO NOWEGO TYSIĄCLECIA

Pomóż zdolnej i niezamożnej młodzieży:
SMS „STYPENDIA” pod 74 265 (4,92 zł z VAT)

www.dzielo.pl

W ostatnich latach smętnie się działo na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. W 2020 r. Srebrne Lwy dostał Magnus von Horn za luksusowy melodramacik o czującej się samotną celebrytce, w 2021 r. Złote Lwy zdobył dr Łukasz Ronduda za „Wszystkie nasze strachy” – film zachwalający AgroUnię, z domieszką LGBT, a w 2021 r. Złote Lwy dostała Agnieszka Smoczyńska za czysto brytyjski, anglojęzyczny film pt. „The Silent Twins”, łamiąc tym samym regulamin FPFF.

Tak więc po latach filmowej smuty nareszcie na FPFF w 2023 r. mieliśmy w konkursie 15 polskich udanych filmów fabularnych. Szesnastym, kuriozalnym bzdetem był film Doroty Kędzierskiej pt. „Sny pełne dymu”, gdzie reżyserka cynicznie żeruje na ciężko schorowanym aktorze Krzysztofie Globisz. Byłem niemile zdzwoniony, gdy w pierwszym dniu tegorocznej edycji FPFF, w poniedziałek 4 września rano, w cenie przeze mnie TVP Kultura zobaczyłem 15-minutowy wywiad młodej redaktorki z dyrektorką artystyczną Joanną Łapińską. Po minucie ogólników pani Łapińska zaczęła nagle bez wmiaru zachwalać film Kędzierskiej jako film ponadczasowy (!), który trwał wejście do historii kina (!) itp., itd., dyrdymały wypowiadane językiem i tonem „kadrowej” z PRL, w dodatku wygłaszane przed projekcją filmu! Pani dyrektorka Łapińska miała możliwość przeprowadzenia drobnych, acz logicznych reform festiwalowych: dołączenia do konkursu głównego filmów mikrobudżetowych. Bo czym artystycznie różni się dobry film zrealizowany za 1 mln zł od udanego wysokobudżetowego? Mogła też

Drgnięcie w dobrym kierunku



Remigiusz Włast-Matuszak

Po latach twórczość filmowa ruszyła w dobrym kierunku mam nadzieję, że na stałe

spowodować, by publiczność festiwalowa mogła zobaczyć w wydzielanym kinie wszystkie zgłoszone do festiwalu filmy. Ocenic zarówno filmy dobre, niesłusznie odrzucone, jak i kosztowne bzdety sfinansowane przez PISF.

Do konkursu głównego 48. FPFF dziwnym trafem nie dostał się ważny i świetnie zrealizowany film pt. „Ukryta sieć” w reżyserii Piotra Adamskiego. Pierwszy polski film fabularny o pedofilii, w dodatku dotyczący środowiska telewizji i elit biznesowych, a nie sztabowo Kościoła.

Decyzje jury pod przewodnictwem reżysera Filipa Bajona poznaliśmy w sobotę 23 września. Niespodzianek w zasadzie nie było, gdyż dobre filmy powinny być wysoko ocenione, i tak też się stało. (Wymieniłem je w artykule „Po Wenecji, przed Gdynią” w „Do Rzeczy” nr 38/2023).

Złote Lwy na 48. FPFF za najlepszy film zdobył Paweł Maślona za dramat historyczny pt. „Kos”. Film ten nagrodzono też za montaż i charakterystykę. Srebrne Lwy zdobyła Olga Chajdas za film pt. „Imago”. Film nagrodzono też za muzykę i główną rolę kobiecą dla Leny Góry. Jan Holoubek

został uhonorowany nagrodą za reżyserię filmu „Doppelgänger/Sobowtór”. Film zdobył też nagrody za zdjęcia, scenografię i kostiumy. Nagrodę specjalną i nagrodę publiczności zdobył film „Chłopi” w reżyserii Doroty Kobieli-Welchman i Hugona Welchmana. (Minister kultury prof. Piotr Gliński przyznał mu swoją nagrodę w kategorii Film już 11 września, za co reżyserka serdecznie podziękowała).

Jury (jak i wręczający nagrody) było mocno liberalno-demokratyczne. Szerokim łukiem ominęli udane i wartościowe filmy, takie jak: „Figurant” Roberta Glińskiego, „Różyczka 2” Jana Kidawy-Błońskiego (świetny aktor Janusz Gajos tak dobrze zagrał rolę prezesa Jarosława Kaczyńskiego, że go niezamierzenie wspaniale ocieplił, czego by żaden reżyser spotów PiS nie potrafił zrobić). Pominęto unikalny film Piotra Dumay pt. „Fin del Mundo?” (Nie wiem dlaczego – czy chodziło o przedstawienie spotkania Putina z Komorowskim?), nie zauważono jednej z najlepszych komedii od czasów „Ataku paniki” – filmu pt. „Horror Story” Adriana Apanela, „Lęku” Sławomira

Fabickiego i „Pokolenia Ikea” Dawida Grala. „Gdyby natura chciała...”, to znaczy: gdyby jury chciało, toby nagrodę dało (ex aequo). Tak więc mieliśmy festiwal z niespodziewaną liczbą zgłoszonych i nagrodzonych dobrych polskich filmów. Po latach twórczość filmowa ruszyła w dobrym kierunku i mam nadzieję, że na stałe.

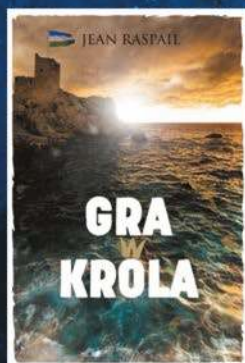
Zgodnie z lewacką ideą Antonia Gramsciego „Marszu po instytucjach” Gildia Reżyserów Polskich (honorowa przewodnicząca – Agnieszka Holland) nadawała ton na festiwalowych obradach Rady Programowej FPFF.

W ten sposób ogon zaczyna merdać psem, którym jest Komitet Organizacyjny FPFF. Ścisła czołówka Rady Programowej i Gildii omawiała nawet, na poważnie, postulat, by to ONI wyłonili kandydata na szefa kinematografii – sekretarza stanu w MKiDN. Właściwie dlaczego nie? Nie dziwmy się, gdy Agata Dudusko-Zygłewska z Ratusza czy inna Beata Chmiel zostaną wiceministrami do spraw kinematografii.

Ostrym zgrzytem na 48. FPFF było przyznanie nagrody Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej (PISF) za „Debiut roku” jadowicie antypolskiemu paszkwilowi Damiana Kocura pt. „Chleb i sól”, w którym incydent w Ełku został użyty do międzynarodowego przedstawienia Polaków jako uosobienia ksenofobii. Decyzja Radosława Śmigulskiego i m.in. Piotra Zaremby oraz Łukasza Adamskiego wywołała we mnie wymierzony protest – natychmiast wpłaciłem moją czternastkę na fundusz wyborczy Prawa i Sprawiedliwości. Trawestując Andrzeja Wajdę, zawołałem: „Za wami (za mną) pójdą inni”.

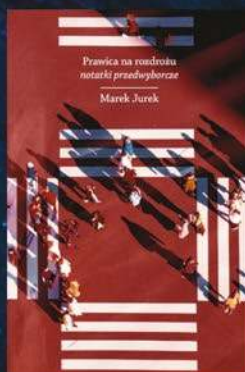
© © Wszelkie prawa zastrzeżone

NOWOŚCI WYDAWNICTWA DĘBOGÓRA



JEAN RASPAIL **GRA W KRÓLA**

Gra w króla to powieść na wskroś raspailowska. Uważny czytelnik odnajdzie w niej wiele wątków i postaci znanych z innych, notabene późniejszych, książek tego autora – Pedra de Lunę, Pikkendorfów czy Jego Wysokość Antoniego de Tounensa, pierwszego króla Patagonii. Nic w tym dziwnego – wszyscy oni są mieszkańcami świata marzeń, królestwa pod niebiesko-biało-zieloną flagą Patagonii. Ich wspólną cechą jest przedkładanie świata wyobrażonego nad ten uznawany przez większość ludzkości za realny. Oni nie bawią się w królestwo, ale prowadzą ze światem i samymi sobą swoją grę – grę w króla.



MAREK JUREK **PRAWICA NA ROZDROŻU**

Prawica na rozdrożu to esej o ostatnich latach polskiej polityki, zestawiający postawy różnych ugrupowań, chcących reprezentować opinię konserwatywną. Autor, posilając się swym doświadczeniem z wieloletniej działalności publicznej, pokazuje jak można analizować proces polityczny w oparciu o wyznawane wartości. Dzięki bogatej argumentacji historycznej i socjologicznej „Prawica na rozdrożu” może być ciekawą lekturą przedwyborczą dla każdego czytelnika zainteresowanego życiem publicznym i historią współczesną.



PAWEŁ MILCAREK **OTWARTE OKNA**

Autor podejmuje z różnych perspektyw sprawę humanistycznego dziedzictwa kulturowego chrześcijaństwa - zarówno w płaszczyźnie zasad relacji wiary i kultury, jak i średniowiecznych oraz nowożytnych przykładów ich powiązań. Ujmuję mnie w tych esejach płynące z „pewności wiary”, spokojne i pogodne mówienie o najbardziej palących sprawach naszych czasów. Styl tej książki przypomina „łagodny nurt wód Siloe” (Iz.8,6). Autor udowadnia, że zdrowa reguła katolicka jest tym, co obmywa rany współczesności, a następnie jednoczy się ze wszystkim, co głęboko człowiecze, nie mieszając się jednak z naszą mętnością i zagubieniem.

- dr Michał Gołębiowski



KACPER KITA **MELONI. JESTEM GIORGIA**

Jestem kobietą, matką, Włoszką, chrześcijanką i nikt tego nie zmieni - woła przyszła premier do swoich zwolenników. Wygrywa wybory pod hasłem Bóg, Rodzina, Ojczyzna. Za główne zagrożenia uważa niekontrolowaną migrację i polityczny ruch LGBT. Sama cudem uniknęła aborcji. Kim naprawdę jest premier Włoch Giorgia Meloni? Co ukształtowało ją jako człowieka i polityka? Dlaczego doświadczeni gracze tacy jak Silvio Berlusconi i Matteo Salvini musieli podporządkować się małej 45-letniej blondynce w kraju, na czele którego nigdy wcześniej nie stała kobieta?

WWW.DĘBOGORA.COM

Złóż zamówienie:

- przez stronę internetową www.debogora.com, płacąc wygodnie przelewem online, kartą płatniczą lub blikiem,
- telefonicznie pod numerem 509 731 913,
- mailowo (sklep@debogora.com).





FOT. MATERIAŁY PRASOWE



OGŁADANIE NA ŻĄDANIE



PIOTR GOCIEK

Moja bardzo wielka wina



★★★★★
REŻ. BRIAN DUFFIELD
„NIE OCALI CIĘ NIKT” („NO ONE WILL SAVE YOU”)
USA 2023

wyst. Kaitlyn Dever,
 Geraldine Singer

Nie patrzymy na efekty specjalne, spójrzmy na przesłanie. A można je odczytywać na kilka sposobów, stanie się więc film „Nie ocali cię nikt” przedmiotem licznych analiz i sporów. To skrzyżowanie „Cichego miejsca” oraz „Znaków”, które zachwyciło Stephena Kinga, stało się jednym z globalnych hitów streamingu minionego tygodnia. Jest również dowodem na maestrię scenarzysty i reżysera w jednej osobie: Brian Duffield nakręcił półtoragodzinny thriller bez dialogów (pada w nim ledwie kilka słów) i okazało się, że nie zubożył w ten sposób swej opowieści, lecz ją wzbogacił.

Zdaje się – rutyna. Dom na odludziu, samotna dziewczyna, potem pojawiają się obcy (istoty jak z podrzędnych seriali SF – szare, wychudzone, o wielkich oczach).

Pierwsza interpretacja oczywista, związana z tytułem, spotęgowana przez scenę, w której uciekająca dziewczyna trafia na kościół, lecz jego drzwi są zamknięte. Bóg cię nie ocali, być może porzucił nas wszystkich. Druga interpretacja, terapeutyczna: odkrywamy, że Brynn (świetna rola Kaitlyn Dever) nękana jest traumą z powodu ciężkiego grzechu z przeszłości. Trudno wtedy nie pomyśleć, że to wszystko jej halucynacja, że rzecz dzieje się tylko w jej głowie.

Duffield ucieka jednak od tej interpretacji, dając widzowi szarpący nerwy thriller i sięgając po wizualną dosłowność rodem z filmów Cronenberga. Owszem, obcy dadzą bohaterce lustro, w którym przejrzy się raz jeszcze swej winie. Ale zaskakująca puenta przyniesie okazję do podpowiedzenia kolejnych potencjalnych znaczeń. Czy Brynn

jest nieodwracalnie przeklęta czy może wyróżniona, a może zostaje uniewinniona? Dla kogo wszystko to ma być lekcją? Dla niej, by dała sobie szansę wyjścia z koszmaru i sobie wybaczyła? Czy może dla innych, którzy wybaczenia dla niej nie mieli, czyli nie ma miłosierdzia dla tych, którzy innym miłosierdzia poskąpili?

Cała inwazja obcych nie bez powodu wydaje się nam tandetna, ona jest tandetna celowo, bo nie chodzi o realistyczną wizję podboju, tylko o metaforę. Ale już interpretacje mogą być bardzo różne. Możliwości są dwie: albo sobie z nas pan Duffield zakpił i wszystko to jest zmyłką, bo chciał jedynie odbiorcę postraszyć, a nad resztą się nie zastanawiał, albo jego film jest dziełem tyleż wieloznacznym, ileż oryginalnym. Bliżej mi do tej drugiej interpretacji. ©©



NOWE SERIALE: „CONTINENTAL”

Pozostając w uniwersum serii „John Wick”, przenosimy się do lat 70. XX w. Szefem hotelu Continental, azylu dla kilerów, jest niejaki Cormac (Mel Gibson). Na odcisk nadepnie mu Francis Scott, brat Winstona Scotta, którego dorosłą wersję grał w kinowych filmach Ian McShane. Jak Winston sięgnie po

władzę nad azylem i które ze znanych już postaci ujrzymy u progu późniejszych karier? Odpowiedzi przynosi miniseria składająca się z trzech półtoragodzinnych odcinków. ©©

Piotr Gociek

• **miniseria „Continental: Ze świata Johna Wicka” USA 2023**

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 1 „**Jak zostać Elżbietą**”; Wielka Brytania 2022 **CANAL+**
- sezon 2 „**Nasza bandera znaczy śmierć**”; USA 2023 **max**
- reż. Michael Maren „**Co komu pisać**”; USA 2022 **CINEMAN**
- sezon 2 „**Loki**”; USA 2023 **Disney+**

Wolność dla robotów!

KINO

Agresywni jankesi kontra miłujący pokój Chińczycy. Jeśli taki jest twój obraz świata, to idź do kina na „Twórcę”. Umocnisz się w poglądach. Bo skoro amerykańska do szpiku kości wytwórnia Disney firmuje wizję do złudzenia przypominającą wojnę wietnamską widzianą oczami Jane Fondy, to chyba musi być coś na rzeczy.

W filmie Edwarda – sa dysponująca przewagą technologiczną armia USA masakruje kiepsko uzbrojonych (lub bezbronych) tubylców. Operacja specjalna jest pokłosiem eksplozji, która zmiotła z powierzchni ziemi Los Angeles. Wuj Sam winą obciążył sztuczną inteligencję

i teraz próbuje wypłenić AI na całym globie, choć „republiki azjatyckie” wcale sobie tego nie życzą. W masie Amerykanów ogłupionych lub wrednych trafiają się, rzecz jasna, jednostki szlachetne. Takie jak czarnoskóry komandos Joshua – jednak i on musi stracić wszystko, zanim dostrzeże oczywistość: przyszłość należy do robotów i cyborgów.



★★★★★
REŻ. GARETH EDWARDS
„TWÓRCA”
 („THE CREATOR”)
USA 2023

wyst. John David Washington,
Madeleine Yuna Voyles, Gemma Chan

Akcja rozgrywa się w 2065 r., więc niektórzy z czytających te słowa mogą dożyć historycznego przełomu. Starszacom pozostaje podziwiać biegłość w konstruowaniu widowisk monumentalnych w formie, lecz zasmucająco mialkich w treści.

© ©

Wiesław Chełmniak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SUKNIA OD DIORA

skySHOWTIME

Nigdy nie jest za późno na spełnianie marzeń. Sprzątaczką z Londynu, zainspirowana zawartością szaf swoich pracodawców z wyższych sfer, ciuła pieniądze na kreację godną księżnej. Tymczasem w Paryżu źle się dzieje: strajkują śmieciarze, modelki czytają „Byt i nicość”, a słynny dom mody jest bliski bankructwa. Pani Harris, dysponująca sumą 500 funtów (dzisiaj byłoby to 10 tys.), udzieli snobom znad Sekwany lekcji biznesowej strategii tudzież *savoir-vivre*’u. Czwarta ekranizacja powieści z 1958 r. (którą niedawno przerobiono również na musical) powinna trafić do Sevres jako wzorzec filmu poprawiającego samopoczucie. Zrećnie ogrywa francuski kompleks wyspiarzy i uroki „starej, dobrej Anglii”. Przy okazji odgrzewa tezę, że moralność zależy od grubości portfela. Godni zaufania są kłoszardzi oraz „ludzie niewiedzialni”, czyli klasa robotnicza. Bogatych próżniaków trzeba zaś resocjalizować. © ©



★★★★★
REŻ. ANTHONY FABIAN
„PARYŻ PANI HARRIS”
WIELKA Brytania
2022

wyst. Krzysztof Majchrzak, Anna Seniuk,
Joanna Sienkiewicz

STAĆ SIĘ KIMŚ

arte

Amanda Lear. Można ją lubić, nienawidzić lub lekceważyć, ale trzeba przyznać że dokonała cudu. Od pół wieku pozostając w świetle reflektorów, pozostała sfinksem, istotą nieodgadnioną. Ile ma lat? Czy aby na pewno jest kobietą? Nawet bliscy przyjaciele płaczą się, próbując odpowiedzieć na te pytania. Pozostają pewniki: niski głos, burza blond włosów, smukła sylwetka. Głoga poprzestała na modelingu, jednak w latach 60. ciągnęła ją do rockmanów, a dekadę później stała się gwiazdą disco. Brylowała w telewizji Berlusconi, a potem we Francji. Okazjonalna aktorka, skandalistka, ikona mody, twarz rewolucji obyczajowej. Dali dzięki Amandzie mocno się odmłodził, ona nauczyła się od surrealisty sztuki manipulowania mediami i publicznością. Autor dokumentu zrywa z twarzy Lear kolejne maski, by na koniec przyznać się do bezradności. Kimkolwiek była na początku, osiągnęła cel: stała się celebrytką. © ©



★★★★★
REŻ. PATRICK JEUDY
„AMANDA LEAR”
 („APPELÉZ-MOI MADEMOISELLE”)
FRANCJA 2023

Wiesław Chełmniak

GRA TYGODNIA: „LIES OF P”

Adaptacja „Pinokia” zdecydowanie dla starszych graczy, w dodatku takich, którzy lubią wyzwania z gatunku soulslike. Jako ożywiona lalka budzimy się na dworcu kolejowym w ponurym, mrocznym i złowrogim, choć noszącym ślady

wielkiego piękna belle époque mieście Krat. Naszym jedynym drogowskazem jest na początku kartka z informacją, że w mieście przebywa Geppetto. Ruszamy więc na poszukiwania, stawiając czoła wymagającym przeciwnikom.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★
Ciekawa produkcja dla fanów gatunku. © © Radosław Wojtas

• **Gatunek:** RPG, TPP
• **Platforma:** XSX, XONE, PS5, PS4, PC
• **Producent, wydawca:** Round8 Studio, Neowiz

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Młody las

Ta autobiografia wieloletniego dziennikarza Radia Wolna Europa i Głosu Ameryki, uciekiniera z komunistycznej Polski ukazała się pięć lat temu w innym wydawnictwie. W obecnej edycji wzbogacona została o opowieści związane z kolekcjonerską pasją autora i jego zainteresowaniem sztuką, konkretnie malarstwem polskim. I wprawdzie to tylko margines książki, niemniej bardzo interesujący, a to ze względu na przytaczane historie dotyczące odnajdywania i kupna bardzo sławnych niekiedy obrazów.

Ta część wspomnień Marka Walickiego pozwala docenić wysiłki historyków sztuki wstrzymujących aukcyjne licytacje, odszukujących zrabowane dzieła sztuki polskiej, wykupujących je z rąk dzisiejszych właścicieli często nieświadomych ich proveniencji. Niestety, nie zawsze tak było, a ponadto przez wiele lat niedoceniany był dorobek naszych artystów, np. ze szkoły monachijskiej. A to właśnie obrazy monachijczyków – Grocholskiego, Korzeniewskiego i Kochanowskiego – zapoczątkowały w latach 50. kolekcję Walickiego. Można tu zaryzykować stwierdzenie, że gdyby nie praca w Wolnej Europie, w Monachium właśnie, zbiór ten wyglądałby zgoła inaczej.

Pisze Walicki i o innych zbieraczach sztuki polskiej, ludziach, którzy na emigracji m.in. w ten sposób dawali upust swym uczuciom patriotycznym. Był wśród nich Jan Nowak, dyrektor RWE, przez dłuższy czas jego zwierzchnik, a potem przyjaciel. Autor poświęca mu, a także innym bliskim sobie osobom, jak Zofia Korbońska, Zbigniew Herbert, Zdzisław Najder, o. Feliks Zieliński, odrębne rozdziały. Pisze o nich wszystkich z jednakowym uznaniem, nie kryjąc różnic poli-



FOT. Z ARCHIWUM MARKA WALICKIEGO/PAP

tycznych istniejących np. między Nowakiem a Korbońską, ale przede wszystkim akcentując ich oddanie sprawie polskiej.

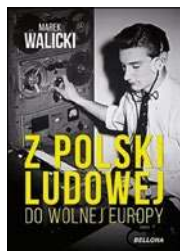
O ostatnich dniach zmarłej w sierpniu 2010 r. Zofii Korbońskiej, żonie Stefana Korbońskiego, szefa Kierownictwa Walki Cywilnej, wybitnej działaczki niepodległościowej, jednej z najważniejszych postaci emigracji polskiej w Stanach Zjednoczonych, czytamy: „Kiedy nadeszła hiobowa wieść o katastrofie smoleńskiej, przysły – niczym bańka – ostatnie jej nadzieje na powstanie wymarzonej przez nią Polski – Polski, o jaką bohatersko walczyła, w której pragnęła złożyć swe kości. Z jej ust zaczęły padać mocne polityczne słowa. »Dopadli go« – powiedziała jednej ze swych wiernych przyjaciółek, telefonując do Warszawy. Tego tragicznego dnia dzwoniła i do mnie nad ranem. Była zdruzgotana. Bo o ile dla nas wszystkich był to wielki szok – dla niej było to już widmo własnej śmierci. Smoleńsk ją niewątpliwie przyspieszył – jak trafnie zauważyło kilka bliskich jej osób. Nie pomagały przyjacielskie perswazyje, by nie wyciągać przedwczesnych wniosków, że tragedia ta powinna pojednać cały naród. Ona widziała to wręcz odwrotnie. Niemal proroczo. Dla niej był to już tylko koniec”.

Marek Walicki przez zieloną granicę uciekł z Polski w 1949 r. Miał wtedy 18 lat, był harcerzem, komunizmu – jego brat przyrodni, Michał, za swą działalność w ruchu oporu został uwięziony – nienawi-

dził. Nie kryje, że podejmując wtedy – w tajemnicy przed rodzicami, których nie chciał narażać – tak ważną decyzję, liczył na bliski koniec narzuconej przez Sowiety władzy. Szybko przekonał się, że Zachód nie kwapi się do rozprawy z wrogiem, a on zamknął sobie drogę powrotu, mógł myśleć, że na zawsze. Szczęśliwie tak się nie stało.

Wzruszają końcowe fragmenty książki, w której 92-letni autor, podsumowując swoje życie, snuje refleksje nad losem politycznego emigranta, jaki mu przypadł w udziale. I pomimo wszystkich swoich osiągnięć, udanego życia zawodowego i rodzinnego powiada, że „gdyby ktoś zapytał mnie teraz, czy warto wyjechać z Polski i zamieszkać na stałe w innym kraju, odpowiedziałbym bez wahania: nie radzę tym wszystkim, szczególnie młodym, którym Polska jest bliska i którzy dumni są ze swojej polskości”.

I jeszcze jedno. Do powstania rodzina autora mieszkała w Warszawie przy ul. Chocimskiej, dokąd pewnego dnia 1943 r. pani Walicka przyprowadziła kilkunastoletniego chłopca, przedstawiając go jako sierotę, który przez jakiś czas będzie z nimi mieszkał. Marek ucieszył się, że będzie miał kolegę, ale nie był on skory do zabawy, a na podwórko nie wychodził wcale. Po pewnym czasie trafił do salezjanów i dopiero później matka powiedziała, że był to Żyd, którego przechowywała niemal pod samym nosem gestapo. „I nigdy nie przyszłoby jej do głowy – pisze Marek Walicki – by upomnieć się gdzieś o wyróżnienie, nie mówiąc o Yad Vashem. Ale gdyby w imieniu wszystkich takich jak ona – cichych, skromnych i »sprawiedliwych« – ktoś posadził w Jerozolimie drzewa, zapewne rósłby już tam gęsty las”. ©©



★★★★★
MARKA WALICKI
„Z POLSKI
LUDOWEJ DO
WOLNEJ EUROPY”
OSSOLINEUM,
WROCŁAW 2023



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wilk i dziewczyna

Powojenna Japonia, przez apokaliptyczny krajobraz wędruje niedobrana para: 17-letni chłopak i 12-letnia dziewczynka. Opowieść nie będzie wesoła; zaczyna się na cmentarzu, gdzie łatwiej żyć niż w ruinach. A gdy już rozpocznie się odyseja przez cierpiący kraj, na drodze bohaterów staną łajdacy, bandziory, oszuści lub po prostu ludzie na wiele sposobów cierpiący i nieszczęśliwi.

Yuko Tsushima, znakomita japońska pisarka (1947–2016), szybko ucieka jednak z pułapki gryzącego realizmu. Słusznie, bo przedawkowana makabra i depresja bywają męczące; po to literatura nam daje wielce mnogą liczbę sposobów snucia opowieści, byśmy z tego korzystali. I oto „Uśmiechnięty wilk” zamienia się w historię nieco surrealistyczną, nieco bajkową, ale nigdy nie są to czysty eskapizm i czysta fantazja. Chodzi raczej o spojrzenie na świat pod trochę innym kątem.

W przemianie owego świata pomagają sami bohaterowie, którzy równowagi psychicznej, a jednocześnie jakichś dróg samoświadomości i wyzwolenia szukają w literackich metaforach. Najpierw więc przybierają imiona znane z „Księgi dżungli” Kiplinga, stając się Mowglim

i wilkiem Akelą, potem zaś sięgają po tożsamości z wielce niegdyś popularnej przygodowej powieści francuskiej „Bez rodziny” Hectora Malota (aczkolwiek te dwa dzieła nie wyczerpują długiej listy literackich aluzji i inspiracji).

Szczególnie ważna jest wilcza metafora; zresztą na początku powieści dostajemy esej o losach wilka japońskiego. Człowiek człowiekowi największym wrogiem – podpowiada Tsushima – zwłaszcza w trudnych czasach. A wilk staje się symbolem niezależności, wolności i indywidualizmu. Wilk jest tu tożsamością gwarantującą przetrwanie. Wilk, a nie wataha, gdyż grupa niesie śmierć. Intrygujące są te literackie przebieranki niedobrej pary podróżników, których relacja wyzbyta jest podtekstów seksualnych, ale bez odpowiedzi pozostaje pytanie o jej naturę. Czy to wilk porwał swą ofiarę czy wąż omamił niewinną? A może po

prostu dwie cierpiące dusze spotkały się w drodze i uznały, że razem cierpieć łatwiej? Klimat opowieści przywodzi mi na myśl wczesne opowiadania Any Marii Matute, pisarki łączącej realizm z fantazją w utworach o hiszpańskiej wojnie domowej. Proza dla wymagających, na najwyższym poziomie, zostanie z wami na długo. ©



★★★★★
YUKO TSUSHIMA
„UŚMIECHNIĘTY WILK”
PIW 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Autobiografia znanego aktora połączona z opowieścią o kulinarnych przygodach i rodzinie. Niepoprawna politycznie: dzieciom Stanleya bardzo podoba się ubijanie i pieczenie prosiaka. Zwłaszcza łba.



STANLEY TUCCI
„SMAK. ŻYCIE I JEDZENIE”
MARGINESY

Kolejna część cyklu „Tam kiedyś była Rzeczpospolita” (w 2016 r. ukazały się „Ziemie ukraińskie”). Teraz znany popularyzator historii skupia się na terenach dawnej Auksztoty i Żmudzi.



JERZY BESALA
„ZIEMIE LITEWSKIE”
ZYSK I S-KA

Powrót klasyka zwanego „amerykańskim Czechowem”. W latach 60. i 70. wydawany w PRL, potem u nas zapomniany. Wybór opowiadań przygotował i opatrzył wstępem Julian Barnes.



JOHN CHEEVER
„WIZJA ŚWIATA”
CZARNE

Pierwsze polskie wydanie klasycznej powieści SF z 1959 r. Była to jedna z pierwszych książek o świecie po wojnie nuklearnej: mieszkańcy małego miasta na Florydzie próbują za wszelką cenę przetrwać.
© © recenzuje Piotr Gociek

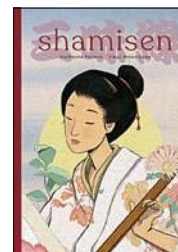


PAT FRANK
„BIADA BABILONOWI”
REBIS

KOMIKS TYGODNIA:

„SHAMISEN”

Goze, niewidome japońskie wędrownie artystki, oraz ich ulubiony instrument, shamisen, są kluczowe dla tej niezwykle opowieści graficznej składającej hołd tradycji i kulturze Japonii. Inspiracją była postać Haru Kobayashi, w materiałach dodatkowych znajdziemy m.in. teksty oryginalnych piosenek wykonywa-



GUILHERME PETRECA, TIAGO MINAMISAWA
„SHAMISEN”
MANDIOCA 2023

nych przez goze. Jeden z najpiękniejszych komiksów, jakie ukazały się w Polsce w tym roku. ©

Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

(Przed)premierowo w MHP

Na wystawę stałą jeszcze poczekamy, ale Muzeum Historii Polski jest już (częściowo) otwarte. MHP swoją obecność na warszawskiej Cytadeli zainaugurowało ekspozycją czasową. Na „czasówkę” w budynku MHP przeznaczono 1,4 tys. mkw., zmieściło się więc kilkaset eksponatów, w tym parę cymesów.

Są tam dzieła odzyskane, wśród nich obrazy Bractwa św. Łukasza

i makaty według projektu Miecysława Szymańskiego, które opuściły Polskę w 1939 r., wyruszając do USA na wystawę opiewającą świetlaną przyszłość ludzkości, a powróciły dopiero w ubiegłym roku; są dzieła podarowane muzeum, jak odręcznie spisany testament Ryszarda Siwca (dar od jego rodziny); są przedmioty zakupione, jak kolekcja pasów suchich; są eksponaty pozyskane podczas prac archeologicznych. Całość dobrana wedle klucza tytułu ekspozycji: „Wielkie i małe historie. Tworzenie kolekcji Muzeum Historii Polski”.

Do 11 listopada bilety na wystawę będą kosztowały symboliczną złotówkę. ©©

GDZIE? Warszawa,
Muzeum Historii Polski
KIEDY? do marca 2024 r.



FOT. RADOSŁAW WOJTAS



NADZWYCZAJNA KASTA

Sto pięćdziesiąt eksponatów ukazujących uzbrojenie i przedmioty codziennego użytku, a także drzeworyty związane z fascynującym, tajemniczym, do dziś pobudzającym wyobraźnię światem samurajów. Ukazanie historii trwającej prawie siedem wieków supremacji tej hermetycznej kasty społecznej. Ekspozycję uzupełniają wydarzenia towarzyszące, takie jak ceremonia parzenia herbaty chanoju, warsztaty origami czy pokazy sztuk walki. ©©

GDZIE? Radom, Muzeum im. Jacka Malczewskiego
KIEDY? do 10 grudnia

NA SŁUCH

Ucieczka do tropików

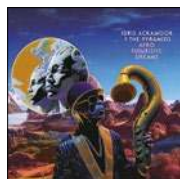


GRZEGORZ BRZozowicz

Siedemdziesięciodwuletni saksofonista Idris Ackamoor zaczynał jako awangardzista Sun Ra i Cecyla Tylora. W latach 1970–1977 kierował niszowym zespołem The Pyramids. Odkrycie nagrań grupy przez młodych DJ-ów sprawiło, że po 34 latach przerwy Idris odbudował Piramidy. Tym razem muzyka kolektywu jest znacznie bardziej przystępna.

Współczesna edycja The Pyramids, inspirowana twórczością Johna Coltrane’a i Pharoah Sandersa, rozszerza ramy spiritual jazzu. Na czwartym albumie, licząc od momentu powrotu, grupa w porywający sposób miesza afrobeat, psychodeliczny blues, zmutowany funk czy avant-jazz ze

słowem mówionym i gospelowymi chórami. W nagraniach wzięli udział 10 instrumentalistów oraz kwartet smyczkowy. Lider, oprócz gry na saksofonach, instrumentach klawiszowych i perkusyjnych, pełni rolę narratora i wokalisty. Uwagę zwraca natchniona gra skrzypaczki Sandry Pointdexter oraz rozimprowizowanego gitarzysty Bobby’ego Cobba. Artyści eksplorują różne tradycje muzyczne oraz kombinacje harmoniczne i rytmiczne. Rozimprowizowane wiołonczela, harfa, gadające bębny, fletnia Pana, kalimba w połączeniu z tradycyjnym jazzowym instrumentarium i elektroniką tworzą transcendentną fuzję duchowego jazzu i afrykańskiego highlife. ©©



★★★★★
IDRIS ACKAMOOR & THE PYRAMIDS
„AFRO FUTURE DREAMS”
STRUT



★★★★★
DOROTY MIŚKIEWICZ & TONINHO HORTY
„BONS AMIGOS”
WARNER

Ona przepięknie interpretuje piosenki partnera, a on wspaniale zaaranżował jej autorskie utwory. Południowe słońce połączone z mazowiecką melancholią, zarejestrowane w studiach Rio i Warszawy, współbrzmia nad wyraz przyciągająco. ©©



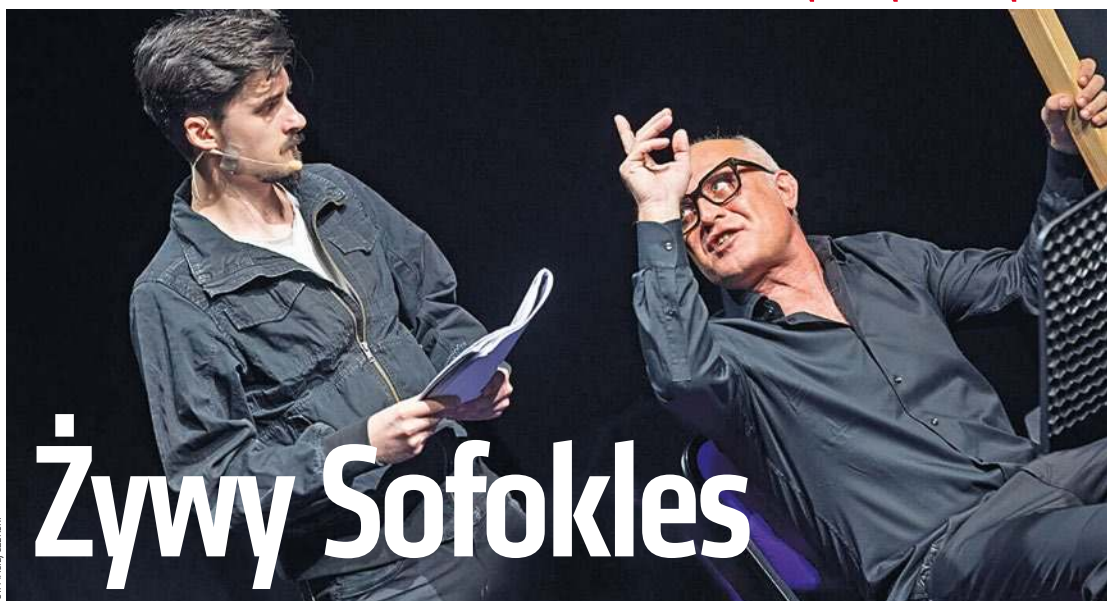
★★★★★
KYLIE MINOGUE
„TENSION”
BMG

Mimo upływu lat Australijka wciąż jest królową parkietów. Poczynając od hitu „Padam Padam”, na 16. albumie lądujemy w house’owych latach 90. Mistrzowsko zrealizowany zestaw eskapistycznych piosenek, idealnie nadający się na weekendowe szaleństwa. ©©

Na 5 października warszawski Teatr Polski zapowiedział premierę „Antygony” w reżyserii Piotra Kurzawy, w tłumaczeniu Antoniego Libery, a na 11 listopada – „Odprawę posłów greckich”, w... przekładzie tego samego autora. Tę ostatnią kwestię Teatr Polski wyjaśnia następująco: „Libera podjął się zadania karkołomnego i opracował uwspółcześnioną wersję »Odprawy posłów greckich« – chciałoby się rzec – przetłumaczył najznakomitsze dzieło Kochanowskiego z polskiego na polski, czyniąc je dostępnym dla współczesnych czytelników i widzów”. Tym razem można tekstowi promocyjnemu uwierzyć na słowo, znając poprzednie przekłady autora głośnej powieści „Madame”, reżysera, badacza twórczości, tłumacza i wydawcy dzieł Samuela Becketta. Od lat realizuje on swój ambitny program translatorski, mierząc się z kanonicznymi autorami: Homerem, Szekspirem, Racine’em, Hölderlinem, Kawafismem. A który aktualnie utwór ma na warsztacie, można się dowiedzieć na organizowanym przez Teologię Polityczną cyklu seminariów, gdzie omawia, prezentuje i interpretuje dzieła klasyki europejskiej.

Osobne miejsce w dorobku Libery zajmuje Sofokles z jego najważniejszymi tragediami. Są to przekłady wydawane (PIW) i wystawiane w teatrach, o długiej już historii. Warto przypomnieć, że serię tę rozpoczęła „Antygona”, przełożona wspólnie z Januszem Szpotańskim i wystawiona w szczecińskim Teatrze Polskim w roku 1993. Jest to wersja lubiana przez aktorów, a w teatrach uchodząca za wersję tej szkolnej lektury najbardziej przyjazną, dostępną dla młodej widowni. Nic więc dziwnego, że doczekała się ponad 10

FOT. MAŁEJ CZERŃSKI



Grzegorz Kondrasiuk

Antoni Libera od lat realizuje swój ambitny program translatorski, mierząc się z kanonicznymi autorami

realizacji w całej Polsce i że ten przekład ciągle żyje. Sam Libera nazywa swoje tłumaczenia „spolszczeniami”, wyjaśniając swoje założenia chęcią odejścia od tradycji ścisłego przekładu filologicznego, archaizowanego i patetycznego, o XIX-wiecznym rodowodzie. Tymczasem spolszczenia klasyki mają być napisane tak, aby każdy je zrozumiał, niezależnie od przygotowania i kompetencji kulturowych – i trzeba przyznać, że Liberze to się udaje. Można się o tym przekonać na żywo – wystarczy się przejść do Teatru Polskiego albo na którąś z odsłon cyklu „Sofokles na nowo odczytany”. W Instytucie Teatralnym im. Raszewskiego Mariusz Małec reżyseruje czytania – w luźnej, warsztatowej jeszcze atmosferze – „Trachiniek”, „Filokteta” i „Antygony”, z muzyką Mikołaja Trzaski, przygotowując się do przyszłorocznej realizacji „Króla Edypa”.

Mniej znana tragedia Sofoklesa „Filoktet” znakomicie zniosła próbę aktualizacji. Ani uhistoryczniona, ani uwspółcześniona w sposób nachalny wersja właśnie dzięki prostocie języka przekazała nierozwiązywalny konflikt. Mądry Sofokles stawia tu pytanie, wciąż nieuniważnione, o uzasadnioną zdradę, pokazując przyspieszoną lekcję dojrzałości, a reżyser Mariusz Małec idzie za nim, podejmując trafne decyzje obsadowe. Cała rzecz rozgrywa się i pomiędzy konfliktem równorzędnych racji, i pomiędzy pokoleniami. Fascynującym Odyseuszem w tej realizacji okazał się Krzysztof Wakuliński, a najciekawszą postacią tego dramatu Neoptolem, syn Achillesa, grany przez Ignacego Martusewicza. To o niego, o jego młodzieńczy idealizm toczy się tu gra pomiędzy Odysem, pragmatycznym cynikiem, i skrzywdzonym,

zdradzonym, pełnym resentymentu wojownikiem Filoktetem (Przemysław Bluszczy). Neoptolem, nakłoniony przez Odysa, musi kłamać i zdradzić w imię interesu wspólnoty. Uśmiechając się do siebie, nie podnosząc głosu, brodaty, długowłosy Odys o pobrużdżonej twarzy mówi do Neoptolema: „Mój zacny chłopcze! Ja także za młodu / Rwałem się głównie do walki, nie bacząc / Na moc języka. Aż go doceniłem! Jest znacznie więcej wart niż naga siła”... ©

SOFOKLES W PRZEKŁADACH ANTONIEGO LIBERY „FILOKTET”, SCENARIUSZ I REŻYSERIA: MARIUSZ MAŁEC KONCEPCJA I PRZYGOTOWANIE CHÓRU: OLGA LISIECKA MUZYKA: MIKOŁAJ TRZASKA CZYTANIE SCENICZNE W RAMACH CYKLU „SOFOKLES NA NOWO ODCYTANY” – 20 WRZEŚNIA INSTYTUT TEATRALNY IM. Z. RASZEWSKIEGO KOLEJNE CZYTANIE: „ANTYGONA”, SCENARIUSZ I REŻYSERIA: MARIUSZ MAŁEC – 20 PAŹDZIERNIKA SOFOKLES, „ANTYGONA”, TEATR POLSKI W WARSZAWIE, REŻYSERIA: PIOTR KURZAWA, PREMIERA: 5 PAŹDZIERNIKA



Z Januszem Korwin-Mikkem,
politykiem Konfederacji
rozmawia Ryszard Gromadzki



FOT. ANDRZEJ IWANCIUK/REPORTER

Tylko bankructwo nauczy ludzi rozumu

RYSZARD GROMADZKI: Czy po ostatnich, nieprzyjaznych Polsce działaniach i gestach władz w Kijowie wspieranie Ukrainy leży nadal w interesie polskiej racji stanu?

JANUSZ KORWIN-MIKKE: Od dawna twierdzę, że gdyby Ukrainie groziła utrata niepodległości, Polska powinna zaryzykować nawet wojnę z Rosją, bo niepodległość Ukrainy jest dla nas kluczowa. Natomiast kwestia konfliktu o terytoria Tauridy i Donbasu, zamieszkane po połowie przez Rosjan i Ukraińców, nie powinna nas szczególnie obchodzić. Powinniśmy tylko pilnować, żeby Ukraina nie przegrała sromotnie tej wojny, bo wtedy Rosja z pewnością by się wzmocniła.

Od początku wojny Polska udzieliła Ukrainie ogromnej pomocy militarnej i humanitarnej. Ukraińcy przebywający w Polsce mogą korzystać z całego wachlarza świadczeń socjalnych i innych form pomocy finansowej. To wszystko razem,

z punktu widzenia interesów naszego państwa, jest dobrą inwestycją?

Bardzo złą inwestycją. Wzmacniamy potencjalnego przeciwnika. Ukraina jednoznacznie orientuje się na Niemcy. Oś Berlin – Kijów jest faktem. Dla Ukraińców Niemcy są naturalnym i atrakcyjnym sojusznikiem. Oba te państwa roszczą wobec Polski pretensje terytorialne. Nie daj Boże do władzy w Niemczech dojdzie jakaś AfD lub coś podobnego – a to bardzo prawdopodobne – i wtedy znajdziemy się w kleszczach między Niemcami a Ukrainą. Musimy sobie w końcu zdać sprawę, że od kilkudziesięciu lat nie jesteśmy w strefie zgnięcia między Niemcami a Rosją, lecz Niemcami a Ukrainą.

Spułstoszona przez Rosję Ukraina może w perspektywie kilku lat czy dekad stać się dla Polski rywalem stwarzającym realne zagrożenie?

Ukraina jest oczywistym, naturalnym rywalem Polski. Silniejszym od Polski.

Ma armię znacznie silniejszą od naszej i, co najważniejsze, ostrzelaną. Gdyby doszło do wojny polsko-ukraińskiej, nie byłoby nas w ciągu 10 dni.

Jaką politykę powinna prowadzić Polska w stosunku do Ukrainy?

Przede wszystkim powinniśmy jasno określić swoje interesy. A sprowadzają się one do tego, że będziemy bronili niepodległości Ukrainy, natomiast w spór między prawosławnymi się nie wdajemy.

Co jest stawką wojny Rosji z Ukrainą?

Plan A zakładał, aby zneutralizować Ukrainę, żeby nie była zagrożeniem dla Rosji, żeby nie była w NATO, wreszcie – żeby nie dysponowała bronią, która pozwala bezpośrednio zaatakować Moskwę. Przypominam, że od granicy Ukrainy jest niecałe 600 km do Moskwy.

Rosjanie próbowali to zrobić, przywracając do władzy Janukowycza, który

– trzeba to przyznać – został nielegalnie obalony przez Majdan. Tu akurat Rosjanie mają rację.

Jednak na przywrócenie Janukowycza nie ma na Ukrainie żadnego klimatu, więc gdy się to Rosji nie udało, zaczęła realizować plan B – czyli zajęcie terytoriów rosyjskojęzycznych. Podkreślam, że w Donbasie jest 60 proc. rosyjskojęzycznej ludności. W reszcie Zaporozża jest to 40–45 proc., nie wspominając o Krymie, gdzie językiem 80 proc. ludności jest rosyjski.

Jako że Rosji nie udało się pierwotny plan, próbuje przynajmniej przeprowadzić ten drugi i w zasadzie prawie swój cel osiągnęła. Do jego pełnej realizacji brakuje jej zajęcia połowy okręgu donieckiego.

Ta wojna zakończy się, gdy przyszłe wybory prezydenckie w USA wygra Donald Trump? Bo zapowiada, że zakończy ją w 24 godziny?

Być może. Nie wiem, czy pan Trump wygra te wybory, bo każdy atak ze strony obecnego reżimu przysparza mu nowych wyborców republikańskich, natomiast niekoniecznie wśród reszty. To, że Trump wojuje z „deep state”, może być minusem dla porządných obywateli.

Polska jest nadal państwem faktycznie niezależnym czy wobec rosnącej presji Unii Europejskiej nasza niezależność jest pewną fikcją?

W pewnym sensie jest państwem niezależnym, dlatego że, z jednej strony, należymy do Unii Europejskiej, a z drugiej – rządzi nami PiS, który jest antyunijny i bardziej proamerykański. To daje pewien zakres swobody manewru. Ale Polska powinna dysponować pełną swobodą manewru i rozmawiać ze wszystkimi: z Ukrainą, Rosją, Chinami. Powinniśmy rozmawiać z każdym, a nie być wyłącznie klientami Ameryki.

Jak tego dokonać? W jaki sposób Polska może wybić się na prawdziwą niezależność?

Na razie naszym głównym sojusznikiem jest jego eksceleńca prezydent Ukrainy Włodzimierz Zełenski, który ostatnio w kanadyjskim parlamencie okłaskiwał niejakiego Jarosława Hunkę, ukraińskiego weterana dywizji SS „Galizien”. Na marginesie przypomnę, że to Kanada wspólnie z Anglią były głównymi motorami wciągnięcia Ukrainy do wojny z Rosją.

Czy miejsce Polski nadal jest w zdominowanej przez coraz bardziej skrajną lewicową agendę UE?

Zawsze uważałem, że Polska powinna prowadzić spójną politykę polegającą na tym, aby zachowywać się tak, żeby chcieli nas z Unii wyrzucić. PiS tak się zachowuje, realizuje tę strategię w dużej mierze. Niezbyt umiejętnie, ale realizuje. Tylko, niestety, premier Morawiecki dwa lata temu podpisał ten nieszczęsny „pakt klimatyczny” i to jest zupełna tragedia. Przypominam, że przy „okrągłym stole” postanowiono, iż będziemy rządzili „raz wy, raz my, raz wy, raz my”, ale kto by wygrał, uznaje eurosocjalizm i Unię Europejską. Różnica polega na tym, że PiS robi to z obrzydzeniem, a PO z entuzjazmem.

Gdyby doszło do wojny polsko-ukraińskiej, to nie ma nas w ciągu 10 dni

Jak Konfederacja chce przełamać duopol PiS-PO?

Trzeba wreszcie przejść jakieś media. Proszę zwrócić uwagę, że w Internecie wśród młodzieży lewica ma ogromne poparcie, my mamy ogromne poparcie, natomiast PO, PiS i cała reszta mają w sumie razem 20 proc.

Zmiana postaw społecznych to długi proces. Socjalizm trzyma się mocno, choć komuny dawno nie ma. Co musi się zdarzyć, żeby ludziom otworzyły się oczy?

Niestety, tylko bankructwo nauczy ludzi rozumu. Trzeba to powiedzieć jasno.

Czy nie będzie ono następstwem realizacji „paktu klimatycznego”?

To nastąpi w całej Europie, nie tylko w Polsce. Na razie mamy do czynienia z „głuchymi protestami” w rodzaju „żółtych kamizelek” we Francji. Takie protesty przetaczają się też obecnie przez Czechy. W Unii Europejskiej i USA panuje „tfu-demokracja”, rządzą nami idioci. Ci idioci nie są w stanie zrozumieć, dlaczego jest źle. To, o czym z panem rozmawiam, jest dla nich za trudne. Ale oni wyczuwają, że jest źle. Pojawiają się głuche protesty pod tytułem „Mamy tego dość!”. Kiedy nastąpi prawdzi-

we bankructwo, te protesty zamienią się w nową rewolucję francuską. Pamiętajmy, że cała obecna klasa polityczna jest znacznie bardziej skorumpowana niż arystokracja w roku 1789. Powtórka rewolucji francuskiej jest całkiem możliwa.

Nowy porządek, który wyłoni się po przewidywanym przez pana bankructwie obecnego systemu, otworzy koniunkturę dla takich formacji politycznych jak Konfederacja?

Dopóki będzie „tfu-demokracja”, dopóty oczywiście nie. Moim zdaniem jako pierwsza władzę obejmie lewica, która zupełnie się skompromituje. Dopiero wtedy nadejdzie czas dla nas.

Konfederacja traci w sondażach w ostatnich tygodniach. To znaczy, że wśród wyborców spada zapotrzebowanie na alternatywę wobec PiS i PO? Co jest powodem tego regresu?

Wynikało to z tego, że nasi wyborcy wyjechali na wakacje do ciepłych krajów albo do pracy za granicą. Ale nasze sondaże ostatnio się polepszyły i jeszcze bardziej polepszą się, kiedy na uczelnie wrócą studenci, a najlepiej będzie w dniu samych wyborów. Nie przejmujemy się specjalnie bieżącymi sondażami.

Inną przyczyną spadku notowań Konfederacji jest to, że zaczęła się znowu walka PiS z PO i PO z PiS. Ludzie zapomnieli o Konfederacji, bo nigdzie nas nie pokazują. To jest nieszczęście. Ale pamiętaj o nas nasi wyborcy. 10 proc. elektoratu nie zapomniało o Konfederacji.

Podobnie jak inni liderzy Konfederacji podkreśla pan często, że jest ona jedyną niezależną siłą polityczną w Polsce. Czy coś takiego jak realna niezależność polityczna w występuje jeszcze w przyszłości?

Na razie jeszcze nikt nas nie finansuje, z czego wynika, że jesteśmy niezależni.

Na tyle niezależni, że kiedy po wyborach wprowadzicie do Sejmu kilkudziesięciu posłów, nie pójdziecie na układ ani z PiS, ani z obozem Tuska?

W obecnym ustroju nie ma mowy o takich koalicjach, bo byśmy się na tym tylko przewieźli. Powtarzam: nie wejdziemy w żadne koalicje, bo byśmy na tym tylko stracili. Natomiast gdyby któraś z tych partii zdecydowała się na zmianę ustroju, na odejście od socjalizmu czy eurosocjalizmu, oczywiście moglibyśmy rozmawiać.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Sojusznik albo zasób – wybór Ukrainy



Rafał A. Ziemkiewicz

Wybór jest prosty: jeśli Ukraina chce być w bloku rosyjsko-niemieckim, to będzie dla nas wrogiem. Jeśli chce być w bloku z Polską i Ameryką, to będzie w naszym interesie ją wspierać

Antypolski zwrot w polityce prezydenta Ukrainy dostrzec można było już kilka tygodni temu – Maciej Pieczyński opisał jego polityczną mechanikę na naszych łamach

w numerze 32/2023 z 7 sierpnia – ale do opinii publicznej zmiana dotarła dopiero po słowach wygłoszonych przez prezydenta Ukrainy w Nowym Jorku. Ujawniając, niestety, wszystko, co w naszej debacie publicznej najgorsze: mylenie polityki z życiem uczuciowym i towarzyskim oraz historyczne przeskakiwanie od miłości do nienawiści. Jedni potraktowali wejście przez Zełenskiego na powrót w koleiny polityki poprzedników w kategoriach czarnej niewdzięczności, innym dostarczyło to złośliwej radości „a nie mówiłem”. Wniosku najbardziej uprawnionego i najbardziej potrzebnego, że w polityce trzeba zawsze mieć „plan B”, nie usłyszałem.

Jest mi daleko zarówno do romantycznych rojeń o „braterstwie w obronie

wolności” i wdzięczności w polityce, jak i do malkontentstwa, podpowiadającego, by na wszelki wypadek trzymać się od wszystkich i od wszystkiego z daleka, bo na pewno znowu nas oszukają. Pisząc w „Wielkiej Polsce” o korzyściach z rysującego się geostrategicznego sojuszu z Ukrainą, starałem się (mniemam nieskromnie, że z powodzeniem) wskazać konkretne przesłanki czyniące taki sojusz możliwym, potrzebnym i optymalnym dla obu naszych krajów. Ponieważ założeniem książki było wyznaczenie celów, o które powinniśmy zawalczyć, a nie instruktaż dla bieżącej polityki, nie skupiałem się na formułowaniu „planu B”; co nie znaczy, że go nie widzę. Przyznaję, że wobec sposobu potraktowania przez Niemcy Ukrainy w roku 2022, który brutalnie



Wołodimir Zełenski podczas przemówienia na Zgromadzeniu Ogólnym ONZ, 19 września 2023 r.
FOT. PRESIDENT.GOV.UA

formalnym odzyskaniu niepodległości – a przecież sowietyzacja PRL była w ogóle nieporównywalna z Ukraińską SSR.

NIEMIECKI PLAN DLA UKRAINY

O większości bieżących aspektów tego stanu rzeczy, przyczynach, dla których Zełenski zaprzął siebie i swój kraj do rydwanu polityki niemieckiej, wiele napisa-
li moi redakcyjni koledzy w poprzednim numerze i nie widzę sensu powtarzania tego. To, że decyzja ta podyktowana jest przedkładaniem interesów wąskiej grupy oligarchów ponad perspektywy rozwoju i zlekceważeniem strategicznej rozbieżności interesów Kijowa z interesami Berlina, wydaje się w świetle zebranych przez nich argumentów udowodnione bezdyskusyjnie.

Warto jednak opisać zasadnicze uwarunkowania tej gry interesów, która za sprawą proniemieckiego zwrotu Zełenskiego weszła w nowy etap. Decydujące dla jej zrozumienia są oczywiście interesy Niemiec, próbujących ratować swoją mocarstwową pozycję i, jak to otwarcie zapowiedział kanclerz Scholz, „przejęcie pełnej odpowiedzialności za Europę”. Wydarzenia na Wschodzie podjęły podstawowe niemieckie przewagi: dostęp po nierynkowo tanich cenach do rosyjskich surowców energetycznych i chemicznych, możliwość korzystania w procesach produkcyjnych z taniej, niewolniczej siły roboczej w Chinach (poprzez wytwarzanie tam półproduktów) oraz wyprowadzenie poza Unię Europejską „brudnych”, to znaczy wysokoemisyjnych gałęzi gospodarki.

Plan zaciskania całej Europie na szyi pętli „zeroemisyjności” miał sens tylko w połączeniu z przedstawieniem europejskiej energetyki na rosyjski gaz, na razie ziemny, a docelowo wodór (produkcja wodoru z gazu ziemnego bądź węgla skutkuje ogromną emisją CO₂, nie może więc dokonywać się na terytorium rzucającej całemu światu wyzwanie „celów klimatycznych” Unii). W chwili, gdy import został zatrzymany, Niemcy zaczęły cierpieć od własnej broni: szybujące ceny energii uderzyły w podstawę niemieckiej siły ekonomicznej, którą jest połączenie masowości produkcji, przyzwoitej jakości i niskiej ceny. Drugim problemem niemieckiej gospodarki, niezwiązanym z wojną na Wschodzie, jest brak rąk do pracy: podstawowe założenie polityki

migracyjnej, przekonanie, że wprowadzenie migrantów dzięki zasiłkom na „zachodni” poziom życia zmotywuje ich do włączenia się w „wyścig szczurów”, okazało się chybione.

Wszystkie trzy problemy – surowce, tania siła robocza i miejsce na „brudną” część niemieckiej gospodarki – może w mniejszym lub większym stopniu rozwiązać wykorzystanie zasobów Ukrainy. Już teraz Niemcy zrobiły wiele, żeby ściągnąć do siebie rzeszę ukraińskich uchodźców z Polski, co im się udało połowicznie, bo Ukraińcy rzeczywiście masowo przenoszą się do Niemiec i ściągają rodziny, ale na razie tylko mniej niż połowa z nich podjęła tam pracę, pozostali, podobnie jak imigranci z południa, zadowalają się absurdalnie hojnym niemieckim „socjałem”.

Niemiecki plan dla Ukrainy rysuje się więc jako specyficzna wersja popularnego dziś w zachodnim świecie „nearshoringu”: ma ona być bliższymi, zastępczymi Chinami, dostarczać surowców, siły roboczej, przyjmować „brudny” przemysł (np. gazyfikację ukraińskich zasobów węgla). Zwłaszcza to ostatnie jest ofertą szczególnie atrakcyjną dla ukraińskich oligarchów. Natomiast elementarna logika wskazuje, że Ukraina cenna jest dla Niemiec tylko wtedy, kiedy pozostaje poza UE. Dlatego obietnice wprowadzenia Kijowa, w zamian za uległość, do Unii, są cyniczną grą. W niemieckiej Europie Ukrainę w najlepszym razie czeka status wiecznego kandydata, który od kilkunastu lat ma Turcja (ostatnio nawet już do UE nieaspirująca, ale były okresy, gdy podporządkowywała jej całą swą politykę); rozniecając jednak ukraińskie aspiracje, Niemcy zyskują kolejne narzędzie do „pogłębienia integracji”, czyli scentralizowania UE pod swoją władzą. Ten plan jest zaś dla Berlina, a także dla eurokracji szczególnie ważny jako „ucieczka do przodu” przed narastającymi problemami.

Oprócz członkostwa w Unii Europejskiej mają Niemcy Ukrainę również poparcie dla jej członkostwa w NATO. Klucz do niego jest tak naprawdę w rękach Amerykanów, którzy nie widzą w szybkim rozszerzeniu sojuszu swojego interesu; również Ukraina w NATO nie jest wcale niemieckim marzeniem. Idea dołączenia Kijowa do sojuszu po zwycięskiej wojnie wynika

pokazał, jakie są niezmiennie interesy Niemiec na Wschodzie i jaką rolę odgrywa w nich państwo ukraińskie, nie sądziłem, że ekipa Zełenskiego będzie w stanie już po kilkunastu miesiącach całkowicie zignorować tę lekcję i wrócić do polityki Janukowycza i Poroszenki, tej właśnie, która otworzyła Rosji drogę do „pełzającej”, a potem już „pełnoskalowej” agresji.

Tak się jednak stało – ofiary poniesione przez tamtejsze społeczeństwo nie zmieniły faktu, że Ukraina pozostaje była republiką sowiecką, skorumpowaną i umafijnioną, rządzoną przez zmienne sojusze oligarchów. Trudno mieć o to do Ukraińców pretensje, przynajmniej nam, Polakom, którzy podobny stan rzeczy zdołaliśmy u siebie zmienić, a i to nie do końca, dopiero ćwierć wieku po

■ ze zdroworozsądkowego przekonania, że nie uda się ściągnąć kapitału do odbudowy i rozwoju Ukrainy, jeśli nie będzie miał on gwarancji bezpieczeństwa ze strony Rosji. Można z dużą dozą pewności założyć, że Niemcy wierzą, iż z powojenną Rosją, jakkolwiek by ona była (Niemcy nie przewidują wariantu, w którym będzie ona pokonana i rzucona na kolana, co Polacy uznali za pewnik), jakoś się w kwestii swojej obecności na Ukrainie i bezpieczeństwa dokonywanych tam inwestycji ułożą. Taki układ jest warunkiem sine qua non obiecanych przez Niemców Zełenskiemu sum bajońskich na przyszłą odbudowę.

POWRÓT DO MOSKWY

Z tej ostatniej przyczyny poddanie Kijowa Berlinowi oznaczać więc musi poddanie go, okrężną drogą, Moskwie. Rosja jeśli nie zawsze, to długo jeszcze będzie dla Niemiec, które nie wyobrażają sobie swojej mocarstwowości inaczej niż w paradygmacie bismarckowskim, partnerem ważniejszym. Czy wręcz to właśnie Rosja jest dla nich partnerem, Ukraina – jedynie zasobem, który chcą wykorzystać.

W tym planie nie ma miejsca dla Polski jako silnego gracza – musimy zostać zmarginalizowani. I to jest sprawa, w której Zełenski miał co ofiarować Scholzowi „na dziś”. Ukraina w niemieckiej myśli politycznej pojawiła się wyłącznie po to, żeby nie dopuścić do odrodzenia przedrozbiorowej potęgi Polski i jeśli w ogóle, skoro już odpadła od Rosji, jest Niemcom do czegoś potrzebna, to tylko do ograniczania naszego wzrostu. Stało się to szczególnie palącą potrzebą teraz, kiedy z kolejnych niemieckich źródeł dowiadujemy się o rosnącym zdumieniu Niemców tempem naszego wzrostu gospodarczego.

W chwili, gdy Ukraina odzyskiwała niepodległość, jej PKB było wyższe od polskiego. W roku 2021, przed „pełnoskalową” napaścią Rosji, PKB Ukrainy było od polskiego pięciokrotnie mniejsze. To cena, którą płaci ten kraj za postsowiecką, mafijno-oligarchiczną gospodarkę, strukturalną słabość państwa i brak prawdziwych elit politycznych, kierujących się interesem narodowym, a nie egoizmem warstwy uprzywilejowanej. Ponieważ wojna zamroziła państwo ukraińskie wraz z jego patologiami, na-

Poddanie Kijowa Berlinowi oznaczać musi poddanie go, okrężną drogą, Moskwie

dziei na szybką zmianę jest w tej kwestii niewiele – a trzeba tu jeszcze wziąć pod uwagę „rentę mafijną”, czyli to, jak wielką część ukraińskiego dochodu narodowego wycieka z kraju i w żaden sposób nie służy jego rozwojowi.

Tymczasem, wedle oficjalnych prognoz Forum Gospodarczego w Davos, polski PKB ma nadal wzrastać w imponującym tempie i w ciągu najbliższych pięciu lat osiągnąć bilion dolarów (obecnie jest to ok. 650 mld, mówimy więc o wzroście o jedną trzecią). Takie prognozy mogą przynajmniej niemieckim, znajdującym się pod przemożnym wpływem lobby przemysłowego, spędzać sen z powiek. Niemcy mają w tej kwestii, jak w każdej innej, „plan A” i „plan B”. Pierwszy to „wariant Renziego”, czyli, jak swego czasu zrobiła to Unia z Włochami, wymiana rządu w Warszawie na powolny sobie, a przynajmniej wywołanie w Polsce takiego chaosu politycznego, żeby po wyborach rząd nie był w stanie powstać, a jeśli powstanie, to rządzić. Plan zapasowy natomiast to wypchnięcie Polski z UE przez postawienie jej przed wyborem: posłuszne wejście do europejskiej IV Rzeszy albo śmierć. Osobiście z różnych drobnych oznak wnoszę, że papiery rozwodowe dla Polski są już w Brukseli napisane i tylko czeka się tam z ich wysyłką na rozwój wypadków.

POLSKA PERSPEKTYWA

Gdzie Polska powinna szukać odpowiedzi na „poroszenkizację” Ukrainy? Przede wszystkim musimy pamiętać, że „dłużej klasztora niż przeora”. Państwo ukraińskie jest obecnie „zamrożone” wojną, ale w którymś momencie niezadowolone z istniejącego stanu rzeczy musi wybuchnąć. Być może w formie cywilizowanej, w dramatycznym zwrocie wyborczym, porównywalnym z naszym rokiem 2005, kiedy prawie 80 proc. głosów zdobyły partie kontestujące układ Okrągłego Stołu i całe pierwsze ćwierćwiecze „transformacji” (młodszym

trudno uwierzyć, ale PO przemawiała wtedy jednym głosem z PiS, Samoobroną i LPR, a nawet bywała w retoryce walki z „postkomunistycznym układem” bardziej od nich radykalna) – a być może w formie nowego Majdanu, tym razem znacznie lepiej uzbrojonego i wyszkolonego; problem niezadowolonych weteranów zakończonej wojny historia zna i opisała już dobrze. Nie wiem nic, jakie są zapatrywania polityczne wyższej kadry oficerskiej, ale armia z natury rzeczy zmuszona jest kierować się interesem państwa, więc nie można wykluczyć, że to ona stanie się siłą, która przełamie dominację mafii i oligarchii.

Opisywałem kiedyś na tych łamach, w jaki sposób Niemcy za pomocą „miękkiej siły” i twardej waluty budowali w pierwszej dekadzie transformacji swoje stronnictwo w Polsce, wykorzystując narzędzia zarówno „dystrybucji szacunku” (np. praktycznie wszyscy pisarze żyli wówczas z niemieckich stypendiów i nagród), jak i „społeczeństwa obywatelskiego” (niedawno opisali ten mechanizm Francuzi, na konkretnym przykładzie niszczenia za niemieckie pieniądze ich energetyki jądrowej). Nic podobnego na Ukrainie nie robimy, a powinniśmy inwestować właśnie w przedstawienie społeczeństwu stojącego przed nim wyboru, nie tylko w „socjal” dla uchodźców, za który może będą oni wdzięczni, a może nie.

Wybór jest zaś prosty: jeśli Ukraina chce być w bloku rosyjsko-niemieckim, to będzie dla nas wrogiem. Jeśli chce być w bloku z Polską i Ameryką, to będzie w naszym interesie ją wspierać (zakładam, że strategiczne interesy USA są zbyt rozbieżne z Niemcami, aby możliwe było utrzymanie przez nie roli głównego amerykańskiego partnera w Europie). Dopóki nie mamy co do tego pewności, a Ukraińcy nie stworzą nieodwracalnych faktów, świadczących o wyborze podmiotowości, a nie roli niemieckiego podwykonawcy, dopóty musimy ściśle kalkulować swoje posunięcia wobec Ukrainy i ograniczać poparcie dla niej wyłącznie do sytuacji, gdy nam się to opłaca. Zasada jest prosta: albo będziecie naszym sojusznikiem, albo, tak samo jak wszyscy, będziemy was traktować tylko jako zasób do wykorzystania.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorski program Macieja Kożuszka wraca po wakacjach. Autor w żartobliwy sposób komentuje bieżącą politykę oraz wydarzenia z kraju i ze świata. Całość okraszona memami oraz nieszablonowym poczuciem humoru prowadzącego.



CODZIENNIE



PUTINA

od poniedziałku
do czwartku
19:45



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

Sila homoseksualnych klik



Paweł Chmielewski

Jeden ze znajomych księży powiedział mi krótko: Sosnowiec miał po prostu pecha, podobne sytuacje są wszędzie. I rzeczywiście, skandale homoseksualne wstrząsają polskim Kościołem już od wielu lat

Księża organizują homoseksualną orgię, zażywają środki farmakologiczne na potencję, zamawiają męską prostytutkę i – jak gdyby nigdy nic – w następnych dniach sprawują Mszę Świętą, głoszą pobożne kazania, uczą dzieci katechezy, tworzą katolicką prasę. Wydarzenia z Dąbrowy Górniczej, w której zdegenerowani moralnie kapłani bawili się tak intensywnie, że interweniować musiały pogotowie i policja, słusznie oburzyły wielu katolików w Polsce: nic tak nie boli jak skrajna hipokryzja. Problem w tym, że w całej tej historii to nie sam fakt organizacji orgii homoseksualnej jest najstraszniejszy. O wiele większym problemem jest to, że diecezja sosnowiecka, gdzie miały miejsce te wydarzenia, od dawna jest przestrzenią podobnych skandali – a od patologii nie są wolne również inne polskie diecezje. Przy niemal całkowitej apatii biskupów.

Wydarzenia z Dąbrowy Górniczej jak w soczewce skupiają w sobie całość problemu, z którym Kościół zмага się od kilku dziesięcioleci, i to nie tylko w Polsce. To historia rozwoju i stabilizacji homoseksualnej siatki duchownych, którzy czują się całkowicie bezkarni, mogąc robić między sobą, co im się żywnie podoba, tak długo, jak długo nie wiedzą o tym media. Są pewni, że biskupi zostawią ich w spokoju. Nie

bez powodu. O diecezji Sosnowca w kontekście homoseksualizmu po raz pierwszy można było usłyszeć w roku 2010. Ogólnopolskie media pisały wtedy o odwiedzinach ówczesnego rektora sosnowieckiego seminarium w gejowskim klubie. Sprawa była na tyle głośna, że w normalnych warunkach powinna doprowadzić do natychmiastowej dymisji rektora. Nie doprowadziła; bp Grzegorz Kaszak, który rządzi w Sosnowcu od 2009 r., problemu najwyraźniej nie widział. Rektor zmienił się dopiero półtora roku po ujawnieniu tych informacji. Najprawdopodobniej pod naciskiem Watykanu, bo w 2013 r. sosnowieckie seminarium zostało przeniesione z Krakowa do Częstochowy. Jak pisali wówczas również dziennikarze tygodnika „Do Rzeczy”, właśnie w związku z aferami natury homoseksualnej. Co najważniejsze, byłemu rektorowi nie stała się krzywda; pozostał księdzem, zajął się nauką i pracuje na katolickim uniwersytecie.

DŁUGOLETNI ZANIEDBANIA

Pomimo reorganizacji seminarium bp Kaszak nie rozwiązał problemów w swojej diecezji. W marcu tego roku doszło tam do straszliwej zbrodni: media podały, że ksiądz zabił diakona, a później popełnił samobójstwo. Nie ma oficjalnych informacji o motywach zbrodni, ale

lokalna prasa pisała o podłożu obyczajowym, co potwierdzają w nieformalnych rozmowach sosnowieccy księża. Wątek wart uwagi: zabójca był seminaryjnym kolegą z roku byłego rektora, bywalca gejowskich klubów.

Być może w zrozumieniu sosnowieckiej sytuacji pomóc może to, że jako młody ksiądz Grzegorz Kaszak robił karierę w Watykanie. W wieku 28 lat został sekretarzem kardynała kurialnego Alfonsa Lópeza Trujilla, Kolumbijczyka, którego opisał bardzo szczegółowo Frédéric Martel w głośnej książce wydanej w Polsce pod wymownym tytułem „Sodoma”. Watykańska kariera Kaszaka skończyła się krótko po śmierci protektora. Biskupi, przyjmując w 2009 r. „spadochroniarza” z Rzymu do Konferencji Episkopatu, wiedzieli chyba, skąd się wywodzi.

Najnowsza afera z Dąbrowy Górniczej nie jest zatem żadnym niespodziewanym wypadkiem; to efekt długoletnich zaniedbań. Jej główny bohater, gospodarz orgii, to doskonale umocowany w lokalnym establishmentie kościelnym ksiądz, ceniony, fetowany, na najlepszej ścieżce do wysokich godności i urzędów. Bezczelność, z jaką postępowali uczestnicy imprezy, jest zatrważająca: działali w służbowym mieszkaniu księdza na terenie plebanii, zamówili męską prostytutkę, tak jakby w ogóle nie bali się odpowiedzialności. W liście, który bp Grzegorz Kaszak skierował do księży po nagłośnieniu afery, stwierdził, że gotów jest przyjąć konsekwencje błędów, które mógł popełnić. Nie ma wątpliwości, że jest to konieczne: bez gruntownej przebudowy struktury władzy w Sosnowcu nic się nie zmieni.

Gdyby jednak chodziło tylko o Sosnowiec... Jeden ze znajomych księży powiedział mi krótko: Sosnowiec miał po prostu pecha, podobne sytuacje są wszędzie. I rzeczywiście, skandale homoseksualne wstrząsają polskim Kościołem już od wielu lat, począwszy od nagłośnionych 20 lat temu spraw z Płocka oraz afery abp. Juliusza Paetza z Poznania. Wszystko wskazuje na to, że będzie ich coraz więcej. Po tym, jak na youtube'owym kanale PCh24 TV opublikowałem film o wydarzeniach w Sosnowcu, skontaktowało się ze mną kilku kapłanów, informując o istnieniu analogicznych homoseksualnych klik w innych diecezjach. Schemat jest wsze-

dzie podobny: problem już w seminarium, gdzie klerycy o homoseksualnych skłonnościach są skutecznie „wyławiani” przez przełożonych; nawiązują się intymne relacje, a młodzi księża zostają włączeni do siatki, która się nawzajem wspiera na każdym możliwym etapie.

Biskupi reagują na to różnie. Niektórzy są po prostu aktywną częścią systemu; nuncjatura apostolska, badając kandydatów do święceń biskupich, nie eliminuje księży o skłonnościach homoseksualnych, dlatego dobrze ustawiony ksiądz gej może zostać w Polsce ordynariuszem diecezji. Bywa też inaczej; niekiedy przyzwoity biskup trafia do diecezji, w której zastaje księży homoseksualistów o tak potężnych wpływach, że nie jest w stanie ich ruszyć. Mają duże pieniądze, znajomości wśród polityków, dostęp do dokumentów, którymi mogliby zniszczyć biskupa. Ordynariusz woli zostawić ich w spokoju. Wszystko to zostało już zresztą wielokrotnie opisane, nie tylko w Polsce. Papież Benedykt XVI pisał o istnieniu homoseksualnych klik w seminariach w Niemczech w latach 60.; w Ameryce opisano tę samą patologię w latach 90.

UPADEK MORALNOŚCI

Pomimo wszystkich pozorów kluczowym problemem nie są wcale lokalne układy. Owszem, odgrywają dużą rolę we wzmacnianiu systemu, ale nie są jego właściwą przyczyną. Obecnie w Kościele katolickim toczy się olbrzymi spór o moralność: Czy tradycyjne nauczanie, głoszone przez dwa tysiące lat i zakorzenione w Piśmie Świętym, jest jeszcze aktualne czy też należy wyrzucić je do kosza, a na jego miejsce wprowadzić nową naukę, zbliżoną do tego, co głosi rewolucyjna moralność seksualna spod znaku roku 1968? Dyskusja na ten temat trwa już kilka dziesięcioleci; jej początków można upatrywać w okolicach Soboru Watykańskiego II, nawet jeżeli – z różnych stron – tradycyjną moralność próbowano podważać także wcześniej.

I tak przykładowo w encyklice św. Pawła VI „Humanae vitae” z 1968 r. zawarte zostały bardzo dwuznaczne wątki dotyczące uporządkowania życia małżeńskiego. Tradycyjna nauka Kościoła mówi, że głównym celem małżeństwa są dzieci, a relacja miłosna między małżonkami, choć ważna, jest drugorzędna. Paweł VI

zdawał się jednak zrównywać oba te wymiary, a nawet stawiać relację w centrum, kosztem prokreacji. Ma to swoje poważne konsekwencje. W ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci tzw. etyka relacyjna, która na pierwszym miejscu stawia uczucie między osobami zaangażowanymi w związek, robi w Kościele szaloną karierę. W wielu krajach świata, także w Polsce, działają całe zastępy teologów postulujących pełną aprobatę aktów seksualnych zamkniętych na życie – także homoseksualnych. Twierdzą, że skoro współczesne nauki przyrodnicze uznały homoseksualizm za normalność, to Kościół powinien pójść ich śladem; a skoro miłość między osobami tej samej płci jest normalna – to trzeba docenić jej relacyjny, budujący wzajemną odpowiedzialność wymiar. W ten sposób, krok po kroku, Kościół rezygnuje z restrykcyjnej oceny niemoralnych zachowań. To, co było kiedyś grzechem wołającym o pomstę do nieba, staje się dziś wręcz drobiazgiem. Ma to swoje konsekwencje również dla życia kapłańskiego.

**Biskup Grzegorz Kaszak
nie powinien już nic mówić,
a jedynie przeprosić – i ustąpić**

W Kościele katolickim w Niemczech opublikowano w 2018 r. wielki raport dotyczący nadużyć seksualnych. Jako przyczynę wykorzystywania nieletnich przez księży wskazano tam m.in. celibat oraz negatywną ocenę homoseksualizmu. Od tego czasu niemieccy biskupi wprost stawiają postulat wprowadzenia dobrowolnego celibatu oraz aprobaty aktywności homoseksualnej kapłanów. Jakkolwiek brzmi to szokująco, taka jest rzeczywistość debaty, która toczy się dziś w Kościele. Do Polski nie dociera ona we wszystkich swoich szczegółach, ale klimat intelektualny oraz moralny, który tę debatę warunkuje, już tak. Dlatego księża dopuszczający się wybryków homoseksualnych z dorosłymi są traktowani z przynajmniej okiem. Lekkość podejścia do tego grzechu wzmacnia, niestety, sam papież Franciszek. Gdy w 2013 r. został zapytany o swoją ocenę księży angażujących się w relacje homoseksualne, odparł słynnym zdaniem: „Kim jestem, aby [ich] osądzać?”. Sam przez kilka lat bronił

swojego dobrego znajomego z Argentyny, bp. Gustava Zanchetty, znanego miłośnika wdzięków młodych seminarzystów. Watykan dysponował zdjęciami ukazującymi Zanchettę w negliżu razem z mężczyznami, ale nie stanowiło to dla protektorów Argentyńczyka wystarczającego „dowodu na winę”. O podobnych działaniach Franciszka i jego ludzi można byłoby zresztą napisać całą książkę.

BEZ DYSKUSJI

Na kanwie tych nowych poglądów moralnych pytanie o homoseksualizm księży jest jednym z najpoważniejszych. Niestety, podczas gdy w wielu krajach świata na ten temat udziela się już bardzo konkretnych i rozbudowanych teologicznie odpowiedzi, w Polsce debata jeszcze nie istnieje. Jej zaczątkiem mógłby być artykuł ks. prof. Andrzeja Kobylińskiego pt. „Homoseksualizm i kapłaństwo w Kościele katolickim na przestrzeni wieków”. Warto ten temat pogłębić, pamiętając, że to jeden z głównych elementów całości zmagani o kształt katolickiej teologii moralnej.

Jeżeli tej dyskusji nie będzie, jeżeli tematowi dalej będzie towarzyszyć całkowita bierność – problem będzie się pogłębiał. Takie skandale jak ten z Dąbrowy Górniczej mogą się powtarzać; ba, mogą wręcz spowszednieć.

Tymczasem cały czas panuje zatrważające milczenie. Choć od ujawnienia szokujących informacji minęło już kilka dni, to na ten temat wypowiedziało się zaledwie kilku księży i żaden biskup, z wyjątkiem samego Kaszaka. Biskup Kaszak nie powinien już jednak nic mówić, a jedynie przeprosić – i ustąpić. Jeżeli go na to nie stać, to być może odpowiedzialni hierarchowie z Konferencji Episkopatu Polski powinni wyrzucić na nim zdecydowany nacisk, nakłaniając go do złożenia dymisji. Od Sosnowca można zacząć, a później uporządkować również inne diecezje. Co będzie z Kościołem w przeciwnym wypadku? Czy tak jak w Dąbrowie Górniczej ma wyglądać codzienność niektórych parafii w Polsce? Kogo nie porusza wiara, niech pomyśli o zgorszonych świeckich, o zwykłych, dobrych księżach, którzy stają się nagle obiektem powszechnych drwin i szyderstwa. Nie pozwólmy robić z Kościoła chlewu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.



Krystian Kratiuk, Grzegorz Górny oraz Paweł Lisicki od kilku lat wspólnie przyglądają się kryzysowi Kościoła katolickiego w programie „Ja, katolik. EXTRA”. W książce, której fragment publikujemy poniżej, postanowili uporządkować najważniejsze sprawy dotyczące wiary oraz odpowiedzieć na fundamentalne pytania, które nurtują dziś wielu katolików

Kościół w czasach wrogiego przejęcia

KRYSTIAN KRATIUK: Dziesięć lat temu, kiedy obchodziliśmy pięćdziesiątą rocznicę Soboru, mieliśmy w mediach do czynienia z apologetyką Soboru i gdzieś na marginesie, bardzo rzadko, media głównego nurtu katolickiego polemizowały z konserwatystami, którzy dostrzegali zagrożenie i kryzys. Dziesięć lat później już większość tekstów była poświęcona tym polemikom. To akurat przypada na dekadę rządów Franciszka. Co przez te ostatnie lata się stało, że głos konserwatystów zaczął być w tej sprawie słyszalny?

GRZEGORZ GÓRNY: W porównaniu z poprzednimi okrągłymi rocznicami Soboru sześćdziesiąta rocznica była rzeczywiście mniej zauważona i mniej celebrowana. Wcześniej były raczej okazją do prezentowania dorobku Vaticanum Secundum. Dzisiaj tych nawiązań jest mniej, ponieważ w większym stopniu ciąży nad nami świadomość obecnego kryzysu Kościoła, co nie znaczy, że wcześniej tej świadomości nie było. Uwidoczniła się ona wyraźnie w czasie pamiętnej Drogi Krzyżowej odprawionej w marcu 2005 roku przez kardynała Ratzingera w rzymskim Koloseum. Mówił on o Łodzi Piotrowej miotanej wiatrem i zalewanej przez fale, o grzechu, który przenika do

wewnątrz Kościoła i niszczy go od środka. Wtedy ta jego refleksja nad stanem Kościoła budziła u wielu zdziwienie, dzisiaj wydaje się, że przywykliśmy już do mówienia w tych kategoriach.

I jeszcze jedna sprawa: Jan Paweł II to ostatni papież, który był ojcem soborowym. Benedykt XVI zaś to ostatni papież, który był uczestnikiem Soboru. Dla nich Sobór był też ważnym przeżyciem osobistym, do którego mogli się odwoływać. Franciszek należy już do pokolenia ukształtowanego przez zmiany posoborowe. Święcenia kapłańskie przyjął przecież cztery lata po zakończeniu Soboru. On więc odwołuje się nie tyle do samego Soboru, którego nie zna osobiście, ile do tego, co było potem. Zauważmy, jak mało jest odniesień do Vaticanum Secundum w jego dokumentach. Widać to bardzo wyraźnie, gdy się czyta dokumenty końcowe obecnych synodów w Niemczech, we Francji, w Irlandii, w Szwajcarii, w Belgii – właściwie już nie mają nic wspólnego z katolicyzmem.

PAWEŁ LISICKI: Cóż, kolejne rocznice wielkiej rewolucji bolszewickiej nie były obchodzone coraz bardziej hucznie, tylko

coraz mniej, więc zakładam, że z każdym dziesięcioleciem również rewolucja soborowa będzie celebrowana mniej. Trudno, żeby starzy „działacze”, którzy do tej pory byli zaprawieni w chwaleńiu tego wielkiego, przełomowego zdarzenia, przystępowali do tych uroczystości z podobną werwą, co w młodości. A poważnie: ostatnie dziesięciolecie to pontyfikat Franciszka. Konsekwentnymi działaniami sprawił on, że te wszystkie, nazwijmy to, zarodki i te wszystkie zdarzenia, które miały miejsce na Soborze, stały się własną karykaturą. Ci, którzy do tej pory w obronie Soboru mówili: „No dobrze, to jest inna forma dostosowania, to jest inny język, Sobór niczego nie zmienił, zmienił tylko sposób komunikacji, to nadinterpretacje”, po tych wypowiedziach, gestach i działaniach papieża Franciszka nie mogą już poważnie podtrzymywać dotychczasowej obrony Soboru.

Jeszcze niedawno, szczególnie podczas pontyfikatu Jana Pawła II gromadzącego tłumy, katolicy mogli mieć przekonanie, że Kościół dalej żyje, kwitnie, ludzie przychodzą, jest entuzjazm, euforia, wszystko działa. Dziś coraz większa liczba katolików

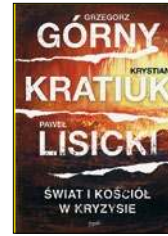
musi sobie zdawać sprawę, o ile oczywiście jakiś element katolicyzmu w nich pozostał, że mamy tutaj do czynienia z pewnym – jak to nazwał kardynał Müller – wrogiem przejęciem Kościoła. Nigdy wcześniej tak wysocy rangą hierarchowie nie mówili podobnych rzeczy, a tu mamy byłego prefekta Kongregacji Nauki Wiary, człowieka, którego można by uznać za swego rodzaju rzecznika myśli Josepha Ratzingera, czyli poprzedniego papieża. Człowiek, który przez tyle lat pełnił najważniejszą funkcję doktrynalną w Kościele, mówi o wrogu przejęcia, a coraz większa grupa biskupów i kardynałów wyraża się w podobny sposób. To znaczy, że nie da się bronić Soboru i jego osiągnięć w dotychczasowy sposób, twierdząc, jak to mówiono wcześniej, że jest potrzebna hermeneutyka ciągłości, że w zasadzie wystarczy tylko właściwie interpretować. Ten sposób argumentacji dzisiaj nie działa, bo wyraźnie widać, w którą stronę to zmierza. Mamy rzeczywiście do czynienia z wrogiem przejęciem, z rewolucją uderzającą już w kwestie nie tylko doktryny teologicznej, lecz także doktryny moralnej, bo z tolerancją papieża Franciszka zaraz może się okazać, że najbardziej katolicki jest jakiś transwestyta, który gania na golasa po ulicach i maluje na tęczowo Matkę Bożą, i to będzie wzorzec katolicyzmu. Jeśli nieomal rzecznikiem Watykanu jest postać taka jak jezuita James Martin, to co to jeszcze ma wspólnego z jakkolwiek rozumianym katolicyzmem? To nie jest zmiana formy, to jest istotna zmiana treści uderzająca w sam korzeń, w sam rdzeń wiary. I duża część mediów katolickich nie bardzo wie, jak sobie z tym radzić.

W środowiskach katolików liberalnych dziś używa się sformułowania „popołudnie chrześcijaństwa”, ewentualnie „Wielka Sobota Kościoła”. To oczywiście metafora jakiegoś rodzaju schyłku. Jak panowie sądzą, czy to rzeczywiście jest Wielka Sobota Kościoła czy to może jest Wielki Piątek Kościoła, popołudnie chrześcijaństwa, już wieczór i zaraz katakumby czy katakumby dopiero za sto lat?

G.G.: Na to pytanie mogę odpowiedzieć, przywołując anegdotę Włodzimierza Sołowjowa, który opisał niegdyś postawę pewnego siebie teologa prawosławnego. Otóż Sołowjow mówił o nim, że zachowuje się tak, jakby był pierwszy po Bogu, ale nie wykluczał w przyszłości pewnego

awansu. Tak więc to jest pytanie raczej do Pana Boga, a nie do nas, którzy mamy ograniczony ogłód w perspektywie wieczności. Nie wiem, skąd ci katolicy biorą pewność, w którym momencie historii zbawienia się znajdujemy. Natomiast rzeczywiście dość często w naszych czasach pojawiają się interpretacje, które nawiązują do postaci czasów ostatecznych. Mówią o tym nawet wysocy dostojnicy kościelni, jak na przykład prymas Holandii kardynał Willem Jacobus Eijk. Widząc kardynałów proponujących publicznie błogosławienie związków homoseksualnych oraz brak reakcji biskupów i papieża, przywołał on artykuł 675 Katechizmu Kościoła katolickiego mówiący o tym, że przed powtórnym przyjściem Chrystusa Kościół musi przejść próbę. Próba ta zachwieje wiarą wielu katolików, którzy podążają za „oszukańczą religią”, ponieważ obieca im ona rozwiązanie problemów w zamian za rezygnację z prawdy. Także Benedykt XVI, udzielając niedługo przed swoją śmiercią wywiadu Peterowi Seewaldowi, przywołał postać Antychrysta. Powiedział, że znakami duchowej siły Antychrysta w dzisiejszym świecie są między innymi aborcja i tak zwane małżeństwa homoseksualne. Mówił, że współczesne społeczeństwa znajdują się w fazie formułowania swoistego antychrześcijańskiego „credo”, a każdego, kto się temu sprzeciwia, czeka świecka ekskomunika. Benedykt XVI odnosił się w ten sposób do odwróconego porządku moralnego i naturalnego, który każe na przykład uznać aborcję za prawo człowieka, a nawet włączyć ją do katalogu niezbywalnych praw człowieka. To jest właśnie znamie czasów Antychrysta, czyli przykład kompletnego odwrócenia podstawowych pojęć moralnych.

Spotkać też dziś można inne interpretacje współczesnych wydarzeń w świetle historii zbawienia, na przykład twierdzenie, że skoro Kościół jest Mistycznym Ciałem Chrystusa, to musi w swoim ziemskim pielgrzymowaniu odzwierciedlić drogę samego Jezusa. A skoro Jezus został zdradzony przez Judasza, to Kościół musi zostać zdradzony przez swoich biskupów. Skoro Chrystus został zabity, to Jego Mistyczne Ciało także musi obumrzeć. Nastąpi chwila, w której



GRZEGORZ GÓRNY, KRYSZTIAN KRATIUK, PAWEŁ LISICKI „ŚWIAT I KOŚCIÓŁ W KRYZYSIE” ESPRIT 2023

będzie się wydawać, że szatan ostatecznie zatriumfował, ale nie będzie to jeszcze koniec.

Wtedy następuje zmartwychwstanie.

G.G.: Dokładnie tak. Pokróćce zreferowałem tylko pewne krążące wśród katolików interpretacje, natomiast ośobiście nie pokusiłbym się o umieszczenie tych dzisiejszych sytuacji w kalendarium Kościoła.

P.L.: Ja trochę się dziwię postępowym katolikom. Przecież oni powinni w zasadzie uważać, że mamy teraz do czynienia z rezurekcją, to znaczy z Wielkanocą!

Dlaczego?

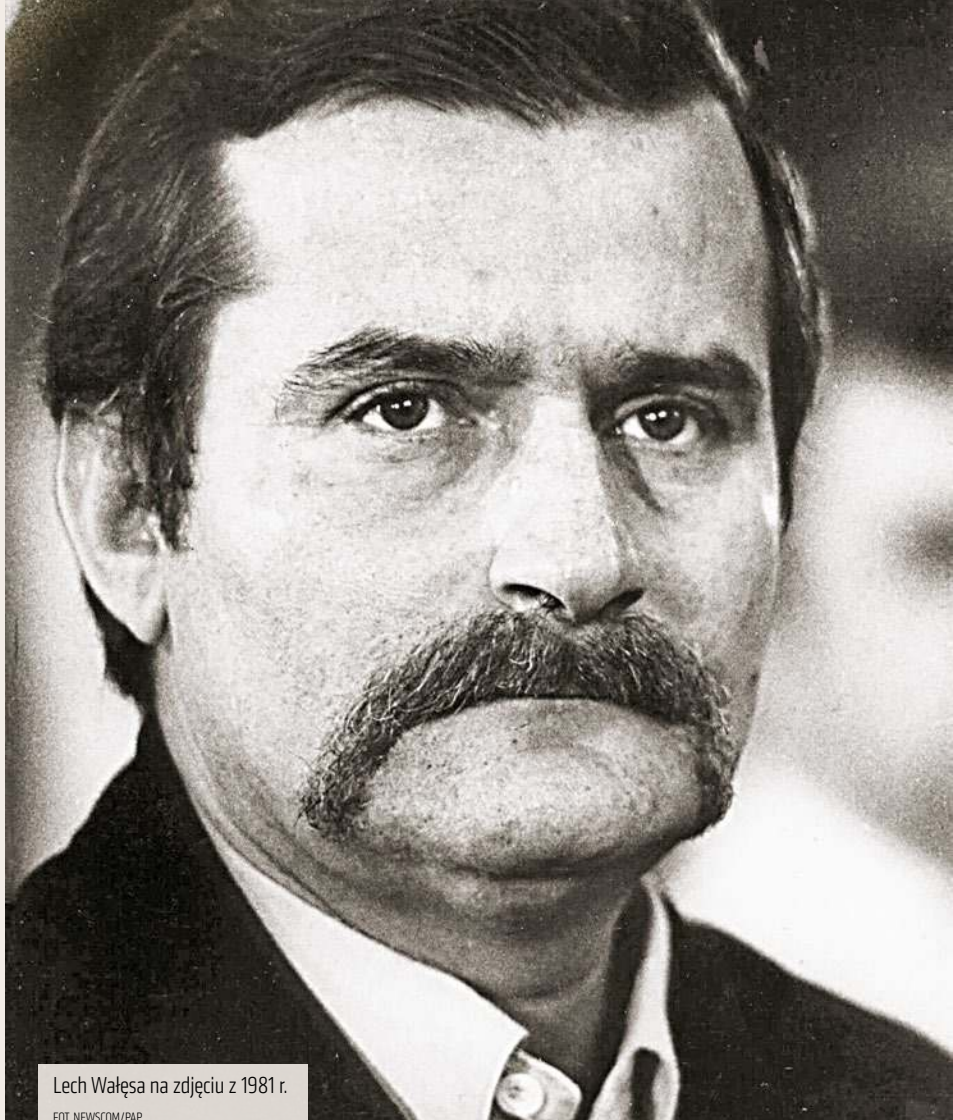
P.L.: Cała koncepcja neomodernistyczna polega na tym, żeby zatrzeć różnicę między chrześcijaninem a człowiekiem jako takim, między Kościołem a ludzkością. W takim rozumieniu trzeba znieść podstawową różnicę między tym, co przyrodzone, a tym, co nadprzyrodzone. Tym, co nadprzyrodzone, jest Boże objawienie w historii. Bóg przychodzi ze swoim słowem do człowieka. Tym, co przyrodzone, jest człowiek bez oświecenia przez objawienie – jednak posiadający naturalny rozum. To jest różnica. Kościół w związku z tym jest Ciałem Mistycznym i ma swoich członków, ludzi, którzy są członkami przez wiarę i przez chrzest. Ale istnieje też ludzkość, która jest ludzkością nienależącą do Kościoła. Modernizm zakładał zawsze, że trzeba zatrzeć tę granicę: czy jest się chrześcijaninem czy jest się niechrześcijaninem, to nie ma wielkiego znaczenia, ponieważ wszyscy jesteśmy tak naprawdę częścią zbawionej ludzkości. Więc im mniej jest dzisiaj Kościoła, tego instytucjonalnego, mniej jest realnych chrześcijan, tym lepiej, ponieważ tym mniejszy jest problem dotyczący tej jedności. Paradoxem tego myślenia jest dążenie do... zniknięcia Kościoła ze świata, ponieważ wciąż obecny Kościół jest głównym źródłem podziału. Kiedy zniknie Kościół, zostanie czysta ludzkość i wszyscy będą szczęśliwi. Tak powinni rozumować moderniści, więc ja się dziwię, czemu oni mówią o Wielkiej Sobocie, popołudniu czy zmierzchu, a nie właśnie o Wielkanocy!

Pokojowa Nagroda Nobla dla Lecha Wałęsy była oczekiwana przez niego samego, wielu działaczy opozycji oraz zwykłych Polaków w roku 1982. Z kolei dla ekipy Wojciecha Jaruzelskiego stanowiła ona ogromne zagrożenie dla „stabilizacji sytuacji” w Polsce po wprowadzeniu stanu wojennego. Nic zatem dziwnego, że władze PRL podjęły – po uzyskaniu informacji o wysunięciu kandydatury Wałęsy do tego zaszczytnego wyróżnienia – działania w celu uniemożliwienia mu otrzymania jej. Jak zeznawał po wielu latach szef Biura Studiów – elitarnej jednostki MSW utworzonej po 13 grudnia 1981 r. do zwalczania opozycji (głównie solidarnościowej) Władysław Kuca, jego przełożony minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczyk zalecił mu wykorzystanie przeszłości Wałęsy, czyli jego współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa w pierwszej połowie lat 70., argumentując przy tym: „Zanim się połapią, to zyskamy na czasie”. W efekcie przy ul. Rakowieckiej powstały dokumenty, które miały sugerować, że niedoszły noblista był nie tylko przed dekadą, lecz także nadal pozostaje agentem bezpieki. Materiały, które rzekomo miały o tym świadczyć, kolportowano zarówno w kraju, jak i przede wszystkim za granicą – wysłano je m.in. do członków Komitetu Noblowskiego, którzy decydowali o przyznaniu Pokojowej Nagrody Nobla.

Po ogłoszeniu laureatów w roku 1982 funkcjonariusze chwalili się, że miał on być efektem tych właśnie działań. Zapewne zdecydowanie na wyrost, gdyż – jak się można domyślać – brak nagrody dla Wałęsy wynikał nie z działań Służby Bezpieczeństwa, a raczej z niechęci do zadrażnienia czy też podgrzewania sytuacji w PRL kilka miesięcy po wprowadzeniu stanu wojennego.

KRYPTONIM NOBEL

Kolejnym działaniem władz w celu uniemożliwienia nagrodzenia przewodniczącego Solidarności, a potem pomniejszenia wyróżnienia go Pokojową Nagrodą Nobla było wykorzystanie tzw. rozmowy braci, czyli zarejestrowanej i następnie zmontowanej (przy udziale pracowników Telewizji Polskiej) przez funkcjonariuszy SB dyskusji między internowanym w Arłamowie Lechem



Lech Wałęsa na zdjęciu z 1981 r.

FOT. NEWSCOM/PAP

Władze PRL kontra Nobel dla Wałęsy



Grzegorz Majchrzak

W reakcji na Pokojową Nagrodę Nobla dla Lecha Wałęsy władze PRL podjęły wiele działań. Miały one na celu przede wszystkim zdeprecjonowanie samej nagrody i jej laureata. I były dalszym ciągiem starań w celu niedopuszczenia do przyznania tego zaszczytnego wyróżnienia przewodniczącemu Solidarności

Waleśa oraz jego bratem Stanisławem po urodzinowej kolacji przewodniczącego Solidarności we wrześniu 1982 r. Dyskusji toczono zresztą po alkoholu – wódce zmieszanej z szampanem. Była ona wykorzystywana kilkakrotnie, w tym również kolportowana za granicą (m.in. wiosną 1983 r. w wiedeńskim miesięczniku „Kritisches Christentum”), a jej końcowym akordem była emisja programu pt. „Pieniądze” w TVP 27 września 1983 r. Decyzję o puszczaniu tego uzyskanego w sposób nielegalny materiału podjął osobiście Jaruzelski po tym, jak został poinformowany przez Kiszcza, że Waleśa najprawdopodobniej zostanie uhonorowany przez Komitet Noblowski.

Tak na marginesie: był to ewidentnie akt desperacji ze strony PRL-owskich władz, gdyż „próba generalna” przed emisją, czyli pokaz 25 maja 1983 r. w Fabryce Maszyn Żniwnych w Płocku, zakończyła się całkowitą kląpą – większość osób wyszła w jej trakcie, a nawet u tych, którzy na sali pozostali (głównie „przedstawiciele administracji i aktywu kierowniczego”), puszczanie prywatnej rozmowy wzbudziło przede wszystkim wątpliwości, a nie dezaprobatę dla przewodniczącego Solidarności...

Służba Bezpieczeństwa podejmowała działania w związku z „niewłaściwymi” reakcjami Polaków na wyróżnienie dla Lecha Wałęsy. W związku z nimi funkcjonariusze prowadzili kilka lub nawet więcej spraw – zachowały się, a przynajmniej dotychczas udało się odnaleźć dwie. Pierwszą z nich „wszczał” Rejonowy Urząd Spraw Wewnętrznych w Gliwicach wobec przyszłego (w latach 1991–2002) przewodniczącego NSZZ „Solidarność” Mariana Krzaklewskiego, w ramach sprawy pod kryptonimem Specjalista. Był on podejrzewany o wysłanie licznych listów i apeli m.in. do Rady Państwa, Episkopatu Polski i Lecha Wałęsy, w których nie tylko gratulował Wałęsie przyznania Pokojowej Nagrody Nobla, lecz także potępiał odpowiedzialnych za śmierć ks. Jerzego Popiełuszki – co było zresztą bezpośrednią przyczyną działań wobec niego oraz wzywał do większej kontroli instytucji państwowych. Działania Krzaklewskiego potwierdzono, o jego „negatywnej postawie” poinformowano jego przełożonych i w efekcie miało się udać doprowadzić do odroczenia obrony

przez niego pracy doktorskiej, doszło do niej ostatecznie w 1986 r.

Więcej szczęścia miał Marek Kubara – pracownik Wydziału Metalurgicznego Politechniki Śląskiej. Otóż w związku z zamiarem – zresztą zrealizowanym – pracowników tego wydziału przygotowania pisma gratulacyjnego dla Lecha Wałęsy Wydział III Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Częstochowie prowadził sprawę pod kryptonimem Nobel. W jej ramach ustalono, że pod listem podpisało się sześć osób. Szczególnie interesowano się inżynierem Kubarą. Jednak w jego przypadku zakończyło się „jedynie” na rozmowie operacyjnej, w trakcie której miał zadeklarować, że „w przyszłości nie będzie podejmował żadnych działań naruszających obowiązujące formy porządku prawnego”.

„ATAK NA SYSTEM SOCJALISTYCZNY”

Działania władz PRL w związku z Pokojową Nagrodą Nobla dla Lecha Wałęsy były jednak zdecydowanie szersze. Główny ich ciężar spadł oczywiście na PRL-owską propagandę. Oficjalnie stanowisko rządu zaprezentował jego rzecznik prasowy Jerzy Urban. Podczas konferencji prasowej 11 października 1983 r., czyli w dniu po ogłoszeniu laureata, stwierdzał on m.in.: „Tegoroczna Nagroda Nobla nie stanowi dla nas zaskoczenia. Jest po prostu jedną z bardzo wielu premii i zachęt otrzymywanych z Zachodu przez tych polskich obywateli, którzy zajmują postawę destruktywną wobec interesów własnego kraju”. I dodawał: „Deklaracje wielu polityków Zachodu, niezliczone komentarze prasy zachodniej, omawiające werdykt z Oslo, wskazują wyraźnie, że tegoroczny Nobel jest nagrodą na rzecz wzmocnienia podziału w Europie, za konfliktami, a przeciw pokojowi i współistnieniu. Jest ona nie pierwszym, ale zapewne nie ostatnim epizodem antysocjalistycznej krucjaty”. I zapewniał pytających go o to dziennikarzy, że nie zmieni ona biegu wydarzeń w Polsce, a reprezentowany przez niego rząd będzie niezachwianie kontynuować „swoją linię programową”, czyli „linię socjalistycznej odnowy, program porozumienia i walki”, i żadne „ingerencje zewnętrzne nie zmienią jej ani o milimetr”.

W podobnym tonie utrzymane były komentarze w kontrolowanej przez komunistów prasie. Podkreślano, że kandydaturę Wałęsy wysunął zachodni-niemiecki Bundestag, pomijając przy tym skrzętnie, że był on tylko jedną z wielu (obok np. Międzynarodowej Organizacji Pracy) instytucji i organizacji, które zgłosiły przewodniczącego Solidarności do tego prestiżowego wyróżnienia. Twierdzono również, że w przeszłości zdarzały się już pomyłki przy wyborze laureatów, sugerując w ten sposób, że tak jest również i tym razem. Mało znanym aspektem działalności władz PRL po przyznaniu Pokojowej Nagrody Nobla Lechowi Wałęsie pozostaje cenzorski zapis na programy, filmy czy piosenki norweskie, zachodni-niemieckie oraz amerykańskie – w efekcie np. te ostatnie na trzy tygodnie trafiły na półki. Miał to być – według ówczesnego wicepremiera Mieczysława Rakowskiego – pomysł woj-skowych, a dokładniej stojącego w tym czasie na czele Urzędu Rady Ministrów Michała Janiszewskiego.

Nie zapomniano również o działaniach skierowanych na zewnątrz, w których główną rolę odegrało Ministerstwo Spraw Zagranicznych. To właśnie MSZ zaproponowało wiele działań wobec krajów zachodnich – na czele ze Stanami Zjednoczonymi, z Republiką Federalną Niemiec oraz Norwegią – w związku z werdyktem Komitetu Noblowskiego, m.in. démarche wobec rządów tych państw, które „w swoich oświadczeniach poparły polityczne motywy nagrody”. Innym krokiem było ochłodzenie stosunków z Norwegią (uszczytnienie polityki wizowej, zmniejszenie obecności kulturalnej tego kraju w PRL oraz „krytycyzm w prasie”). Główne retorsje miały być wymierzone jednak w USA – planowano ograniczyć działalność placówek amerykańskich w Polsce (w tym wprowadzić blokadę biblioteki amerykańskiej w Warszawie), ograniczyć wyjazdy kulturalne i naukowe do tego kraju, wzmocnić propagandę przeciwko USA i personalnie przeciwko prezydentowi Ronaldowi Reaganowi.

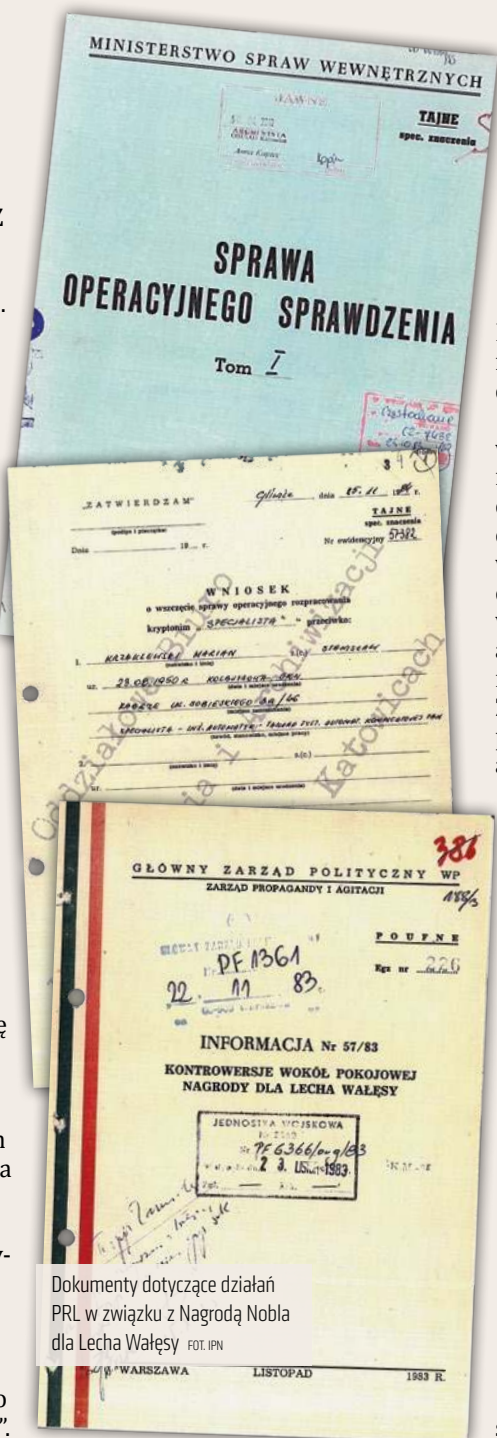
Ciekawym, ale ostatecznie niezrealizowanym pomysłem, który narodził się przy al. Szucha, było wysłanie przez Telewizję Polską do Komitetu Noblowskiego taśmy z „rozmową braci” wraz

■ z „atestem jej autentyczności”, czemu miał towarzyszyć „odpowiedni przeciek dla dziennikarzy” – idea przesłania tego materiału na Zachód niezależnie od MSZ zrodziła się w kierownictwie MSW, ale ostatecznie (w obawie przed odkryciem montażu) z tego zamysłu zrezygnowano.

PRL-owska dyplomacja zareagowała nawet na noworoczne radiowo-telewizyjne przemówienie norweskiego premiera Kåre Willocha, w którym ten nawijał do Nobla dla Wałęsy oraz użył w stosunku do Polaków zwrotu „walczący naród” – na rozmowę do ministerstwa został wezwany chargé d'affaires Ambasady Norwegii w PRL, któremu oświadczono, że jest to mieszanie się w wewnętrzne sprawy Polski, które nie służyły rozwojowi stosunków dwustronnych, a nawet wywieranie „niekorzystnego wpływu na i tak już napięte stosunki międzynarodowe”.

W ramach ograniczania „negatywnego” wpływu Pokojowej Nagrody Nobla dla Wałęsy działania prowadziło również ludowe Wojsko Polskie. Były one skierowane głównie do wewnątrz – kadry oraz żołnierze służby zasadniczej. W ich ramach Zarząd Propagandy i Agitacji Głównego Zarządu Politycznego WP przygotował specjalną informację zatytułowaną „Kontrowersje wokół pokojowej nagrody dla Lecha Wałęsy”, która w listopadzie 1983 r. została rozesłana do jednostek wojskowych w całym kraju. Stwierdzano w niej m.in.: „Ostatnia decyzja Komitetu Nobla w Oslo stanowi w istocie jawną ingerencję w wewnętrzne sprawy Polski i jest szczytem hipokryzji. Wałęsę nagradza się w istocie rzeczy za jego antypaństwową działalność w Polsce”. I dodawano, że jej przyznanie Lechowi Wałęsie „wywołało zdziwienie nie tylko w Polsce. Lecz także zaskoczyło opinię publiczną w wielu krajach świata”.

Specjaliści od wojskowej propagandy dezawuowali samą nagrodę, pisząc o bulwersującym nagrodzeniu Menachema Begina w 1978 r. czy zadziwiającym, wręcz żenującym Henry’ego Kissingera w 1973 r., a także samego przewodniczącego Solidarności przedstawianego według nich w „propagandzie zachodniej” – podobnie jak kierowanego przez niego związku – jako „gołębia pokoju”, podczas gdy rzekomo „zdecydowana większość



międzynarodową i wzrostem napięć w stosunkach między krajami socjalistycznymi a kapitalistycznymi. Nagroda przyznana Wałęsie ma rzekomo udowodnić, że to kraje socjalistyczne są odpowiedzialne za pogorszenie klimatu politycznego na świecie” – stwierdzali. I dodawali: „Atak na system socjalistyczny, a zwłaszcza na nasz kraj jest bezpardonowy, totalny”.

Podobne opracowanie pt. „Polityczna wymowa Pokojowej Nagrody Nobla za rok 1983” przygotował w tym samym czasie Zarząd Polityczno-Wychowawczy MSW. Było ono przeznaczone „do wykorzystania w pracy polityczno-wychowawczej” w resorcie spraw wewnętrznych. Używano w nim podobnych argumentów, np. „R[onaldowi] Reaganowi i antykomunistycznym kołom na Zachodzie Wałęsa jest w dalszym ciągu potrzebny do podniecania nastrojów antysocjalistycznych w Polsce. Nie mając innych możliwości, nie osiągając spodziewanych celów poprzez sankcje i restrykcje wobec naszego kraju, uciekają się do tworzenia legendy wokół człowieka, który zdecydowanie stanął na linii walki z socjalizmem w Polsce”. O samym Lechu Wałęsie pisano zaś: „Może się więc szczyścić sławą »obywatela świata«, ale – jak od razu dodawano – „w istocie rzeczy jest pionkiem w politycznej grze Reagana przeciwko krajom obozu socjalistycznego”.

TOTALNA KOMPROMITACJA

Czy działania PRL-owskich władz okazały się skuteczne? Oczywiście nie. Tak jak ekipa Wojciecha Jaruzelskiego nie była w stanie wpłynąć na werdykt Komitetu Noblowskiego, tak też wpływ jego podwładnych na odbiór Pokojowej Nagrody Nobla dla Wałęsy w kraju i za granicą oraz negatywne dla komunistów skutki były znikome, jeśli nie wręcz żadne. No może poza autokompromitacją – oficjalny protest rządu PRL przeciwko Pokojowej Nagrodzie Nobla dla Lecha Wałęsy był drugim takim przypadkiem w historii... po III Rzeszy, której władze w 1935 r. zaprotestowały przeciwko przyznaniu tego prestiżowego wyróżnienia dla więzionego w obozie koncentracyjnym pisarza Carla von Ossietzky’ego.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

„Czerwony”

Cmentarz Wojskowy na Powązkach w Warszawie mógł stać się po 1989 r. nekropolią narodową. Stało się inaczej. Obok powstańców styczniowych, wielkopolskich, śląskich, obok kwater żołnierzy WP poległych w 1920 r. i w obronie Warszawy we wrześniu 1939 r., obok kwater poszczególnych zgrupowań powstania warszawskiego mamy wielkie połączenie tego cmentarza, „zajęte” przez władców Polski Ludowej. Ponadto na całym terenie można spotkać groby „wybitnych” komunistów, bardzo często zbrodniarzy.

Aleja Zasłużonych jest przede wszystkim przeznaczona dla nich, a także alejki boczne. Wszędzie leżą „zasłużeni towarzysze” z SDKPiL, KPP, „weterani ruchu robotniczego”. To nic, że przewodnicy cmentarni starają się zręcznie lawirować i omijać takie rafy. Nie da się. Bardzo często obok prawdziwych bohaterów leżą właśnie oni – zbrodniarze, również ich kaci.

Na obrzeżach tzw. Łączki, gdzie znaleziono tyle potajemnych pochówków – nie w grobach, ale w jamach cmentarnych – leżą kaci i ich nadzorcy. Mamy więc pomniki (!) Jakuba Bermiana, Julii Brystygiejowej, „Krwawej Luny” i nieco pomniejszych ubeków. Przykładem może być zadbany grób płk. Tadeusza Konopki ps. Czerwony. Ten przedwojenny działacz nielegalnych struktur komunistycznych w latach 1945–1946 był szefem PUBP Płock. Siedziba tej instytucji

znalazła się tam, gdzie wcześniej urzędowało Gestapo (co było stałą praktyką).

Jak się sprawował towarzysz „Czerwony”, wiemy z relacji żołnierza wywiadu AK Czesława Mireckiego, który zostawił wstrząsające świadectwo: „Na wykładach pokazano nam, jak prowadzić przesłuchanie ofiar. Na początku Konopka stwierdził z dumą, że ponieważ szkolą nas Rosjanie, a jednocześnie korzystamy z podręczników Gestapo, to będziemy lepsi od jednych i drugich”. To było dla niego spełnione marzenie – być lepszym od Gestapo i NKWD!

W Polsce Ludowej tow. „Czerwony” przechodził różne koleje losu, przejściowo był nawet wyrzucony z PZPR. W UB zaszedł naprawdę wysoko. Można powiedzieć, że była to typowa kariera komunisty ze zbrodniczego aparatu przymusu.

Ale w tej historii jest coś więcej, co bulwersuje. Na jego grobie nie ma danych o jego służbie w UB i „zasługach” dla resortu. Jest natomiast coś więcej – metalowa tabliczka z łacińskim (!) napisem: „Macte virtute tua esto” (Chwała ci za twoje męstwo)! Tam przechodzą wycieczki idące na „Łączkę”, również zagranicze. Tam bywa młodzież szkolna. Dziś nie ma problemu wrzucić tę formułę do komórki i natychmiast przetłumaczyć sentencję. Czyli pierwsze skojarzenie jest jednoznaczne – to grób jakiegoś bohatera! Jakiegoś. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Ostatnie dni powstania

Powstańcze Śródmieście rządziło się swoimi prawami. Nie było wcześniej tak zajadle atakowane jak Stare Miasto, co wykorzystywała miejscowa biurokracja. Niektórzy członkowie tamtejszej AK mieli chyba zbyt dużo wolnego czasu i panujące w Śródmieściu obyczaje bardzo dziwiły żołnierzy ewakuowanych kanałami ze Starego Miasta.

„Na kwaterze czekają na mnie do wypełnienia specjalne kwestionariusze – zżymał się Lech Hałko (»Cyganiewicz«) – dotyczące między innymi nazwiska, imion, daty urodzenia, stanu cywilnego, liczby dzieci, wyznania, przebytych chorób itp. Najpierw rozmieszyło, a potem rozniewało to żołnierzy Starówki, którzy od pierwszych dni powstania marzyli o godziwym odpoczynku i posiłku, a biurokratyczne procedury administracyjne Śródmieścia mają w dupie i to bardzo głęboko!”

W obrębie dzielnicy obowiązywał też zakaz poruszania się z bronią poza stanowiskami bojowymi. Żandarmeria surowo go przestrzegała i dochodziło do rozbrajania uciekinierów ze Starego Miasta. Rekwirowano im broń, którą z takim trudem zdobyli, a następnie przetransportowali kanałami.

„Wróciłem do kompanii – wspominał por. Zbigniew Blichewicz (»Szczerba«). – Tu zastała mnie wieść, w którą z początku trudno było wprost uwierzyć. Oto dwóch żołnierzy

wróciło z miasta bez broni. Rozbroił ich patrol żandarmerii. Kazałem przywołać delikwentów. Byli to młodzi chłopcy, po osiemnaście lat najwyżej. Miny mieli zawstydzone i skruszone. Spytałem ich, czemu im zabrano broń. Wydukali wreszcie, że w Śródmieściu nie wolno podobno wychodzić z bronią na miasto. Takie są przepisy”.

Blichewicz nie zamierzał jednak tolerować rozbrajania podwładnych. Postanowił odzyskać broń, nie interesując się specjalnie ustaleniem personaliów patrolu żandarmerii. Do akcji wyznaczył dwóch największych zawiadaków ze swojego oddziału:

„Właśnie zjawił się »Wojtek« (Wojciech Wroński) z »Wickiem« (Witold Rankowski). Kazałem im dobrać sobie po czterech tęgich chłopaków. Każdy ma udać się ze swoją grupką na miasto. Jeśli napotkają jakiś patrol żandarmerii – rozbroić. Broń przynieść mnie. Oba podchorążych jakby ktoś na sto koni wsadził. Przyrzekli, że żaden bez łupu nie wróci”.

Faktycznie, obaj nie zawiedli i niebawem pojawili się z dwoma visami i pistoletem maszynowym Błyskawica. Przynieśli ze sobą również „butelkę wódki, którą na miejscu dokumentalnie wysuszyli”. Oba młodzieńcom przypadł zresztą do gustu ten proceder i jeszcze nieraz (bez rozkazu) rozbrajali patrole. A przy okazji zdarzało im się poturbować opornych żandarmów... ©©

Zboże rozbratu



Maciej Pieczyński

Antypolski i proniemiecki zwrot w polityce Kijowa stał się faktem. Jak polsko-ukraińską zimną wojnę komentują media nad Dnieprem?

Ukraiński bankier inwestycyjny i ekspert finansowy Serhij Fursa w rozmowie z dziennikarką Janiną Sokołową częścią odpowiedzialności za konflikt zbożowy obarczył Henryka Kowalczyka. Były już minister rolnictwa latem 2022 r. namawiał rolników, aby poczekali ze sprzedażą pszenicy i rzepaku do zimy, bo wtedy ich ceny wzrosną ze względu na wojnę. Gdyby rolnicy nie posłuchali ministra, zarobili by. Tymczasem zamiast oczekiwanego wzrostu był spadek cen, gdy na rynek weszło tanie zboże ukraińskie. Zdaniem Fursa obecny spór jest nieuniknionym skutkiem ubocznym eurointegracyjnych dążeń Kijowa: „Gdy Polska wchodziła do UE, protestowali fran-

cuscy rolnicy. Dziś w rolę Polski weszła Ukraina, a w rolę Francji – Polska”. Kijów słusznie nie poczekał ze sporem na wyniki wyborów nad Wisłą, ponieważ właśnie teraz waży się warunki, na jakich Ukraina wejdzie do UE – przekonuje ukraiński ekspert.

Jednocześnie Fursa uspokaja rodaków: „Tego typu konflikty handlowe są normalne między sojusznikami. To, że spieramy się w jednej sprawie, nie oznacza, że na innych polach nie możemy współpracować” – mówi ekspert. Prognozuje, że „znów będziemy się przyjaźnić”, gdy tylko uda się osiągnąć jakiś kompromis w sprawie zboża. Co ciekawe, przyznaje, że polski rynek nie jest najważniejszy dla Ukrainy: „Dla nas nie jest problemem, że Warszawa zabrania eksportu naszego zboża. Dla nas najważniejszy jest tranzyt, a ten jest zachowany” – mówi Fursa. Taka refleksja rzadko pojawia się w ukraińskiej przestrzeni publicznej.

ZROZUMIEĆ NASZĄ PERSPEKTYWĘ

O sporze polsko-ukraińskim usłyszał cały świat, gdy Wołodymyr Zełenski,

przemawiając z trybuny Zgromadzenia Ogólnego ONZ, zrównał Polskę z Rosją. W odpowiedzi Andrzej Duda porównał Ukrainę z tonącym, który może zrobić krzywdę ratującemu. W blogu na portalu Ukraińska Prawda obu polityków po równo skrytykowała Alona Hetmańczuk, dyrektor centrum Nowa Europa, niezależny członek Komitetu Konsultacyjnego Prezydentów Polski i Ukrainy. W tekście eksperta postawiła kilka tez na temat wzajemnych relacji.

Po pierwsze, „żaden poważny kryzys polsko-ukraiński nie został rozwiązany poprzez publiczne oskarżenia, emocjonalne tyrady czy tanie trollowanie. Dyplomacja polegająca na »publicznym zawstydzaniu«, prowadzona przez Kijów po 24 lutego 2022 r., na razie przynosi rezultat odwrotny do zamierzonego, przyczyniając się do pogłębienia kryzysu i zwiększenia liczby towarów objętych embargiem”. Po drugie, choć po wyborach w Polsce najpewniej emocje opadną i uda się wypracować kompromis, to jednak zaufania odbudować się nie da. Po trzecie, „w najgorszych momentach historii niepodległej Ukrainy – czy to kiedy zagrażała

jej międzynarodowa izolacja, czy to kiedy groziła jej zagłada, to właśnie Polska, być może jeszcze z Litwą, wyciągały pomocną dłoń, czasem wierząc w Ukrainę bardziej niż ona sama w siebie. Gdy Kijów nie słuchano w Waszyngtonie, Berlinie czy Brukseli, wciąż był słuchany w Warszawie". Po czwarte, wcale nie jest oczywiste, że spory o zboże czy o historię nie zaskodzą współpracy w sferze bezpieczeństwa. Po piąte, im Ukraina będzie bliżej wejścia do UE, tym bardziej będzie się nasilać konkurencja z Polską. I to nie tylko w sferze gospodarczej. Ukraina w pewnym momencie będzie musiała się zdecydować, którą wizję wewnętrznej reformy UE popiera – polską czy niemiecką. Po szóste, problemy w relacjach dwustronnych nie mogą być rozwiązywane poprzez międzynarodowe pośrednictwo, zwłaszcza jeśli pośrednictwo to narzuca tylko jedna ze stron (w danym przypadku Ukraina). Po siódme, Kijów zbyt często nie docenia znaczenia Warszawy. Alona Hetmańczuk dziwi się, że Polsce nie zaproponowano, aby została sygnatariuszem porozumień w sprawie bezpieczeństwa z grupą G7, szczególnie że za takim rozwiązaniem optowała administracja prezydenta USA.

Ten ostatni wątek poruszyła również ekspertka Fundacji Inicjatywy Demokratycznej im. Ilki Kuczeriwa, Maria Zołkina, w tekście dla Europejskiej Prawdy. „Polska nie należy do G7, ale co szkodziło uzgodnić (porozumienie w sprawie bezpieczeństwa) z największym zachodnim sojusznikiem? Tym bardziej że właśnie Polacy oraz Litwini przed i podczas szczytu w Wilnie byli kluczowymi lobbystami zaproszenia Ukrainy do NATO” – pyta retorycznie Zołkina. Jej tekst pojawił się na początku sierpnia, ale wciąż jest aktualny. Ekspertka prostowała kłamstwa ukraińskich polityków, którzy oskarżali Warszawę o „zakaz eksportu do UE”, podczas gdy zakaz ten dotyczył kilku krajów. „Za przedłużeniem embarga występowała nie tylko Polska” – zaznaczała Zołkina.

Przekonywała, że naiwnością jest wierzyć, iż bezwarunkowe wsparcie Warszawy dla Kijowa będzie trwać wiecznie. Polska „pozostaje lokomotywą pomocy dla Ukrainy”, ale to nie oznacza, że wszystkie jej działania muszą się wpisywać w ukraińskie potrzeby. „Partnerstwo strategiczne jest całkiem realne, jednak musi mieć ono charakter dwustronny” – pisze ekspert-

ka. Podobnie jak Hetmańczuk Zołkina tłumaczy, że Warszawa bardzo nerwowo odbiera wszelkie próby zewnętrznych nacisków politycznych. Polacy „boją się, że zamiast budować regionalny sojusz na podstawie wspólnych interesów w kwestii bezpieczeństwa, Ukraina stawia na wielkie państwa »starego Zachodu«, tak samo jak było w latach 2014–2015”, kiedy przy stole rozmów pokojowych miejsce, na które liczyła Warszawa, zajęły Berlin i Paryż. A to błąd, bo bez udziału Polski żadne gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy nie będą wykonalne.

LOGIKA KIJOWA

Felieton Zołkini zapoczątkował na łamach Europejskiej Prawdy szerszą debatę na temat kryzysu w relacjach na linii Kijów – Warszawa. Polski punkt widzenia reprezentowały teksty piszącego te słowa oraz wicedyrektora Centrum Mieroszewskiego, Łukasza Adamskiego. Przekonywałem, że Ukraina powinna ustąpić w sprawie zboża, ponieważ utrata polskiego rynku nie doprowadzi do klęski w wojnie, która byłaby z kolei nieunikniona, gdyby nie bezprecedensowa pomoc Polski. Przypominałem też, że Kijów pozwala na ekshumacje nawet żołnierzy Wehrmachtu, blokując jednocześnie ekshumacje Polaków zamordowanych przez UPA. Podobnie argumentował Łukasz Adamski. Ukraińską perspektywę w debacie przedstawił Jurij Panczenko. Publicysta stwierdził, że Ukraina już dwukrotnie ustąpiła Polsce. Pierwszy raz, gdy zgodziła się na em-

bargo na zboże. Drugi raz, gdy zgodziła się na jego przedłużenie. To dość powszechny nad Dnieprem sposób myślenia.

Ukraińscy politycy i komentatorzy zdają się uważać, że ich kraj jest nie tyle kandydatem do UE otrzymującym przywileje jako ofiara agresji, a nie jako równorzędny partner, ile wręcz rozgrywanym w polityce unijnej. Stąd tak częste moralizatorskie wypowiedzi, w których Ukraińcy pouczają Polskę w kwestii norm europejskich. Kolejny przykład tego typu rozumowania przebiega z tezy, zgodnie z którą polskie embargo to „niebezpieczny precedens”, ponieważ oznacza, że sąsiedzi Ukrainy roszczą sobie prawo do decydowania o warunkach, na których Ukraina może wejść na rynek unijny. Brzmi to tak, jakby wejście do UE zależało wyłącznie od widzimisię Kijowa. Tego typu opinie pojawiają się tak często, że wypada się zastanowić, czy aby na pewno ukraińskie elity wiedzą, iż integracja europejska polega na kompromisach i ustępstwach, a nie na sile woli konkretnego państwa (nie dotyczy Niemiec).

Panczenko uznaje prawo Polski do obrony własnego rolnictwa. „Ale to również prawo Ukrainy” – dodaje. Panczenko przyznaje, że Polska okazała bezprecedensową pomoc Ukrainie. Jednocześnie zauważa, że do niedawna nad Wisłą marginalne były opinie, zgodnie z którymi Warszawa powinna w zamian oczekiwać ustępstw. Z rozbijającą szczerością stwierdza: „Polska bardzo boleśnie reaguje na próby rozstrzygnięcia kwestii spornych za pośrednictwem UE. Ale właśnie to pośrednictwo wzmacnia naszą pozycję”. To, co według Zołkini i Hetmańczuk psuje wzajemne relacje, zdaniem Panczenki jest właściwą taktyką, ponieważ daje przewagę Kijowowi. I właśnie tą logiką kieruje się Kijów.

Według Panczenki również w sprawie pamięci historycznej Ukraina poszła na ustępstwa, odsłaniając posągi lwów na cmentarzu Łyczakowskim. Trudno jednak ten argument traktować poważnie. Ukraina nie tyle ustąpiła, ile wycofała się z wcześniejszej skandalicznej decyzji o zastąpieniu lwów. Poza tym akurat sprawa Orłat jest mało kontrowersyjna i nic Kijowa nie kosztuje.

Chyba najostrej o Polsce pisze Witalij Portnykow, znany publicysta o poglądach liberalnych i proeuropejskich, ideowo



blizszy ekipie Poroszenki niż obecnie rządzącym. Niedawno w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” porównał Andrzeja Dudę do Dmitrija Miedwiediewa (z powodu słów o „tonącej” Ukrainie) i zasugerował, że działania Warszawy wpisują się w politykę Moskwy, ponieważ Morawiecki o przedłużeniu embarga powiedział dzień po tym, jak Rosja wycofała się z umowy zbożowej. Gdy Taras Kaczka zapowiedział złożenie pozwu przeciwko Polsce do Światowej Organizacji Handlu, Portnykow stwierdził, że to najbardziej cywilizowane rozwiązanie. Lepsze niż publiczna wymiana ostrych wypowiedzi pomiędzy przywódcami obu krajów. Przy okazji sam jednak uderzył w Polskę, Węgry i Słowację: „Nie ma wielkiej różnicy pomiędzy naruszeniem prawa przez Rosję, która zajęła Krym i uznała niepodległość tak zwanych „republik” na Donbasie, a tym, że państwa, które są członkami UE i NATO, łamią umowę stowarzyszeniową Ukrainy z UE oraz przepisy Światowej Organizacji Handlu”. Jedyna różnica polega na tym, że Polska, Węgry i Słowacja to państwa prawa, więc jeśli przegrają w sądzie, to będą zmuszone znieść embargo, a nawet jak nie zniosą, to zostaną za to ukarane. Portnykow widzi dwa warianty rozwoju sytuacji po wyborach nad Wisłą. Albo do władzy wrócą liberalni demokraci i zawrócą kraj na drogę eurointegracji, albo powstanie prorosyjska koalicja PiS z Konfederacją. Oczywiście sam woli pierwszą opcję. Ekipa Zełenskigo ostatnio, jak się zdaje, również.

Już w sierpniu Portnykow pisał: „Powinniśmy sobie uświadomić, że naszymi najważniejszymi sojusznikami w Europie, jeśli chodzi o wsparcie dla naszej integracji z UE, są kraje, które nie mają do nas roszczeń w sprawie historii i nie boją się konkurencji z naszej strony”. Stąd wniosek, że Ukraina powinna orientować się nie na Polskę, tylko na Niemcy i Francję. Portnykow postuluje też, aby Berlin i Paryż były adwokatami Kijowa w sporach z Warszawą. Po awanturze na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa ONZ publicysta stwierdził, że zamiast o kryzysie relacji powinniśmy mówić o ich normalizacji, czyli o powrocie do złych relacji sprzed inwazji rosyjskiej. Na czas wojny oba kraje zapomniały o dawnych sporach. To, że do nich wróciły, świadczy o tym, iż teraz z kolei zapominają, że trwa wojna. I za to

właśnie publicysta skrytykował zarówno Dudę, jak i Zełenskigo.

Według Wirtualnej Polski Petro Poroszenko chciał się spotkać z Jarosławem Kaczyńskim. Były prezydent za swoich rządów stawiał na Berlin, nie na Warszawę, i mocno promował kult OUN-UPA. Z polskiego punktu widzenia nie jest on żadną alternatywą dla Zełenskigo. Niemniej taktycznie warto rozmawiać z każdym, również po to, aby wzmacniać swoją pozycję w sporze z obecną władzą. Poroszenko i jego medialne zaplecze krytykują agresywny, coraz bardziej zniechęcający sojuszników styl dyplomacji prowadzonej przez Zełenskigo. Dotyczy to jednak głównie Zachodu.

Po stronie Polski raczej się nie opowiadają. Przeciwnie. Polityk Solidarności Europejskiej Mykoła Kniażycki nazywa polskie embargo „błędem”, naruszeniem prawa unijnego, przeszkodą na drodze Ukrainy do UE, a także ciosem w ukraiński budżet obronny, który utrzymywany jest z podatków, te zaś płacą eksporterzy zboża. Użył analogii historycznej – jego zdaniem podobnie było, gdy polski Sejm nie ratyfikował unii hadziackiej zawartej z hetmanem Wyhowskim. Wygrała na tym Rosja. Podobnie będzie i teraz – twierdzi Kniażycki. Jego zdaniem ukraińskie władze popełniły jeden wielki błąd – nie zaangażowały do konfliktu z Polską opozycji i społeczeństwa obywatelskiego. Relacje Kijów – Warszawa zostały uzależnione do przyjaźni dwóch prezydentów, więc gdy ta przyjaźń się skończyła, relacje zamarły.

Gdy pojawiły się głosy, że Ukraina gra na zmianę władzy w Polsce, Kniażycki nazwał je „absurdalnymi” i bronił Zełenskigo przed oskarżeniami. Przekonywał, że „polityka ukraińska nie stoi przed wyborem, kogo bardziej kochać: polskiego tatę, niemiecką mamę czy wujka Samę”. „Kochamy wszystkich, choć wiemy, że i mama, i tata, i wujek mają swoje interesy” – pisał, dodając, że Kijów nie gra na Berlin, tylko na „zjednoczoną i mocną światową wspólnotę demokratyczną” (czyli tak naprawdę na Berlin, ewentualnie – na Waszyngton).

NIEOMYJNI UKRAIŃCY

Za eskalowanie konfliktu z Polską ukraińską ekipę rządzącą ostro krytykuje jej były przedstawiciel – Ołeksij Are-

stowycz, popularny bloger, przez wiele miesięcy doradca szefa biura prezydenta. Musiał odejść, gdy publicznie powiedział, że podczas jednego z nalotów na budynek w Dnieprze omyłkowo spadła rakietą ukraińskiej OPL. Później za to przeprosił i odwołał swoje słowa, ale to go nie uratowało. Gdy w zeszłym tygodniu polscy biegli poinformowali, że w Przewodowie spadła ukraińska rakietą, Arestowycz zauważył, iż Ukraińcy nigdy nie przyznają się do własnych błędów i nie potrafią przeproszać. Jedyne, do czego się przyznają, to własny heroizm i winy wroga. Jego zdaniem Kijów powinien złożyć kondolencje rodzinom Polaków, którzy zginęli w Przewodowie, przypomnieć, że mamy wspólnego wroga, wypłacić odszkodowanie, zorganizować kampanię na rzecz poprawy wzajemnych relacji, a ponadto wykorzystać sytuację, aby wynegocjować od sojuszników unowocześnienie ukraińskiej obrony przeciwlotniczej, argumentując, że dzięki temu Przewodów się nie powtórzy.

Sojusznicy patrzą na Ukraińców jak na „dzieci, które prowadzą wielką wojnę i proszą o broń dalekiego zasięgu, której użycie, według Amerykanów, może sprokować wojnę atomową, a przy tym nie chcą wziąć odpowiedzialności za użycie broni o dużo mniejszej mocy [...]”. Walczymy o życie, okradamy samych siebie, okradamy innych, nie przyznajemy się do żadnych błędów, nie wyciągamy żadnych wniosków. A gdy już nasi partnerzy wierają na nas presję, zwalniamy uznanych za winnych, a ich miejsca zajmują tacy sami ludzie – i nic się nie zmienia” – zauważa. W jego ocenie Ukraina stała się krajem, który może pokonać Rosję, natomiast Ukraińcy jeszcze nie stali się społeczeństwem zdolnym pokonać samych siebie.

To nie pierwszy raz, gdy Arestowycz zabrał głos w sprawie relacji Kijów – Warszawa. 20 września ironizował: „Myślę, że za mało się staramy. Trzeba jeszcze wypowiedzieć Polsce wojnę. Będzie prawie tak samo jak 100 lat temu. Co prawda, koniec będzie taki sam jak wtedy, ale, jak widać, bardzo tego chcemy”. Wpis zakończył stwierdzeniem, że choć ekipy rządzące Ukrainą zaczynają różnie, to jednak kończą podobnie – „politycznym samobójstwem”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Miliarderka podzieli ukraiński tort?



Wojciech Golonka

Czy ściśle powiązana ze światem amerykańskiej finansjery specjalna reprezentantka USA do spraw odbudowy ekonomicznej Ukrainy będzie gotowa zaprosić do inwestycji zagraniczne podmioty na zasadzie win-win, obopólnych korzyści? A przede wszystkim czy nie zachodzi ryzyko, że podmioty publiczne, dajmy na to z Polski, będą finansować odbudowę Ukrainy, zasilając przede wszystkim grube ryby z Wall Street?

Ogłoszenie przez Biały Dom nominacji specjalnego reprezentanta USA do spraw odbudowy ekonomicznej Ukrainy w osobie miliarderki Penny Pritzker rodzi nie tylko pytanie o plany inwestycyjne zachodnich państw czy zagranicznego kapitału w powojennej Ukrainie, lecz także o obecną kondycję finansową naszego wschodniego sąsiada. W rzeczy samej, jeśli wczytać się między wierszami w oficjalne cele misji tej bardzo bliskiej współpracownicy Baracka Obamy, to ma ona przede wszystkim znaleźć miliardy dolarów z publicznych środków poszczególnych państw i prywatnych kieszeni inwestorów celem uratowania tu i teraz Ukrainy od bankructwa.

To zadanie biznesowej kwesty będzie szczególnie wymagające w chwili, kiedy coraz więcej głosów, nawet na Ukrainie,

z amerykańskim Kongresem na czele, domaga się przejrzystego rozliczania gigantycznej pomocy finansowej płynącej z Zachodu do kraju niechlubnie słynącego z trapiącej go od dekad plagi korupcji, a wręcz warunkuje wspomnianą przejrzystością dalszą pomoc. I prawdopodobnie dlatego Biały Dom postawił w tej kwestii właśnie na zawodnika wagi ciężkiej, uznaną na liście „Forbesa” z 2009 r. za jedną ze stu najbardziej wpływowych kobiet na świecie, nie bez powodu.

Tak, Penny Pritzker potrafi skutecznie i obficie zbierać pieniądze, i to niesamowicie duże pieniądze, a przynajmniej był o tym święcie przekonany senator Barack Obama, startując w 2008 r. w wyścigu do Białego Domu. W swym kręgu bankierów i żydowskich inwestorów, jak mówiono, Pritzker zebrała wówczas astronomiczną sumę 745 mln dol. na

komitet wyborczy Obamy, umożliwiając de facto jego elekcję. Ma się rozumieć, naturalnie zachodzi tu pytanie, które siłą rzeczy rzutuje i na obecną zadanie tej polityk i bizneswoman w jednej osobie, a które brzmi: Co było kluczowym argumentem skłaniającym wówczas tę frakcję amerykańskiej finansjery do podobnej inwestycji? Bo że amerykańskie wybory dawno stały się pewną giełdą inwestorów, jest co najwyżej tajemnicą poliszynela. Warto jednak, zanim przyjrzymy się temu, co niedopowiedziane, a istotne w bieżącym zadaniu Penny Pritzker, poznać pokrótce jej nietypową postać z pierwszorzędnymi koneksjami.

DROGA NA SZCZYT

Penny Pritzker przyszła na świat w rodzinie, który awansował do najzamożniejszych rodzin świata. Istotnie, przynajmniej 11 Pritzkerów – jej rodzeństwo, kuzynostwo, stryjowie, słowem: ziomkowie po mieczu – figuruje w światowych rankingach miliarderów, z łącznym majątkiem przeszło 40 mld dol. (dużo samo w sobie, choć relatywnie mało względem indywidualnych fortun najmożniejszych tego świata), a sam ród nieprzerwanie od 1982 r. znajduje się na liście „Forbesa” 10 najbogatszych rodzin w USA.

Rodzin, owszem, amerykańskich, choć w przypadku Pritzkerów ich żydowski rodowód jest mocno akcentowany i wybrzmiewający: patriarchą rodu, który wprowadził go w Ameryce na tory jego dzisiejszej fortuny, był Abraham Pritzker, syn Naftaliego ben Jakova Pritzkera, który wyemigrował w XIX w. z Kijowa do Chicago, gdzie założył kancelarię prawną. Urodzony już w USA Abraham miał zresztą zdaje się większy wpływ na swą wnuczkę Penny niż jej ojciec, Donald Pritzker. To wprawdzie Donald współzakładał sieć hoteli Hyatt, będącą źródłem bogactwa rodziny, zmarł jednak przedwcześnie w wieku 39 lat, kiedy jego córka, najstarsza w rodzeństwie, liczyła ich jedynie 13. Otóż mając lat 16, Penny napisała do dziadka list przy okazji jego 80. urodzin, w którym spytała go, czemu rozmawia o interesach jedynie z mężczyznami w jej rodzinie. W odpowiedzi Abraham osobiście nauczył ją księgowości oraz zadbał – najprawdopodobniej właśnie on, bo jej matka też przedwcześnie zmarła – o jej elitarną edukację na Harvardzie i Stanfordzie.

Penny następnie rozwinęła skrzydła w biznesie rodzinnym pod auspicjami genialnego stryja Jaya, który dzierżył w rękę stery rodowego imperium, a w 1995 r. przejęła po nim schedę, wraz z jego dwoma synami. Przypadło jej wówczas w udziale zarządzanie nieruchomościami niehotelowymi rodziny – zbijając fortunę na sieci Hyatt, liczącej dziś ponad 1350 hoteli w 69 krajach (w tym w sercu Kijowa, na Majdanie), rodzina nie ograniczyła się bynajmniej do biznesu hotelarskiego; dość powiedzieć, że gdy Pritzker obejmowała za drugiej prezydentury Obamy tekę sekretarza do spraw handlu, o czym za chwilę, celem uniknięcia konfliktów interesów zgodziła się sprzedać swe udziały w przynajmniej 221 firmach i zrezygnować z zarządów 158 spółek...

Znajomość Pritzker z Barackiem Obamą zaczęła się, gdy ten jeszcze wykładał prawo na Uniwersytecie Chicagowskim w latach 90.; finansowała i pomogła sfinansować jego kampanię wyborczą do amerykańskiego Senatu w 2004 r., a następnie, jak już widzieliśmy, była jednym z jego najbliższych współpracowników w wyścigu do Białego Domu (szef personelu Białego Domu za prezydentury Obamy, William Daley, powiedział nawet: „Z pewnością nie ma nikogo w gabinecie Obamy, kto znałby go dłużej i byłby bardziej zaangażowany w doprowadzeniu go tam, gdzie zaszedł”).

Co wymowne, nominacja Pritzker na sekretarza do spraw handlu za drugiej prezydentury Obamy została praktycznie jednogłośnie zatwierdzona w Senacie, a zatem amerykańskie środowiska biznesowe, niezależnie od swych preferencji politycznych, widziały w niej po prostu właściwego kandydata na to stanowisko. Nie dziwi zatem, że jej głównym projektem w administracji Baracka Obamy była praca nad Traktatem współpracy transpacyficznej, mającej zapewnić amerykańskim firmom dostęp do największego wspólnego rynku zbytu w historii i jednocześnie zapewnić USA możliwość wyznaczania reguł tego handlu; umowa jednak, mimo starań Pritzker i Obamy, nie została ostatecznie ratyfikowana przez Kongres USA, a Donald Trump wycofał promesę jej ratyfikacji (sam traktat uderzał w interesy amerykańskiej klasy robotniczej



Spotkanie Wołodymyra Zełenskiego z Penny Pritzker, Nowy Jork, 20 września 2023 r. FOT. PRESIDENT.GOV.UA

będącej kluczowym elementem zwycięstwa Trumpa).

NA UKRAIŃSKIM ODCINKU

Z polityki w 2016 r. Penny Pritzker wróciła do założonej przez siebie firmy inwestycyjnej PSP Partners. We wrześniu 2021 r. prezydent Joe Biden mianował ją członkiem swej rady doradczej do spraw nauki i technologii, a we wrześniu br. „specjalnym przedstawicielem USA do spraw odbudowy Ukrainy” celem – jak donosił oficjalny komunikat sekretarza stanu Anthony’ego Blinkena – „pracy z ukraińskim rządem, G7, Unią Europejską, międzynarodowymi instytucjami finansowymi, międzynarodowymi partnerami oraz jednym z naszych wielkich aktywów – prywatnym sektorem amerykańskim – aby pomóc wykuć przyszłość Ukrainy jako prosperującej, bezpiecznej europejskiej demokracji”. W szczególności Pritzker ma wyznaczać priorytety dla darczyńców względem potrzeb Ukrainy oraz „galwanizować międzynarodowych partnerów, aby zwiększyli ich wsparcie dla Ukrainy. Będzie również blisko współpracować z rządem Ukrainy w chwili, gdy ten intensyfikuje reformy

potrzebne, aby wygrać przyszłość, otworzyć swe rynki na eksport, zmobilizować bezpośrednie inwestycje zagraniczne oraz przyspieszyć odbudowę ekonomiczną”. Blinken nie omieszczał w swym komunikacie podkreślić, że ukraiński rodowód Pritzker i jej ukraińskie (w rzeczywistości: ukraińsko-żydowsko) koneksje wyjątkowo kwalifikują ją do tej misji.

Misji tymczasem nieco niemożliwej, gdyż tchnącej dziś istnym surrealizmem – mniej więcej w tym samym czasie kanclerz Scholz oznajmiał światu, że Niemcy gotowe są na długą, 10-letnią wojnę na Ukrainie. Jak w takiej perspektywie rozmawiać w ogóle o konkretnych odbudowy Ukrainy, w chwili, gdy kolejne fabryki – jak ostatnio np. lwowska fabryka polskiego producenta okien Fakro – stają się celem bombardowań? Prawdą jest, że nie jest to pierwsza kuriozalna informacja medialna o planach odbudowy Ukrainy – pisałem już państwu w artykule „Na zielonej Ukrainie” o konferencji w Lugano w 2022 r., gdzie możni tego świata z entuzjazmem kreślili wizję odbudowy zeroemisyjnej i dość tęczącej Ukrainy, dzieląc skórę na niedźwiedziu,



a raczej czyhając na swój kawałek ukraińskiego tortu, gdy rosyjski niedźwiedź im to w końcu umożliwi.

Z pewnością tym właśnie będzie się zajmować Penny Pritzker, wydzielająca (według swych „wyjątkowych kwalifikacji”) każdemu odpowiedni kawałek tortu. Ale co najwyżej na wyrost. Albowiem jej rola nie jest tak surrealistyczna, jak by się wydawało w obecnych okolicznościach, a jej taktyczna nominacja w rzeczywistości świadczy o nieciekawym położeniu Ukrainy w dobie zbliżających się w USA wyborów prezydenckich. Kilka dni po nominacji Pritzker republikański speaker Izby Reprezentantów Kevin McCarthy w mocnych słowach odmówił prezydentowi Wołodomyrowi Zełenskiemu wystąpienia przed połączonymi izbami Kongresu. „Czy Zełenski został wybrany do Kongresu? Czy jest naszym prezydentem? Nie sądzę, że jestem zobowiązany do czegośkolwiek. I gdzie jest sprawozdanie z pieniędzy, które już wydaliśmy? Jaki jest plan na zwycięstwo? Myślę, że to właśnie chce usłyszeć amerykańska opinia publiczna” – odpowiadał na pytanie CNN. Swoją drogą, mniej więcej tym samym głosem mówią w Unii Europejskiej Węgry Viktora

Orbána, wetując kolejne transze pomocy dla Ukrainy dopóty, dopóki poprzednia pomoc nie zostanie jasno rozliczona.

Owszem, to nie jest tak, że McCarthy czy republikanie, jako blok, chcą całkowicie zakręcić kurek pieniędzy Ukrainie, ale, po pierwsze, są zobowiązani do czytelnich dla swych wyborców znaków, że kierują się w tej kwestii rozsądkiem, a z perspektywy zbliżających się wyborów ochoczo wykażą, że działania administracji Joe Bidena okazały się w kwestii ukraińskiej w dużej mierze nieskuteczne, a stąd były gigantycznym marnotrawstwem. A po drugie, w większości republikańskiej w Kongresie istnieje mała, ale nieprzejednana frakcja, opowiadająca się rzeczywiście za całkowitym zaprzestaniem finansowania „nie ich wojny”, i z tą frakcją McCarthy, chcąc nie chcąc, musi się liczyć, negocjować itp. (jego wybór na speakera Izby po wyborach uzupełniających był zresztą z tego powodu istnym koszmarem).

W chwili zatem, gdy administracja prezydenta Bidena będzie miała coraz większe trudności na uzyskanie zgody Kongresu na dalsze finansowanie zarówno wysiłku wojennego, jak i samej egzystencji ukraińskiego państwa, nominacja Penny Pritzker jawi się jako kluczowy ruch na rzecz pozyskania środków we wspomnianych już kieszeniach innych państw i prywatnych inwestorów; nomen omen, Penny Pritzker jest wręcz dosłowną odpowiedzią na spotykane dzisiaj w USA nagłówki pokroju „Not a Penny More” – „Ani grosza więcej”. Pytaniem otwartym pozostaje, jakich argumentów użyje ona, aby „wykuć... galwanizować... zmobilizować... przyspieszyć...”, a przede wszystkim zwiększyć zachodnią pomoc dla Ukrainy (czytaj: zapobiec bankructwu Ukrainy), choć jest to po części pytanie retoryczne.

Otóż sama Ukraina, niewykluczone, że pod okiem Pritzker, już toczy poufne rozmowy z kluczowymi graczami finansowymi – podczas pobytu w Nowym Jorku na ostatnim posiedzeniu Zgromadzenia Ogólnego ONZ prezydent Zełenski spotkał się dyskretnie, ponownie już, z zarządem największego funduszu inwestycyjnego na świecie Black Rock, a następnie, w siedzibie największego amerykańskiego banku JP Morgan, odbył spotkanie z kilkoma miliardarami oraz prezesami znaczących korporacji,

z Google włącznie, a wśród obecnych na zaszczytnym honorowym miejscu nie zabrakło i sędziwego Henry’ego Kissingera, ponoć persona non grata na Ukrainie za jego słowa o potrzebie kompromisowego rozwiązania wojny rosyjsko-ukraińskiej.

NIC ZA NIC

Niezależnie od tego, czy Penny Pritzker współorganizowała te spotkania, dają one do myślenia o modus operandi jej przyszłej kwesty, przynajmniej względem prywatnych inwestorów, zdolnych, a być może i już gotowych wyłożyć miliardy, ale nie w formie pomocy charytatywnej, ale właśnie inwestycji. Cóż teraz Ukraina może im zaoferować w zastaw pod kluczową dla siebie dalszą kropłówkę gotówki? Począwszy od gigantycznych połaci ziemi rolnej, a na wszelakiej infrastrukturze skończywszy, nie zapominając o preferencyjnym dostępie do ukraińskiego rynku w przyszłości – nie trzeba być w głowie ukraińskiego rządu, aby domyślić się, jakie opcje prywatyzacji mogą być wyłożone na stół.

Czy ściśle powiązana ze światem amerykańskiej finansjery Pritzker będzie gotowa zaprosić do podobnych inwestycji zagraniczne podmioty, dajmy z Polski (w dodatku takie, które niekoniecznie będą mogły poszczycić się „kluczowymi” koneksjami rodowymi, wymienionymi przez sekretarza Blinkena), na zasadzie win-win, obopólnych korzyści? A przede wszystkim czy nie zachodzi ryzyko, że podmioty publiczne, dajmy z Polski, będą finansować odbudowę Ukrainy, zasilając przede wszystkim grube ryby z Wall Street? Biorąc pod uwagę dotychczasowe melodramatyczne podejście rządu polskiego do kwestii ukraińskiej, nie będzie przesadą prosić miłośników nam panujących o roztropność węży w chwili, gdy pani Penny rozpocznie swe tournée po dalsze grosze z naszej sakiewki.

Ujmując rzecz mniej ogólnie, uzasadnione są obawy, że państwo polskie ostatecznie wyjdzie na wojnie ukraińsko-rosyjskiej jak skończony frajer. Żadną pociechą byłoby móc powiedzieć za jakiś czas: „A nie mówiłem?”, dlatego nic za nic, a w konsekwencji pełna przejrzystość finansowa powinny być priorytetami na kierunku amerykańsko-ukraińskim, ktokolwiek by rządził po 15 października.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Z Csabą Faragó z węgierskiej Fundacji Századvég
rozmawia Olivier Bault

Atak na wybory tak jak na Węgrzech?



OLIVIER BAULT: Holenderska spółka finansowana przez fundusz George'a Sorosa, Pluralis, przejęła na krótki czas kontrolę nad Gremi Media, spółką, która jest właścicielem dziennika „Rzeczpospolita”. Potem odsprzedała swoje nowe udziały węgierskiemu miliarderowi, Zoltánowi Vardze. Kim jest Varga i jaką pozycję zajmuje w węgierskich mediach?

CSABA FARAGÓ: Zoltán Varga jest węgierskim biznesmenem. Przez długi czas

znajdował się na liście 50 najbogatszych ludzi na Węgrzech. Kilka lat temu kupił dużą, działającą na Węgrzech fińską grupę medialną Sanoma Media, co zapewniło mu ważną pozycję w węgierskim krajobrazie medialnym. Gdyby zapytać na Węgrzech ludzi, co jest głównym produktem Vargi, odpowiedzą, że jest to 24.hu, jeden z wiodących internetowych serwisów informa-

cyjnych na Węgrzech. To profesjonalny serwis mający własne źródła informacji, ale jest zdecydowanie lewicowy, choć prezentuje siebie jako medium niezależne i obiektywne. Prezentowany jest w nim wyraźnie lewicowo-liberalny sposób myślenia, oczywiście bardzo krytyczny wobec rządu Viktora Orbána i wartości konserwatywnych.



skarbowy lub mieć problemy tego rodzaju, niezależnie od tego, czy jest lewicowcem, prawicowcem czy też ma jakiegokolwiek inne poglądy. Jego stanowisko jest też bardzo klasyczne. Na Węgrzech lewicowi miliarderzy i politycy lubią uważać samych siebie za ofiary. Nie są w stanie wygrać wyborów i są sfrustrowani, ponieważ w innych krajach odnieśliby większy sukces w kształtowaniu opinii publicznej, podczas gdy tutaj, na Węgrzech, są mniej wpływowi, bo ludzie przejrzyli ich na wylot.

W kwietniu 2022 r. Orbán zdobył większość dwóch trzecich głosów w parlamencie czwarty raz z rzędu. Nikt, nawet na lewicy, nie kwestionuje jego zwycięstwa, ale wiele osób jest sfrustrowanych i opowiada takie rzeczy, jak te, które mówi Zoltán Varga o przyczynach jego problemów z urzędem skarbowym. Jeśli jednak spojrzymy na fakty, na to, jak działają i jak funkcjonują tacy ludzie, to zobaczymy, że wcale nie są prześladowani. Strona 24.hu jest uważana za jedną z najpopularniejszych, jeśli nie najpopularniejszą z lewicowych węgierskojęzycznych stron internetowych.

Po nabyciu przez Vargę udziałów w „Rzeczpospolitej” węgierskie media konserwatywne doszły do wniosku, że Varga współpracuje teraz z Sorosem. Czy tak można powiedzieć?

Zdecydowanie tak. Teraz wyraźnie współpracują ze sobą w sektorze mediów. Musimy przyznać, że w przeszłości byli sprytni w podtrzymywaniu pozorów demokracji i niezależności. Na to właśnie kładą nacisk, o ile mi wiadomo, w tym przejściu deklarują, że nie będą ingerować w tworzenie treści „Rzeczpospolitej”. Zawsze używają tej samej retoryki. Pan Varga, gdy został prezesem zarządu 24.hu, również twierdził, że nigdy nie będzie chciał ingerować w pracę redakcji. A potem mogliśmy zobaczyć, jak z czasem, po przejściu serwisu, przybierał on coraz ostrzejszy kurs wobec konserwatystów i stawał się coraz bardziej lewicowo-liberalny.

Jak opisałby pan dzisiejszą aktywność rodziny i funduszy Sorosa na Węgrzech, w szczególności w mediach, ale nie tylko?

Viktor Orbán stwierdził w swoim przemówieniu po wygranych wyborach w kwietniu 2022 r., że Soros dokonał naj-

gorszych inwestycji na Węgrzech, ponieważ ponownie przegrał pomimo całego trudu i poniesionych kosztów. Metoda sieci Sorosa pozostaje niezmienna od lat 90. – próbuje przesyłać pieniądze ze Stanów Zjednoczonych, czy to pieniądze podatników, czy też pieniądze fundacji, czyniąc to często w podejrzany sposób. Organizuje przetargi przeznaczone wyłącznie dla ich organizacji partnerskich na Węgrzech lub w innych krajach, które mają pewność, że otrzymają te pieniądze. Następnie stara się być ich mentorem, aby móc wywierać ogromny wpływ na opinię publiczną danego kraju.

A co z Uniwersytetem Środkowoeuropejskim, który został założony i jest finansowany przez George'a Sorosa? Wiele mediów donosiło, że uczelnia musi opuścić Budapeszt i przenieść się do Wiednia. Wygląda jednak na to, że nadal działa w Budapeszcie, prawda?

Tak, liberalne media donosiły, że musi zostać zamknięty, a kilka tygodni później można było zobaczyć ich ceremonię otwarcia roku w wiadomościach. Jak można świętować otwarcie roku akademickiego, jeśli uczelnia jest zamknięta? Prawda jest taka, że nikt go nie zamknął. Na Węgrzech naprawdę zależy nam na autonomii uniwersytetów. Uniwersytet Środkowoeuropejski zawsze cieszył się autonomią.

Wspominał pan o ingerencji Sorosa w zeszłoroczne wybory. Myślę, że miał pan na myśli amerykańską organizację Action for Democracy, która jest najwyraźniej powiązana z siecią Sorosa i która w zeszłym roku przekazała dość duże sumy pieniędzy z USA na kampanię wyborczą opozycji. Czy powstał w tej sprawie raport parlamentarny? Jaka była natura tej ingerencji?

Cóż, to była ta sama logika co zwykle: organizowano przetargi na wsparcie finansowe dla wybranych organizacji. W tym przypadku pieniądze trafiły do ruchu wspólnego kandydata opozycji, Pétera Márki-Zaya, oraz do innych podobnie myślących organizacji na finansowanie kampanii wyborczej opozycji.

Ta sama sieć finansuje również Telex.hu, który jest uważany za najbardziej poczytny portal lewicowy na Węgrzech obok serwisu 24.hu, a także 444.hu, który zajmuje trzecie miejsce na liście lewicowo-liberalnych serwisów.

Zoltán Varga twierdzi, że jest prześladowany przez rząd Orbána, co ma się przejawiać w jego problemach z urzędem skarbowym. Według Vargi to właśnie z powodu należących do niego mediów węgierski rząd atakuje go w sprawach podatkowych, próbując pozbawić go w ten sposób ostatnich mediów opozycyjnych.

Nie sądzę, by miało to jakiś związek z rządem. Na Węgrzech każdy może zostać ukarany finansowo przez urząd

Niektóre węgierskie media konserwatywne, takie jak dziennik „Magyar Nemzet” i portal Origo, pisały o tej transakcji z udziałem dziennika „Rzeczpospolita” w Polsce w alarmistycznym tonie, twierdząc, że Action for Democracy i reszta sieci Sorosa próbują ingerować w nadchodzące wybory w nad Wisłą, tak jak próbowali to zrobić na Węgrzech. Czy istnieje realne niebezpieczeństwo zagranicznej ingerencji?

Tak, uważam, że istnieje pewne niebezpieczeństwo. Jeśli spojrzeć z szerszej perspektywy, to wszystko zmierza w tym samym kierunku. Pan Varga został wprowadzony na polski rynek medialny przez spółkę Pluralis B.V. Sorosa tuż przed polskimi wyborami. Co ciekawe, wydaje się, że sieć Sorosa nie dba już nawet o wycucie czasu. Kilka lat temu nie oczekivalibyśmy tak otwartych działań z jej strony, ale teraz wydaje się, że bardzo chce, aby Donald Tusk i liberałowie rządzą Polską.

Jeśli chodzi o Action for Democracy, to robi to samo w Polsce, co gdzie indziej. Jeśli przekazuje pieniądze polskim organizacjom pozarządowym, a w tym samym czasie sieć Sorosa wykonuje ruchy na polskim rynku medialnym, to łatwo zgadnąć, co zamierza.

Mówi się, że Action for Democracy ma powiązania z amerykańskim National Endowment for Democracy, który z kolei jest często oskarżany o działanie jako przykrywa dla CIA. Stosunki między rządem Orbána a administracją Bidena wcale nie są dobre, a ambasador USA na Węgrzech bardzo otwarcie krytykuje rząd Orbána. Czy ta amerykańska ingerencja, która miała miejsce w okresie poprzedzającym wybory na Węgrzech, była również w pewnym stopniu ingerencją rządu USA?

Nie posiadam niezbędnych informacji, aby to skomentować. Jednak rzeczywiście ważne jest, aby wspomnieć o roli obecnego ambasadora USA, a także byłych ambasadorów. Od początku rządów pana Orbána wszyscy ambasadorowie wysyłani przez amerykańskich demokratów, gdy pełnili swoje funkcje, zawsze ostro krytykowali wybrany przez nas rząd. Pani Eleni Kounalakis, nominowana przez Baracka Obamę, która pełniła funkcję ambasadora na Węgrzech w latach 2010–2013, napisała nawet książkę na ten temat, do której przeczytania zachęcam. Jej tytuł to „Madam Ambassador: Three Years of Diplomacy, Dinner

Zoltán Varga został wprowadzony na polski rynek medialny przed wyborami przez spółkę Pluralis B.V. George’a Sorosa

Parties, and Democracy in Budapest”. Nie szczędziła rządowi Fideszu ostrych słów krytyki.

Później w ambasadzie urzędował tylko p.o. ambasador, pan Goodfriend, który również otwarcie stanął po stronie węgierskiej opozycji. W 2015 r. Obama mianował nowego ambasadora, hollywoodzką producentkę telewizyjną Colleen Bell, która zachowywała się tak samo jak poprzednicy. Teraz, pod rządami prezydenta Bidena, ambasadorem jest pan Pressman, który również po prostu wykonuje swoją robotę, tzn. robi to, co mu każą, i cały czas krytykuje rząd Orbána.

Zachowanie ambasadorów USA na Węgrzech, mianowanych przez kolejne demokratyczne administracje w Waszyngtonie, najlepiej pokazuje stosunek Waszyngtonu do konserwatywnego rządu Węgier.

Sprawy wyglądają oczywiście zupełnie inaczej po stronie republikańskiej. Podczas prezydentury Donalda Trumpa stosunki z Waszyngtonem i ambasadorem Davidem Cornsteinem były doskonałe. Tak więc stosunki węgiersko-amerykańskie są bardzo różne w zależności od tego, czy patrzy się na nie przez czerwone czy niebieskie okulary, które są odpowiednio kolorami Partii Republikańskiej i Partii Demokratycznej.

Stosunki między administracją Bidena a konserwatywnym rządem Polski są bardzo dobre, więc chyba nie powinniśmy podejrzewać, że stoi ona za działaniami Action for Democracy skupionej na promowaniu zmiany rządu w Polsce, nie sądzi pan?

Cóż, obecnie widzimy, że na świecie trwa wyścig ideologiczny, a liberałowie, strona lewicowo-liberalna, od wielu lat angażują się w wysiłki na rzecz rozszerzenia swoich idei i sojuszy na całym świecie. Chcieliby, aby globaliści zwyciężali wszędzie, a suwerenniści milczeli i zawsze stanowili niewielką mniejszość.

Niezależnie od tego, czy dany kraj jest uważany za dobrego sojusznika Stanów Zjednoczonych czy też nie, trwa wyścig o narzucenie lewicowo-liberalnych i globalistycznych poglądów, z wysokim poziomem interwencji w wybory w niektórych krajach. Nie mogę powiedzieć, czy to wypływa od konkretnego rządu, ale widzimy wyraźnie, że działania te inicjują konkretne organizacje, których powiązania są bardzo dobrze znane.

A co z zaangażowaniem Brukseli? Gazeta „Magyar Nemzet” twierdziła niedawno, że projekty Open Society Foundations Sorosa na Węgrzech zostaną wsparte funduszami unijnymi. Jednocześnie wiemy, że Węgrom jako krajowi odmawia się funduszy UE, do których mają prawo.

Cała idea polega na zreformowaniu systemu i zaprzestaniu dystrybucji funduszy spójności i innych funduszy przez rządy krajowe, aby je rozdawać przez pośredników i organizacje obywatelskie. Jest to część globalnego wyścigu prowadzonego przez globalistów w celu wykluczenia suwerennistów z debaty publicznej i procesu decyzyjnego, zarówno w Stanach Zjednoczonych Ameryki, jak i w Unii Europejskiej, a także w innych krajach europejskich.

To, co Komisja Europejska robi polskiemu rządowi i narodowi, a także węgierskiemu rządowi i narodowi, blokując fundusze UE, do których mają prawo, pod pretekstem naruszania zasad praworządności, które to kwestie poruszają tylko z tymi dwoma krajami, pomijając inne, jest bardzo niesprawiedliwe. Służy to natomiast właśnie temu celowi, czyli niedopuszczeniu do dystrybucji funduszy unijnych przez konserwatywne rządy, co jest też sposobem na pomoc lewicy i liberałom w wygraniu wyborów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Csaba Faragó – szef departamentu międzynarodowego węgierskiej Fundacji Századvég, najstarszego konserwatywnego think tanku na Węgrzech i drugiego co do wielkości po Kolegium Macieja Korwina. Századvég jest również wiodącym podmiotem na Węgrzech w dziedzinie badań opinii publicznej i sondaży.



NASZA MAŁA AMFETAMINKA

Australijska dziennikarka ABC Kristen Drysdale po urodzeniu dziecka wraz z partnerem postanowiła przetestować tamtejszy urzędowy system dotyczący nadawania imion. Wymyślili kilka skandalicznych imion, które można by zgłosić, i wybrali jedno: Metaamphetamine Rules, czyli po polsku Metaamfetamina Rządu (metaamfetamina to narkotyki). Zgłosili takie imię do systemu i ku ich zdziwieniu... zostało zaakceptowane. Urzędnicy zapowiedzieli, że dziennikarka otrzyma teraz stosowną pomoc, by formalnie zmienić imię swojego potomka.

FOT. ADRIEN STUCK

NIEMIECKIE PUNKTY DLA DONOSICIELI

Ustawa o ochronie informatorów nałożyła w Niemczech na firmy obowiązek tworzenia „punktów zgłaszania przestępstw”. Takie punkty raportowania musi utworzyć ok. 90 tys. firm i urzędów. Za ich brak będzie 20 tys. euro kary. Niemieccy publicyści zaczęli zauważać, że takie punkty mogą „zatruić klimat społeczny” – zgłoszeń będzie można bowiem dokonywać anonimowo, a za zgłoszenie nieprawdy nie będą groziły żadne konsekwencje.

UEFA JUŻ SIĘ NIE DĄSA NA ROSJĘ

UEFA planuje przywrócić do rozgrywek międzynarodowych reprezentację Rosji do lat 17. Została ona – tak samo jak reprezentacja seniorska – zawieszona w lutym 2022 r., po inwazji Rosji na Ukrainę. Ukraińcy od razu zapowiedzieli, że nie będą grali przeciw Rosjanom. To samo zapowiedzieli Anglicy oraz szef Polskiego Związku Piłki Nożnej.

SZWECJA POD OBSTRZAŁEM

Wrzesień okazał się najgorszym w historii miesiącem pod względem liczby strzelanin (a prowadzi się tę dokładną statystykę od 2016 r.). Łączna liczba osób, które zostały zastrzelone, sięgnęła w tym miesiącu 11. Minister sprawiedliwości Gunnar Stremmer pytany przez dziennikarzy, czy wojsko nie powinno wspierać policji, przyznał, że na pewno przyda się pomoc w wykorzystaniu wojskowych helikopterów.

RABOWANIE W IMIĘ PROTESTU

W Filadelfii policjant zastrzelił podczas kontroli drogowej 27-latkę. Sprawa trafiła do sądu, a sędzia oddalił zarzuty wobec funkcjonariusza. W związku z tym w całym mieście grupa blisko 100 młodych osób ruszyła dewastować sklepy i kraść. Rabowano głównie sklepy luksusowych marek, takie jak Footlocker, Lululemon i Apple. Policja użyła siły, aresztowano 20 osób. ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Zaginiony w akcji

Rok 2024 zapowiada się niezwykle interesująco. W czerwcu Europejczycy wybiorą nowych członków Parlamentu Europejskiego (pierwszy raz od dawna konserwatyści mają szansę zdobyć znaczący przyczółek w tym wyjątkowo lewicowo-liberalnym zgromadzeniu). 5 listopada 2024 r. Amerykanie będą zaś mieli szansę wybrać następcę schorowanego prezydenta Bidena.

Aby to było możliwe, republikanie powinni wystawić kogoś, kto będzie w stanie pokonać jednego z najsłabszych prezydentów w hi-

storii Stanów Zjednoczonych (który według najnowszego sondażu NBC News jest fatalnie oceniany już przez rekordowe 56 proc. ankietowanych). Jego potencjalny rywal, Donald Trump, również nie jest ulubieńcem większości Amerykanów. Pozytywne zdanie o Trumpie ma zaledwie 35 proc. pytanym. Wielu wyborców za oceanem jest też bardzo znużonych wizją kolejnego pojedynku Biden kontra Trump.

Jednocześnie sondaże wciąż wskazują, że były prezydent ma największe szanse na zdobycie partyjnej nominacji. Większość republikanów uważa także, że to

właśnie jemu najłatwiej będzie pokonać Bidena.

Trumpp zignorował więc już drugą debatę republikańskich kandydatów. „Donald Trump zaginął w akcji. Powinien być dziś wieczorem na tej scenie. Jest wam to winien” – zwrócił się do publiczności gubernator Ron DeSantis, najbardziej kompetentny i najbardziej popularny rywal Trumpa w prawyborach. Sondaże pokazują, że według 27 proc. republikańskich wyborców debatę i tak wygrał nieobecny Trump. On sam partyjne prawyборы traktuje zaś jak... konkurs na wiceprezydenta.

Z Maciejem Kalwasińskim,
specjalistą do spraw chińskiej gospodarki
z Ośrodka Studiów Wschodnich
rozmawia Piotr Włoczyk



Priorytety Chin pod przywództwem
Xi Jinpinga (na zdjęciu) się zmieniły. Teraz
już szybki wzrost gospodarczy nie jest tak
kluczowy. FOT. SHI TANG/GETTY IMAGES

Potęga zamiast dobrobytu

PIOTR WŁOCZYK: Czy „chiński cud gospodarczy” to już historia?

MACIEJ KALWASIŃSKI: Jeżeli pod tym pojęciem rozumiemy bardzo dynamiczny wzrost PKB, to ten „cud”, który wcześniej miał miejsce w Japonii czy Korei Południowej, powoli kończy się już od mniej więcej dekady, gdy oficjalne tempo wzrostu zaczęło wyraźnie zwalniać. Obecne problemy Chin są wynikiem kumulacji kilku kluczowych czynników – pogłębienia kryzysu na rynku nieruchomości wywołanego przez decyzje władz, pogorszenia nastrojów społecznych, osłabienia popytu zagranicznego na chińskie towary oraz kosztów dotychczasowego, nie zrównoważonego modelu gospodarczego, które zaczynają coraz bardziej ciążyć.

W ostatnim czasie głośno było o spektakularnym zadłużeniu czołowych chińskich firm

deweloperskich. W jaki sposób władze komunistyczne przyczyniły się do pogłębienia problemów tego sektora?

Pogłębiający się kryzys sektora to duży problem dla Pekinu, ponieważ rynek nieruchomości odgrywa w chińskiej gospodarce olbrzymią rolę. Wraz z branżami powiązanymi odpowiada za ok. 20–25 proc. PKB Chin. To nieproporcjonalnie duży odsetek w porównaniu z innymi wielkimi światowymi gospodarkami. Nieruchomości stanowią 60–70 proc. majątku Chińczyków i są to ich ulubione aktywa inwestycyjne. Z kolei sprzedaż ziemi pod budowę mieszkań i podatki wpłacane przed deweloperów stanowią ponad 30 proc. wpływów władz lokalnych, które tym samym mają obecnie – gdy rozpoczyna się mniej projektów budowlanych – mniej pieniędzy na stymulowanie gospodarki.

Model rozwoju deweloperów oparty był na błędnym kole, które napędzało spe-

kulacyjny popyt i podaż mieszkań. Doszło do powstania swego rodzaju piramidy finansowej – deweloperzy byli w stanie regulować swoje wcześniejsze zobowiązania tylko dzięki nowemu finansowaniu.

Władze co kilka lat decydowały się na „spuszczenie powietrza” z tego balonu spekulacyjnego i schłodzenie rynku – wprowadzano regulacje ograniczające możliwość zakupu mieszkań i zmniejszającą liczbę budowanych lokali. Ostatni raz do takiej interwencji doszło w sierpniu 2020 r. To była kierunkowo słuszna decyzja, ale została wdrożona w złym momencie: problem koronawirusa nie został – jak się mogło wówczas wydawać w Pekinie – rozwiązany i chińska gospodarka jeszcze przez dłuższy czas przeżywała poważne turbulencje. Widząc postawę władz, trudności deweloperów z ukończeniem budowy mieszkań i spadające ceny, Chińczycy nie są już skłonni do kupowania mieszkań

w takich liczbach jak wcześniej. Najwięksi deweloperzy popadli w olbrzymie problemy finansowe. Obecnie chińskie władze starają się podgrzać rynek, rozluźniając regulacje. Na razie nie widać jednak trwałych pozytywnych efektów tych działań i niewiele wskazuje na to, że uda się to zmienić w przyszłości. Najlepsze, na co mogą liczyć rządzący, to ustabilizowanie rynku mieszkaniowego.

Jak dużym problemem jest pogorszenie się nastrojów chińskich konsumentów?

Niektórzy analitycy spodziewali się, że w ChRL dojdzie do powtórki sytuacji z Europy Zachodniej i USA, czyli po lockdownach covidowych pojawi się tzw. silny odroczony popyt i Chińczycy masowo ruszą na zakupy. Okazało się jednak, że skala tego zjawiska nie jest tak duża, a Chińczycy wciąż oszczędzają więcej niż przed pandemią. ChRL nie gwarantuje dobrej opieki społecznej, więc ludzie są tam zdani w znacznej mierze na samych siebie i rodzinę – stąd tak duża skłonność do oszczędzania na czarną godzinę.

Ponadto pogorszyła się sytuacja na rynku pracy, w wielu sektorach spadły zarobki. Bezrobocie wśród młodych wzrosło do rekordowych 21 proc., po czym tamtejszy urząd statystyczny przestał publikować dane na ten temat. Dochodzi do tego jeszcze tzw. efekt majątkowy w związku z problemami rynku nieruchomości – kiedy widzimy, że wartość naszego majątku spada, jesteśmy mniej skłonni do wydawania pieniędzy. Głód sukcesu materialnego i wiara Chińczyków w lepszą przyszłość od lat były siłą napędzającą chińską gospodarkę. Teraz ta wiara przygasła.

W przeszłości, gdy pojawiały się kłopoty gospodarcze, Pekin wdrażał silne pakiety fiskalne i monetarne. Tym razem jednak chińskie władze już się na to nie decydują. Może to wynikać z obawy przed kosztami takiego działania w dłuższej perspektywie. Inna rzecz, że dotychczasowe pakiety stymulacyjne koncentrowały się na rozwoju infrastruktury, a obecnie jest ona już na tak wysokim poziomie, że dalsze wielkie inwestycje w tym obszarze nie mają sensu.

W tym roku widać też spadek eksportu z ChRL po silnym wzroście z lat 2021–2022. Zachód również ma swoje problemy gospodarcze i Chiny nie mogą

już w takim stopniu liczyć na napędzanie gospodarki przez sprzedaż za granicę.

Ostatni z wymienionych przez pana głównych problemów ChRL to kwestia modelu gospodarczego. Co w tym kontekście oznacza, że jest on „niezrównoważony”?

Chiny od lat wyjątkowo dużo inwestują, ale mało konsumują. Prowadzi to do wyrzucania pieniędzy w błoto i szybkiego wzrostu zadłużenia. Ten model rozwoju, który staje się coraz mniej efektywny, musi ulec przeobrażeniu – i Xi Jinping otwarcie o tym mówi. Chińskie władze nie chcą, by wiązało się to z dużym kosztem społecznym w krótkim terminie, ale osiągnięcie takiego rezultatu jest wielkim wyzwaniem.

Ogromnym problemem dla Pekinu jest też demografia. Chiny przestały być najbardziej ludnym krajem na świecie i od teraz z roku na rok ich populacja będzie się kurczyła...

Zwalniająca gospodarka wcale nie będzie oznaczała, że Chiny będą słabszym krajem, mniej ambitnym na arenie międzynarodowej

Chiny próbują zaradzić spadkowi dzietności, ale te działania są raczej skazane na niepowodzenie, ponieważ właściwie nigdzie na świecie nie udaje się wyraźnie odwrócić niekorzystnych trendów demograficznych.

Czy chińska demografia nie stawia przypadkiem ChRL na straconej pozycji w wyścigu z USA o tytuł największej gospodarki świata?

Problemy demograficzne nie są jedyną znaczną przeszkodą na drodze wzrostu PKB. Ważniejsza będzie produktywność Chińczyków, która pozostaje na stosunkowo niskim poziomie. Jeżeli uda się ją zwiększyć, to Chiny wciąż będą rosnąć i mają szansę prześcignąć USA. W ChRL mieszka przecież cztery razy więcej ludzi niż w Stanach Zjednoczonych.

Inna sprawa, że w interesie Chin nie powinno być szybkie doścignięcie – w ciągu kilku czy kilkunastu lat – USA. Ten krótkoterminowy, propagandowy w znacznej mierze sukces tylko pogłębiłby nierów-

nowagę chińskiej gospodarki. Zadłużenie Chin wzrosło z poziomu 140 proc. PKB w 2008 r. do ponad 300 proc. PKB obecnie... Problemem nie jest sama wielkość zobowiązań, ale dynamika ich wzrostu – dług podwoił się w zaledwie 15 lat, co jest bezprecedensowym wynikiem. Szybka pogoń za Amerykanami wymagałaby jeszcze szybszego pompowania długu, co zagrażałoby stabilności gospodarki i powiększałoby rachunek, który przyszyboby Chińczykom zapłacić za kolejne lata „cudu” na kredyt.

Wydawałoby się, że obecny stan chińskiej gospodarki to potężny ból głowy dla Xi Jinpinga. Jak obecny przywódca Chin patrzy na kwestie gospodarcze w porównaniu ze swoimi poprzednikami?

Przywołam tu slogan Komunistycznej Partii Chin: „Pod rządami Mao Chińczycy wstali z kolan, za Denga wzbogacili się, a za Xi stają się silni”. To propagandowe zdanie dobrze oddaje nastawienie Xi do gospodarki: ma być stabilną bazą do budowania samowystarczalności i potęgi państwa.

Priorytety Chin pod przywództwem Xi Jinpinga się zmieniły. Teraz już szybki wzrost gospodarczy nie jest tak kluczowy. Ważniejsze dla chińskich władz są bezpieczeństwo, stabilność państwa, odporność na zewnętrzne naciski i rozwój kluczowych sektorów, np. półprzewodników. Standard życia Chińczyków nie będzie rósł tak szybko jak dotychczas, ale to cena budowania silnego państwa, którą Xi jest w stanie zaakceptować.

Możemy przewidywać, że wzrost gospodarczy ChRL będzie nadal zwalniał, ale chińskie władze będą inwestowały ogromne środki w te sektory, które są kluczowe w toczeniu konfliktu z USA. Zwalniająca gospodarka wcale nie będzie oznaczała, że Chiny będą słabszym krajem, mniej ambitnym na arenie międzynarodowej. Obawiam się, że może być wręcz odwrotnie. Wobec wyhamowania wzrostu poziomu życia przeciętnego Chińczyka władze w Pekinie mogą chcieć skupić uwagę społeczeństwa na innych, zagranicznych sprawach...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Maciej Kalwasiński jest specjalistą do spraw gospodarki ChRL, analitykiem w Zespole Chińskim Ośrodka Studiów Wschodnich.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Prywatyzować? Nacjonalizować?

Jak wiadomo, prywatyzacja została w Polsce w ostatnich latach sprowadzona do wyprzedazy. Czyli do sprzedaży poniżej wartości.

A umieszczenie w referendum – i to na samym początku, jako pierwszego – pytania w tej sprawie przelało czarę... no właśnie – czego? Zwłaszcza że pytanie to sformułowano w taki sposób, iż powiedzieć o nim, że jest pytaniem z tezą, to nic nie powiedzieć.

Pytanie to (w przypadku pozostałych nie jest lepiej) sformułowano bowiem tak, że na jego przykładzie powinno się uczyć, jak nie powinno się formułować pytań referendalnych. Jak wiadomo, brzmi ono tak: „Czy popierasz wyprzedaj majątku państwowego podmiotom zagranicznym, prowadzącą do utraty kontroli Polek i Polaków nad strategicznymi sektorami gospodarki?”.

Po pierwsze, nasuwa się oczywiste pytanie: A któreż to firmy należą do „strategicznego sektora gospodarki”, które zaś nie? I kto miałby o tym decydować? Czy np. produkcja zwykłych aut, a choćby i elektrycznych, takich, jakimi mają być (m)izery, to też wyłączna domena „strategicznego sektora gospodarki”? I z tegoż powodu dla stawiania tej państwowej fabryki trzeba było zabrać podatnikom setki milionów złotych, a wkrótce trzeba będzie zabrać miliardy? Fabryki samochodów Ilera, które przecież i tak nigdy nie powstaną, bo za ich produkcję wzięło się państwo, które ze swej natury jest nieefektywne.

Po drugie zaś: przy takim brzmieniu owego pytania wychodzi na to, że według jego autorów w ogóle nie da się sprywatyzować firmy ze „strategicznego sektora gospodarki” bez „utruty” nad nią „kontroli Polek i Polaków”. Sprywatyzować w celu pozbycia się przez nią niskiej efektywności, charakterystycznej dla firm państwowych, i uzyskania wyższej – charakterystycznej dla firm prywatnych, co byłoby z pożytkiem także dla owych „strategicznym sektorów gospodarki”. Wynikałoby z tego zatem, że wszystkie prywatne firmy należące do Polaków są poza „kontrolą Polek i Polaków”. Ciekawe.

Zgodnie z tą filozofią rządy PiS jeśli cokolwiek w sprawie prywatyzacji-nacjonalizacji robią, to renacjonalizują i nacjonalizują. Głównie pod sztandarem repolonizowania i polonizowania – tak jakby polskim biznesem mógł być tylko ten należący do polskiego państwa, a nie do obywateli polskiego państwa. Albowiem kapitał znów stał się w Polsce kategorią podejrzaną, a jego posiadacze – tym bardziej.

I, rzecz jasna, żadnego, ale to żadnego związku z tą strategią nie ma to, że repolonizowanie przez renacjonalizowanie zapewnia politykom kolejne posady do obsadzenia w „odzyskanych” spółkach, co z pewnością byłoby niemożliwe, a przynajmniej nie tak łatwe, gdyby zrepolonizowane firmy trafiły w ręce polskich, ale prywatnych właścicieli – a choćby poprzez giełdę. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Płacowa urawniłowka

Nieustanne podwyższanie wynagrodzenia minimalnego, co robi od lat obecny rząd, jest jednym z najbardziej wyniszczających gospodarczo i społecznie populistycznych działań. W przyszłym roku poziom płacy minimalnej ma od połowy roku sięgnąć 4,3 tys. zł brutto. Dla rządzących socjalistów sprawa jest prosta: uważają – i tak to przedstawiają – że „ludzie mają godnie zarabiać”. Poza tym maskują w ten sposób skutki ogromnej inflacji, do

powodzenia inflacji, za którą znów pójdzie podwyższenie wynagrodzeń. I tak dostajemy błędne koło.

Drugi skutek – długoterminowy, ale być może jeszcze gorszy – to spłaszczenie struktury płac, czyli klasyczna socjalistyczna urawniłowka. Kto chce znaleźć dosadny literacki opis skutków takiej polityki, powinien przeczytać być może najbardziej wstrząsający fragment „Atlasa zbuntowanego” Ayn Rand, mówiący o losach fabryki samochodów przejętej przez „wrażliwych społecznie” nowych właścicieli. Jak nietrudno się domyślić, skutkiem wprowadzonych przez nich zmian był upadek zakładu.

Rząd Mateusza Morawieckiego funduje nam coś podobnego. W momencie, gdy płaca minimalna zaczyna doganiać wynagrodzenia bardziej wykwalifikowanych pracowników, motywacja do podnoszenia umiejętności spada. Po co się kształcić czy uczestniczyć w kursach, skoro niemal tyle samo zarobi się bez żadnych dodatkowych kwalifikacji? To również potężny czynnik wypychający ludzi na emigrację.

Mechanizm windowania płacy minimalnej powinien zostać absolutnie zmieniony. Rząd ma tu w tej chwili praktycznie wolną rękę, co sprawia, że traktuje to jak narzędzie populistycznego PR – z ogromną szkodą dla gospodarki. ©©

**Mechanizm
windowania
płacy minimalnej
powinien zostać
absolutnie
zmieniony**

której doprowadziły w dużej części ich własne działania. Nie zajmują się druzgocącymi konsekwencjami swoich decyzji.

Pierwszy to ogromne obciążenie przedsiębiorców. Podwyższanie płacy minimalnej bez umiaru popycha w górę całą siatkę płac, a to oznacza wyższe składki, wyższe koszty zatrudnienia i w konsekwencji albo nieopłacalność prowadzenia działalności, czyli zamknięcie firmy, albo konieczność podwyższania cen, czyli pom-

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



WSCHODNIA GRANICA POLSKI W OGNIU!

Jak II RP poradziła sobie
z sowieckimi atakami
hybrydowymi

Lekcja Korpusu Ochrony Pogranicza – zdecydowane działania Warszawy ostudziły zapędy Moskwy

Malarska zemsta Zamoyskiego – obraz zamówiony u Jana Matejki miał być rewanżem po trzech wiekach...

Atomowa gorączka '83 – NATO-owskie ćwiczenia „Able Archer” zelektryzowały ZSRS

Krzyż i półksiężyc na Lewancie – wspomnienia Usamy ibn Munkiza idą w poprzek popularnym wyobrażeniami o pograniczu islamsko-chrześcijańskim

Książęce tajemnice – Zamek Książ w Wałbrzychu ma długą i fascynującą historię usianą skandalami

„Prigożyn” Lenina – Paweł Dybienko zrobił zawrotną karierę w partii bolszewickiej, mimo że zorganizował bunt przeciw... Leninowi

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

VOLVO XC60 B5 AWD



FOT. JAP

Przebieżne lato niechybnie dobiega już końca. Planując podróże, warto więc pamiętać, że w październiku dzień jest już krótszy od najdłuższego o ponad pięć godzin. Gdy coraz szybciej zapada zmrok, a trasa biegnie przez bory pełne dzikiej zwierzyny, kierowcy obdarzeni wyobraźnią z niepokojem wypatrują świecących na poboczach oczu saren czy lisów.

W takich sytuacjach bardzo docenia się nowoczesne technologie. Aktywne światła drogowe z funkcją adaptacyjną będące na wyposażeniu testowanego XC60 skutecznie doświetlają pobocza, nawet gdy z naprzeciwka zbliżają się kolejne samochody. Kamera detekcyjna umieszczona przy górnej krawędzi szyby czołowej sprawnie wykrywa bowiem światła reflektorów innych aut

czy latarni ulicznych i automatycznie przełącza światła tak, by nie oślepić innych kierowców, a jednocześnie wyłącza tylko tę część wiązki, która skierowana jest na innych użytkowników. Co daje taki taniec wiązek światła? Spokój ducha, ponieważ światła drogowe nadal bardzo wyraźnie oświetlają obie strony pobocza mimo nadjeżdżających aut.

Technologie mające zapobiegać wypadkom – a jeśli to się nie uda, to przynajmniej minimalizować ich skutki – to od lat hasło rozpoznawcze Volvo, pierwszego producenta aut, który oficjalnie ogłosił, że chce doprowadzić do tego, by użytkownicy aut szwedzkiej marki nie tylko nie ginęli w wypadkach, lecz także nie odnosili podczas podróży żadnych poważnych obrażeń.

I to jest zapewne – obok ponadczasowego designu z reflektorami w kształcie młota Thora – jeden z głównych powodów, dla których model XC60 jest od wielu lat królem segmentu rodzinnych SUV-ów premium i liderem sprzedaży w Polsce, wyraźnie wyprzedzającym Audi Q5, BMW X3 czy Lexusa NX.

Testowane auto z silnikiem B5 AWD mild hybrid od zera do 100 km/h przyspiesza w zaledwie 6,9 s, co prowadzącemu/prowadzącej daje sporo radości z jazdy, a przy okazji umożliwia bezpieczne wyprzedzanie w trasie. Co ze spalaniem? Podczas testu na zakorkowanych miejskich drogach, na autostradach i drogach krajowych auto średnio spalało 9,2 l/100 km.

Przestronna kabina jest minimalistycznie i elegancko wykończona. Komfortowe skórzane fotele mogą być wyposażone w funkcję ogrzewania lub wentylowania. Ustawny bagażnik w modelu XC60 ma 483 l pojemności. To wystarczająco na rodzinny wyjazd, choć w tej kategorii niektórzy konkurenci mogą pochwalić się większym kufrem. Konstruktorzy tego SUV-a zbyt wiele funkcji wrzucili też do systemu infotainment. Zapewne szukanie niemal wszystkiego na dużym ekranie miało być nowoczesne, jednak taki koncept niepotrzebnie rozprasza kierowcę podczas podróży.

Ceny modelu XC60 B5 mild hybrid z napędem na wszystkie łapy zaczynają się od 268 tys. zł. Za rodzinny SUV-a w najwyższej wersji wyposażenia z panoramicznym oknem dachowym, nastrojowym oświetleniem wnętrza, głośnikami Harman Kardon etc. trzeba zapłacić 292 tys. zł. ©©

IROBOT ROOMBA COMBO J9+

Świetny design, możliwość niemal bezobsługowej pracy, wysoka skuteczność odkurzania oraz ulepszony system mopowania – to największe zalety nowego robota amerykańskiej firmy iRobot.

Nowym modelem Amerykanie pokazują, że mimo rosnącej w siłę konkurencji z Chin to wciąż oni zasługują na miano króla robotów sprzątających. Po pierwsze: wzornictwo. Stacja dokująca w testowanym modelu jest wyjątkowo funkcjonalna, a jednak nie zajmuje tyle miejsca co pół szafy ubraniowej. Dzięki nowoczesnemu designowi wygląda też ładnie (umożliwia również zamaskowanie jej obecności – na „drewnianej” półce można np. postawić doniczkę z kwiatkiem).

A jak pracuje? Skutecznie. Model wyposażony jest w dwie gumowe szczotki oraz szczotkę boczną do czyszczenia narożników i krawędzi. Combo J9+ ma jednak większą moc ssącą niż poprzednie modele. Ma też ulepszone mopowanie z funkcją SmartScrub. Tłumacząc z marketingowego na polski, robot automatycznie wykrywa miejsca wymagające mocnego szorowania i mopuje je dużo intensywniej, co pozwala pozbyć się zdecydowanej większości zaschniętych śladów psich łap, plam po kawie, brudu na kafelkach etc.



Dobrze, że będący pionierami tego typu urządzeń Amerykanie zdecydowali się nadrobić zaległości, bo skutecznie czyścić podłogi z zaschniętych plam potrafi już wiele marek robotów z tej półki cenowej, wyposażonych np. w obrotowe nakładki mopujące. Przewagą testowanej Roomby nad chińskimi konkurentami jest to, że po zjechaniu z podłogi na dywan robot unosi moduł mopujący wysoko nad obudowę, dzięki czemu skutecznie chroni dywany przed zamoczeniem i/lub poplamieniem brudnymi nakładkami.

Zaletą, którą nowy iRobot kompletnie pozamiatął konkurencję, jest jednak bezobsługowość. Roomba Combo J9+ nie pożera przewodów, nie kradnie kocich zabawek i nie próbuje wieszak się na zasłonach. Odpada więc obowiązek ratowania robota. Co więcej, do stacji dokującej wystarczy zajechać raz na miesiąc. Co 30 dni trzeba bowiem uzupełnić wodę w zbiorniku, a co 60 dni opróżnić pojemnik na brud. W przypadku chińskich konkurentów trzeba nie tylko dużo częściej wymieniać wodę, lecz także regularnie ręcznie czyścić stację czyszczącą, aby uniknąć sprzątania podłogi nakładkami po „kąpieli błotnej”. Wadą premierowego modelu jest jednak wysoka cena: 6449 zł. © ©

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

Jesienią pyszną się na straganach rozmaite odmiany jabłek – znak rozpoznawczy plonów z polskich sadów. Pięknie wybarwione, pachnące, apetyczne jabłka są w naszej kuchni nieodłącznym składnikiem jesiennych dań – i tych słodkich, i wytrawnych. Kto nie lubi racuchów z jabłkami, kaczki lub gęsi z jabłkami, jabłeczników, szarlotek, tart itp.?

Odmian jabłek jest bardzo wiele i bardzo wyraźnie różnią się od siebie – smakiem, konsystencją miąższu, kwasowością, kolorem – tak że można by pomyśleć, iż to inny gatunek owoc.

My bardzo lubimy malinówki, startkingi, golden delicious i szarą renetę. I choć mogłoby się wydawać, że wszystko, co najlepsze, już było i że dotyczy to także żywności, to jednak sadownicy ciągle tworzą nowe odmiany. Na przełomie tysiącleci w Polsce, na Podlasiu, wyhodowano nową odmianę – gold milenium. Ten owoc różni się znacząco od innych, ponieważ postarano się, aby przywrócić mu dawną funkcję żywności – regenerującą i leczniczą. Dobra żywność powinna leczyć, jak mówił Hipokrates. Ludzkość poszła jednak w złą stronę i produkuje żywność, która często nas zatrzuwa. Dlatego dobre są takie pomysły, jak stworzenie odmiany jabłka, które poprzez wysoką zawartość przeciwutleniaczy, a także dobrą proporcję cukrów oraz polifenoli i flawonoidów niweluje grzybicę, silnie wzmacnia organizm, co jest ważne w walce z różnymi chorobami.

Rzymianie mówili „Ab ovo ad mala”, czyli od jajka do jabłka – taka była klamra ich posiłków

SIOSTRY GOTUJĄ

Złote jabłko



FOT. ADOBE STOCK

i uczt. Powinnyśmy więc zalecić państwu wypicie surowego soku z jabłek, ale podajemy przepis na pyszną szarlotkę.

Szarlotka

- 1–1,5 kg jabłek, według nas szara renetą jest najlepsza
- 5–10 łyżek cukru
- 1 łyżka cynamonu

Ciasto kruche:

- 320 g mąki krupczatki
- 250 g masła zimnego • ½ łyżeczki soli • 1 łyżeczka proszku do pieczenia
- 5–7 łyżek cukru
- 1 jajko • 2 żółtka • ½ opakowania cukru waniliowego

Jabłka obrać ze skórki, wydrążyć gniazda, pokroić na kawałeczki, wysypać do garnka, dodać łyżkę wody, cukier i cynamon. Poddusić ok. 20 min. Odstawić.

Mąkę przesypać do miski, dodać pokrojone na małe kawałeczki zimne masło, rozetrzeć palcami, dodać pozostałe składniki i zagnieść ciasto. Odstawić do lodówki na minimum 30 min.

Piekarnik nagrzać do 180 st. C, ciasto wyjąć z lodówki, blaszkę 24 x 24 cm wyłożyć papierem do pieczenia, posmarować papier masłem i wylepić ½ porcji ciasta, ponakłuwać widelcem, następnie wyłożyć jabłka, a pozostałą część ciasta zetrzeć na tarce na grubych oczkach bezpośrednio na jabłka. Wstawić do pieca, piec ok. godzinę na złoty kolor. Po wyjęciu z pieca ostudzić i posypać cukrem pudrem. ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Śliwka narodowa

Zadne tam angielskie konfitury z gorzkich pomarańczy, żadne morelowe Bonne Maman w słoiczku z nakrętką w czerwonej kratkę. Mirabelki (skądinąd dalekie krewne) się bronią, chociaż robota z pestkami jest zniechęcająca. Powidła ze śliwek węgerek to jesienny król przetworów. U mnie także król śniadania. Ich wyższość nad pobratymcami z innych owoców polega na tym, że mają nawet swoją nazwę. Na wyłączność. Ani konfitura, ani dżem, ani marmolada – to po prostu powidła śliwkowe. Specjalność prawie narodowa.

Śliwka węgierka to owoc skromniutki, który nie mości się w jednoosobowych wyścielanych przegródkach, jak niektóre kuzynki bardziej wyszukanych, importowanych gatunków. Śliwki sprzedaje się ze skrzynek, od razu dużo. Po 6–7 zł, nie tylko tanie, lecz także podobno zdrowe, jeśli wierzyć internetom. Zawierają polifenole, antocyjany, sód, magnez, witaminę B6, mało kalorii. Są wspomagaczem problemów żołądkowych.

Śliwkę z Syrii do Europy przywieźli Turcy i zaczęli sadzić na podbitych terenach Bałkanów. Następnie trafiła na Węgry – pewnie dlatego mówiono na nią damaszka, damascenka, adamaszka. Węgrom zawdzięczamy także rozpowszechnienie śliwki w Europie. O dziwo, znajomy Węgier, który odwiedził nas kilka lat temu, powiedział, że oni węgerek nie mają, i wzru-

szył się, kiedy mu ofiarowali – śmiał spórą torebkę.

Wrześniowy wysyp tych owoców trwa krótko i łatwo go przegapić. Podobno należy je zrywać między 10 a 15 września. Ze smażeniem najlepiej zacząć, aż pojawią się dojrzałe, słodkie, z pestką odchodzącą od miąższu. Niektórzy każą doczekać aż do pierwszych przymrozków, kiedy skórka zacznie się marszczyć.

Ogrodowy rytuał smażenia powideł na ogniu w mosiężnych i miedzianych specjalnie do tego przeznaczonych patelniach opisywali Czechow, Turgieniew, Orzeszkowa. Trwało to kilka dni, a jaki miało urok, można sobie dziś już tylko wyobrazić, przywrócić nie sposób. Brak ogrodu (w mieście) byłby pierwszą przeszkodą, brak patelni da się pokonać – i tak teflon zwyciężył nad miedzią, w której się przypala. Smażyć należy długo i na małym ogniu w naczyniu z jak największą powierzchnią parowania. Cukru niewiele, a bardzo słodkie śliwki w ogóle go nie potrzebują. Żadnych żelfiksów, żadnych cukrów żelujących. Powidła dobrze wysmażone same z siebie są gęste, smoliste, o ciemno burgundowym kolorze.

W tym roku mamy wyjątkowo urodzaj śliwek, tymczasem w narodzie nie widać wielkiego do nich zapału. Hurtownicy nie chcą kupować, cena jest niska i podobno w sandomierskich sadach śliwki będą musiały zostać na drzewach. Kłeska urodzaju. ©



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Szepielewicz, początek potopu moskiewskiego

Szepielewicz nad rzeką Oslinką na dzisiejszej Białorusi, 65 km na północny wschód od Mohylewa, to miejsce klęski, od której zaczął się „moskiewski potop” Wielkiego Księstwa Litewskiego. W XIX w. były tutaj 91 chałup ruskich, pięć katolickich, 47 żydowskich, cerkiew i bożnica. We wsi znajdowała się gorzelnia, a nad rzeczką młyn. Dziś to klasyczna kołchozowa osada, rozciągnięta wzdłuż kilku błotnistych uliczek. 24 sierpnia 1654 r. na terenie dzisiejszych Szepielewicz odbyła się bitwa, w której armia litewska pod wodzą hetmana wielkiego Janusza Radziwiłła poniosła klęskę w starciu z armią moskiewską Aleksego Trubeckiego.

Klęska była początkiem zniszczenia Litwy, które miało miejsce po niesławnej ugodzie perejasławskiej na początku roku, kiedy Bohdan Chmielnicki poddał kozacką Ukrainę pod władzę cara Aleksego Michajłowicza.

Moskwa od dawna przygotowywała się do wojny z Rzeczpospolitą, uderzyła jednak na Białoruś, a nie na Koronę. Główna armia z samym carem pomaszerowała na litewski Smoleńsk, a później na Mińsk, dwie pozostałe, osłaniające ją – na Połock i Mścisław. Wojska te liczyły nawet do 70 tys. żołnierzy, podczas gdy hetmani litewscy – Radziwiłł (wielki) i Aleksander Gosiewski (polny) – zebrali zaledwie ok. 8 tys. ludzi.

Zwykle w wojnach z Moskwą Wielkie Księstwo wspomagane było przez armię Korony, jednak



FOT. DOKŁAD PUBLICZNA

tym razem główne przeciwuderzenie skierowane zostało na Ukrainę. Natomiast osłabiona Litwa została wydana na pastwę przeważających sił wroga. W dodatku król Jan Kazimierz, nienawidzący Janusza Radziwiłła, wspierał jego konkurenta Aleksandra Gosiewskiego, ten zaś próbował nawet przeciągnąć na swoją stronę żołnierzy z oddziałów wiernych hetmanowi wielkiemu.

W tej sytuacji Janusz Radziwiłł postanowił pobić po kolei wkraczające do Wielkiego Księstwa armie moskiewskie – w czasie, kiedy główne siły zajęte były obleganiem Smoleńska. Najpierw 12 sierpnia pokonał pod Szkwowem wojska Jakowa Czerkaskiego. Później zwrócił się przeciwko południowej armii dowodzonej przez Aleksego Trubeckiego, który 22 lipca zdobył i wyrzucił Mscisław. 24 sierpnia przybył pod Szepielewicz, zastając tam pułk przedni kniazia Kurakina, który już zajął wieś i przeprawił się przez Oslinkę. Radziwiłł rzucił część sił do odbicia tych pozycji, udało mu się pobić Kurakina, który został ranny. Jednak piechota moskiewska zdołała umocnić się w Szepielewiczach, a następnie na pole bitwy nadciągnął pułk wielki samego Trubeckiego, który od razu wysłał na pomoc Kurakinowi najlepsze regimenty piechoty cudziomskiego zaciągu. Radziwiłł

w odpowiedzi nakazał szarżować husarii Aleksandra Połubińskiego, jednak wkrótce potem część jazdy moskiewskiej – pod wodzą Semena Pożarskiego – przeprawiła się przez rzekę na prawym skrzydle wojsk litewskich i zagroziła okrążeniem. W wojskach wybuchła panika, a po nieudanej próbie odparcia tego uderzenia Radziwiłł rozkazał odwrót, w czasie którego ścigany był przez moskiewską jazdę. 25 sierpnia siły wroga dopadły wycofującą się piechotę litewską i artylerię, rozbiły je, a sam hetman omal nie stracił życia.

Klęska pod Szepielewiczami była kolejnym dowodem na to, że Wielkie Księstwo Litewskie nie było w stanie samo obronić się przed Moskwą. W bitwie przeciwko ok. 8 tys. żołnierzy z dywizji Radziwiłła i Gosiewskiego walczyło ponad 15 tys. przeciwników. W poprzedniej, pod Szkwowem, naprzeciwko ok. 3–4 tys. wojsk Radziwiłła stanęło ponad 10 tys. wrogów. Co gorsza, nie była to armia z początku wieku, z czasów dymitriad, która, jak pod Kłuszynem, łatwo zostawała rozbita przez naszą jazdę. Moskwa unowocześniła wojska, tworząc jednostki piechoty i rajtarów na wzór podobnych na zachodzie Europy.

Po klęsce Radziwiłła pod Szepielewiczami załamała się cała obrona Wielkiego Księstwa, rozpoczął się osławiony krwawy „potop moskiewski”, za którego wspomnienie Łukaszenka może dziś wsadzić do tury. W lipcu Moskale zdobyli Mińsk, w sierpniu Wilno, dokonując okrutnej rzezi miasta. Według słów współczesnych stolica nigdy nie zdołała się w pełni odbudować. ©



RYS. OBA



DEKAMERONKI

Żarna mielą

JERZY KARWELIS

My tu sobie wyrzucamy argumenty z głowy na wybory, a młyny covidowe mielą wciąż i nie jest to działanie siły rozpędu, a raczej korzystanie z okazji, by zrobić coś po cichu, gdy dudni hałas z innych scen. Można wywinąć niejedno. Ale jak się zatka te mainstreamowe uszy i wsłucha w subtelności, to słyszać, że młyny mielą, ha, nie tylko się kręcą, lecz także dobudowuje się nowe żarna – jedno na wszelki wypadek, a drugie na zaplanowane działania.

Moderna w zeszłym roku podpisała 10-letnią umowę z rządem Wielkiej Brytanii o wartości ok. 1 mld funtów na „zabezpieczenie” tego kraju przed kolejną pandemią poprzez produkcję 250 mln szczepionek rocznie w wybudowanym w Wielkiej Brytanii centrum produkcji szczepionek mRNA. Podobne centra, finansowane z pieniędzy podatników, powstają w Kanadzie i Australii.

25 sierpnia 2023 r. Biden ogłosił, że będzie wnioskował o dodatkowe fundusze na nową szczepionkę na COVID-19 chroniącą przed nowym szczepem omikrona XBB.1.5, żeby wyszczepić wszystkich. Jak informuje CDC, nowy wirus może wywoływać infekcję zwłaszcza u osób, które (uwaga, uwaga!) wcześniej chorowały na COVID-19 lub przyjmowały szczepionki przeciwko wirusowi. Taka bowiem powstała „grupa celowa”, o której istnieniu mówienie jeszcze nie tak dawno

narażało śmiałków na etyczny i medialny ostracyzm.

W tym czasie legislatura pandemiczna jest pod pełną parą – na wypadek pandemii, ogłoszonej bezapelacyjnie przez WHO, jej to przypadnie rząd dusz i ciał, również Polaków. Unia Europejska, opierając się na doświadczeniach chińskich, wprowadza już podstawy paszportu szczepionkowego i co do niego wrzuci, to się dopiero okaże, jak się już dogada z Big Pharmą. Dzieje się, a my się zajmujemy jak zwykle czy to jedzeniem psów przez jedną z partii, czy tym, kto wcześniej nawpuszczał desperatów do Polski.

Ale co tu utyskiwać... Z badań w USA wyszło, że 54 proc. Amerykanów jest zaniepokojonych obecnym (gdzie?) wirusem. Nie zaszczepi się 47 proc. (36 proc. ze względu na szkodliwość szczepionek), liczba zaś postrachanych... rośnie w porównaniu ze stanem sprzed roku. A więc jest społeczne zapotrzebowanie na szczepionkę, co oznacza, że strach został porządnie wdrukowany w niektóre zwoje. Pytanie tylko, czy demokracja paniki zwycięży czy trzeba jej będzie pomóc rządowym sanitaryzmem? Wszystko już jest gotowe – w obu wariantach.

Idzie sezon grypowy, zapomniany w Polsce kosztem sezonu wyborczego. Obyśmy się nie obudzili z ręką w strzykawce i to bez względu na wyniki przy urnach. Urnach na razie tylko z głosami. ©©



#WARTO

Okaleczeni ideologią

JAN POSPIESZAŃSKI

Według nowej klasyfikacji chorób ICD-11 niezgodność płciowa między „płcią przypisaną a płcią odczuwaną” nie jest zaburzeniem psychicznym. Transpłciowość według WHO nie jest już patologią. Została uznana jako stan odnoszący się do zdrowia seksualnego. Kwestie te mają kluczowe znaczenie w diagnozach pacjentów transpłciowych. Nie unieważniając dramatu tej statystycznie mikroskopijnej grupy osób, u których zaburzenie płci manifestuje się obok klinicznym (medycyna dobrze opisała takie przypadki), dziś miazdząca większość problemów z identyfikacją płci ma podłoże psychiczne.

Nagle pojawienie się tak wielu przypadków, a także ideologiczny kontekst problemu opisywaliśmy na naszych łamach kilkakrotnie. Ponurym paradoksem jest to, że znaczący udział w rozszerzaniu się tej „epidemii” mają tzw. specjaliści. Jaki procent ich „diagnoz” ma podłoże ideologiczne, ile jest skutkiem modnego trendu, a jakie znaczenie ma po prostu biznes? Biorąc pod uwagę skutki, którymi są bezpowrotne okaleczenia tysięcy młodych dziewcząt (bo wśród zgłoszeń jest ogromna nadreprezentacja nastolatek), mamy do czynienia z oszustwem na nieprawdopodobną skalę. Jesteśmy świadkami zapaści nauki, zapaści etycznej i zapaści semantycznej.

Piszę to po nagraniu rozmowy z osobą, która

kilkanaście lat temu uznała, że nie chce funkcjonować jako kobieta, i postanowiła dokonać tranzycji płci. Mówi, jak wyglądały jej kontakty z psychologiem, psychiatrą, seksuologiem. Żaden nie starał się rozpoznać prawdziwego problemu, a była nim trauma po doświadczeniu przemocy seksualnej. Lekarze, zgodnie z jej życzeniem, napisali w diagnozie „transseksualizm”. Po jednej wizycie dostała skierowanie na zabieg amputacji piersi. Bohaterka mojego reportażu po latach uznała swój błąd i mimo usunięcia narządów rodnych i sądowej zmiany tożsamości na męską pragnie powrócić do swojej płci biologicznej, dokonać detranzycji. Tymczasem usłyszała od diagnosty, że detranzycja to duży problem i „najlepiej dla wszystkich (jakich wszystkich? Lekarzy, biegłych sądowych?) będzie dokonanie kolejnej tranzycji. Tym razem z męczyzny na kobietę (!). I chyba go rozumiem. W przeciwnym razie ci wszyscy specjaliści musieliby przyznać się do błędnego rozpoznania. A to otwiera drogę do odszkodowań (co dzieje się już na Zachodzie).

Ofiar oszustów, które przyznają, że tranzycja była błędem, że przysporzyła jeszcze większych cierpień, jest więcej. Chcą wrócić do swojej prawdziwej tożsamości. Potrzeba dla nich uczciwych terapeutów, odważnych prawników i grup wsparcia. Ale wsparcia opartego na kryterium prawdy. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Oklaski dla esesmana

Dzieją się dziwne rzeczy. Stop. Jarosław Kaczyński wygrał w sądzie. Stop. Inna sprawa, że ja to nie wiem, jak ta sprawa trafiła do sądu. Stop. Prezes PiS publicznie ocenił film Agnieszki Holland „Zielona granica”, mówiąc m.in.: „Ci, którzy robią takie filmy, którzy je wspierają, którzy przyjmują je dobrze, którzy argumenty przeciw nim przyjmują ze śmiechem, są w gruncie rzeczy armią Putina”. Dodał też, że ten film to „wpisywanie się w plany Putina i Łukaszenki” oraz że „każdy, kto tego nie potępi, znajduje się po antypolskiej stronie”. Stop. Tu najciekawsze. Do sądu z pozwem w trybie przedwyborczym pogną (gdyż tu wskazany jest pośpiech) kandydatka do Sejmu z list Lewicy Iwona Kaźmier-ska-Małyska. Stop. Dlaczego ona? Z Lewicy? Co ona ma do tego? (sprawdziłem – nie jest ciotką Holland). Nie wiadomo. Stop. Sąd pozew oddalił, bo każdy może film ocenić, czyli Kaczyński wygrał. Stop.

Dziwne. W sumie to może to taki sposób pani Kaźmier-skiej-Małyski, żeby się trochę podlansować? Stop. Chyba tą drogą poszedł Brejdy-gant, aktor, który wysmażył list otwarty do prezydenta Andrzeja Dudy, nadzwyczaj go krytykując, i ten Brejdygant napisał, a wydrukowała oczywiście „Wyborcza”, że „niżej nie można upaść” i że on się bierze i wstydzi za prezydenta. Stop. Tu też poszło o „Zieloną granicę”, bo prezydent, krytykując tę agitkę, przytoczył

słowa: „Tylko świnie siedzą w kinie”. Stop. Żaden ze mnie znawca aktorów, ale gdyby nie publikacja tego listu, to ja bym w ogóle nie widział, że Brejdygant aktor istnieje. Stop. No, zaistniał w nowej roli.

Prezydent Ukrainy, Wołodymyr Zełenski, nagradzał brawami w kanadyjskim parlamencie esesmana z 14. dywizji SS. Stop. Kanadyjczycy wzięli winę na siebie, mówiąc, że nie sprawdzili dokładnie oklaskiwanego dziada. Stop. Zełenski w tej sprawie nie wpadł na pomysł, żeby przeprosić. Stop.

Zabawny facet ten Olaf Scholz. Stop. Niemiecki rząd dał 800 tys. euro organizacji pozarządowej SOS Humanity, która sprowadza nielegalnych migrantów z Afryki na włoską Lampedusę. Stop. Jednocześnie tenże Olaf chce wyjaśnić od Polski w sprawie 260 wiz, które wydano za łapówki. Olaf, znaj proporcję... Stop.

Tymczasem „Daily Telegraph” napisał, że niemiecka gospodarka jest w coraz gorszym stanie. Stop. „Polska z łatwością pokonuje swojego sąsiada” – twierdzą Anglicy. Stop. Ostrożnie z tym hurra- optymizmem, ale być może właśnie odkryliśmy powód zdenerwowania Olafa. Stop. Szokujące doniesienia „Wyborczej”. Stop. „Instrukcja Episkopatu na wybory. Katolik nie może głosować na kandydata, który jest za aborcją i związkami jedнопłciowymi” – ustalili. Stop. Kto by pomyślał? ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Prometeusz „Pod Kielichem”

Wbardzo ciekawym punkcie znalazła się ostatnio polska polityka zagraniczna. Od wybuchu wojny na Ukrainie wszelkimi siłami wspieraliśmy naszego wschodniego sąsiada, demaskując zarazem perfidną, obliczoną na geopolityczną współpracę z Rosją politykę Niemiec. Polska dyplomacja liczyła na ewentualne profity, wynikające z udziału naszej gospodarki w odbudowie Ukrainy. Roila też sobie o przyszłej federacji, a przynajmniej ścisłej współpracy z Ukrainą, mającej ostatecznie podważyć siłę niemieckich wpływów w naszym regionie Europy.

Tymczasem Ukraina wywinęła polskim politykom zaskakującego psikusa. Aby zrozumieć charakter tego zdarzenia, pomocna może być anegdota opisana w „Przygodach dobrego wójka Szwejka”. Opowiada ona o kupcach mających swoje sklepiki na ulicy Taborskiej w Pradze.

„Był tam sobie kupiec, niejaki Horzejszi, a nieco dalej naprzeciwko miał sklep kupiec Poszmourny, a w samym środku między nimi miał kramik sklepikarz Havlasa. Więc ten kupiec Horzejszi wpadł któregoś dnia na taki concept, żeby się złączyć z tym sklepikarzem Havlasą przeciw kupcowi Poszmournemu, i zaczął się z nim umawiać co do tego, że oba sklepy mogłyby istnieć pod wspólną firmą: »Horzejszi i Havlasa«. A ten sklepi-

karz Havlasa zaraz poleciał do kupca Poszmournego i powiedział mu, że Horzejszi daje mu dwanaście setek za jego sklepik i chce z nim zrobić spółkę. Ale jeśli Poszmourny da mu o sześć setek więcej, to woli zrobić spółkę z nim przeciwko Horzejszemu. Więc się z sobą ugodzili, a ten Havlasa przez jakiś czas ciągle się kręcił koło tego Horzejszego, którego zdradził, i udawał jak najlepszego przyjaciela, a gdy się czasem zgadało o połączeniu obu interesów, to zawsze mawiał: »No, już niedługo się połączymy. Czekam tylko, aż klienci wrócą z letniska«.

Koniec praskiej historii jako żywo przypomina zaskakującą wolę, wykonaną przez ukraińskich polityków, którzy zamiast „federacji” z Polską wybrali bliższe relacje z „nielojalnymi” Niemcami.

„Gdy mój Horzejszi pewnego poranka otwierał swój sklep, ujrzał wielki napis nad sklepem swego konkurenta, firma jak byk: POSZMOURNY I HAVLASA”.

„Przygody dobrego wójka Szwejka” oszczędzają czytelnikom dalszego ciągu historii. Zapewne kupiec Horzejszi ogłosił konkurentom swoje moralne zwycięstwo. Szwejk nie już o tym nie mówi. My sami na własne oczy możemy dzisiaj podziwiać obraz polityki jagiellońskiej naszych elit, zderzonej z wyobraźnią Jarosława Hańki. Byłaby to historia zabawna, gdyby nie brzmiała jednak dość smutno. ©©

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Klinika za żółtymi firankami



JOANNA SIEDECKA

Mimo poparcia Antoniego Słonimskiego, ówczesnego prezesa Związku Literatów, w styczniu 1957 r. Ministerstwo Zdrowia odmówiło zrozpaczonej Marii Dąbrowskiej miejsca dla jej ciężko chorego brata w klinice rządowej przy Emilii Plater w Warszawie – rządówce, jak ją nazywano. Gdy zagraniczni korespondenci pytali o nią rzecznika rządu, Jerzego Urbana, łgał w żywe oczy, że coś takiego u nas nie istnieje. Istniało jednak do końca PRL.

W porównaniu z nędzą PRL-owskiej służby zdrowia rządówka była luksusem. Znakomicie wyposażona w najnowocześniejszy sprzęt, niewidziane nigdzie indziej cuda, np. kopułowe oświetlenia sal operacyjnych, ogrzewanie podłogowe, separátky albo co najwyżej pokoje trzyosobowe, znakomita przeważnie profesorska kadra, np. prof. Leon Płocki, osobisty lekarz Bieruta, prof. Mieczysław Fejgin (brat Anatola, wysokiego funkcjonariusza bezpieczeństwa), dr Krystyna Tempka, dentystka, trzecia żona Cyrankiewicza.

Lecznica przeznaczona była nie tylko dla dygnitarzy partyjnych i rządowych oraz ich rodzin, lecz także dla zasłużonych dla władzy artystów, pisarzy – laureatów Nagród Państwowych, kierownictwa Związku Literatów oraz członków jego partyjnej egzekutywy, czyli tzw. egzekutasów.

Dzięki zgodzie ministra zdrowia, czy też czyjejsz wysokiej protekcji, mogli z rządówki korzystać inni „zasłużeni”, choć bardzo często odmawiano właśnie najgorliwszym chwalcom władzy, która po prostu ich nie szanowała – np. Janowi Brzechwie, karnemu członkowi partii, autorowi propa-

gandowych socagitek, gromiących spekulantów, kułaków, faszystów z NSZ, kapitalistów z Wall Street, „mikołajczyków” i innych reakcjonistów. Często też bez uprzedzenia odbierano prawo do korzystania z rządówki tym, którzy dostali je niejako z automatu, tzn. po Nagrodzie Państwowej w 1964 r. – np. blisko 70-letniemu Słonimskiemu, inicjatorowi „Listu 34”, pierwszego pisarskiego protestu. „Pani mąż, a tym samym i pani, zostaliście z naszych list skreśleni” – usłyszała żona Słonimskiego, gdy poszła do dentysty.

Sygnatariuszce Listu, 75-letniej Marii Dąbrowskiej, cofnięto natomiast udzielone wcześniej prawo korzystania z apteki kliniki, zaopatrzonej w niedostępne w Polsce zagraniczne leki. Oświadczono jej, że nie ma leku nasercowego, który dotychczas kupowała, ale „jedna z pracownic, która mnie zna, zreflektowała się i powiedziała, że znalazło się jeszcze ostatnie 60 pastylek, i sprzedała mi je” – pisała Dąbrowska.

Pisarze cenili sobie przywilej korzystania z kliniki. W swojej ostatniej książce „Piórem i pazurem” Jarosław Abramow Newerly pisał, że gdy jego ojciec, pisarz Igor Newerly, porzucił dla młodszej swoją żonę, nie rozwiódł się z nią, żeby mogła nadal korzystać z kliniki. Newerly junior podkreślał to jako przykład uczciwości swego ojca, choć byłoby tak, gdyby rozwiódł się i płacił żonie wysokie alimenty, pozwalające jej na najlepszych lekarzy, a nie obciążał państwo kosztami jej leczenia. Jarosław Abramow chwalił się też, jak to jego ojciec, mimo protezy, ze względu na brak jednej nogi, wędrował po górach, tańczył, nie zająknąwszy się

nawet, że to dzięki sprowadzonej mu przez klinikę szwedzkiej protezie, lekkiej i zgrabnej w porównaniu z polską – ciężką i toporną, w której było nawet trudno chodzić.

Adamowi Ważykowski załatwiono z kolei szwedzką sztuczną szczękę. Julianowi Tuwimowi po ciężkiej operacji żołądka przydzielono jedną z pielęgniarek kliniki, Kaziunię, która zamieszkała u Tuwimów, i miał w domu własne pogotowie.

Klinika miała jednak opinię niejednoznaczną. Nie wszyscy chcieli chorować na oczach rozplotkowanego środowiska. Pisarzy umieszczono bowiem na dwóch piętrach, spotykali się więc na korytarzach, zabiegach i wszyscy wiedzieli wszystko o swoich dolegliwościach. „Nade mną, na 4-tym piętrze leży Jarosław (Iwaszkiewicz), który nie może się wysuszać – jak nie ma się jednej nerki, to rzecz poważna” – pisała Dąbrowska.

Nie brakowało też w klinice lekarzy przeciętnych, dobieranych według klucza partyjnego. Bali się ryzykować, podejmować decyzje, zwłaszcza wobec pacjentów o znanych nazwiskach, unikając odpowiedzialności, gdy np. na stole operacyjnym zmarł ważny pisarz, zaledwie 62-letni Leon Kruczkowski. Dlatego też nazywano klinikę „trupiarnią”, bo zmarło tu wielu pisarzy – m.in. Nałkowska, Dąbrowska, Słonimski (po banalnym wypadku samochodowym), Broniewski, Borowski. Nie dopilnowano Jerzego Zawieyskiego – runął śmiertelnie z balkonu, widząc na dole swoją ostatnią, starczą namiętność – młodego geja Bogusława, dla którego stracił głowę i zapisał mu swoją willę w Konstancinie, którą objął po swoim Jerzusi. © ©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Podarowałem memu Chrześniakowi „kopert” wychowawczy. Na Kocieniu stosujemy takie rozróżnienie, w zasadzie seksistowskie, że gdy koperta zawiera zwykły list, wówczas jest przedmiotem rodzaju żeńskiego, ale gdy zawiera forszę lub wezwanie, lub wyrok, zmienia rodzaj na męski i wtedy jest to „ten kopert”.

Chrześniaka muszę stale formatować w kierunku męskim, gdyż jego matką jest niejaka Szwagierka – osoba mocno skrzywiona w lewo od wszystkiego, co prawidłowe. Tam, gdzie ja stosuję prawa, ona stosuje lewica. Przykład: Szwagierka zwalcza „toksyczny maskulinizm” i chciałaby ze swoich synów zrobić czułych maminsynków. A potem nie ma komu zarżnąć karpia na Wigilię. I co? Szwagierka rezygnuje z karpia.

Marksistowskie skrzywienie Szwagierki się pogłębia. W czasie naszego ostatniego spotkania zaproponowałem jej coś absurdalnego i miał to być żart z lewackiego świra, gdy tymczasem ona to wzięła po-dejrzliwie, ale mimo wszystko za dobrą monetę.

Najpierw zarzuciła mi, że produkuję ogromny ślad węglowy i nic z tym nie robię. Samochód mam stary i nie wymieniam, a przecież mnie stać na elektryka; ulotki dotyczące paneli słonecznych, które mi wrzucają do skrzynki, nabijam na gwóźdź wbity w słupek pod skrzynką i tak tam wiszą, aby zniechęcać kolejnych oferentów... Wylizyła mi litanie moich grzechów klimatycznych.

Wysłuchałem i mówię spokojnie:

– Ja to ja. Sama wiesz, jaki jestem, ale ty...



FOT. W. CEJROWSKI/D. JAROSZAWSKI

– Co ja?
– No dziwię się, że jeszcze nie zaczęłaś tych ćwiczeń, które teraz promują klimatyczne świry w USA.

– Jakich ćwiczeń?
– Nie udawaj, że nie wiesz. Po prostu ci się nie chce, bo to trudne.

– Co jest trudne? Gadaj!
– Naprawdę nie wiesz? No przecież są opracowane treningi na przepoń, aby wydychać mniej CO₂.

UWIERZYŁA!!! (Wiem na 100 proc., że uwierzyła, bo dzwoniła potem do krewnej na Florydzie i wypytywała o szczegóły).

Moje obowiązki jako ojciec chrzestny traktuję poważnie. Jestem w życiu Chrześniaków jak ostatni szaniec toksycznego maskulinizmu. Biorę ich na ryby, na haczyk nadziewamy żywe robaki, nie zabieramy podbieraka, tylko dzidę lub tłuczek, i nie wypuszczamy złapanych rybek z powrotem do wody. Po udanym połowie każdy musi samodzielnie oprawić to, co złapał, i w tym celu dostaje do ręki ostry nóż myśliwski, czasem sprężynowy, a jeszcze innym razem bagnet. Przy okazji robimy sekcję zawartości wewnętrznej ryby, co się potem przydaje na różnych lekcjach w szkole. Uważam, że to wychowawcze.

Podobnie wychowawczy był kopert – zawierał jeden banknot poniżający. Każdy banknot wyższy niż 100 jest świadectwem poniżenia waluty i narodu przez sprawujących władzę. Nie chodzi o banknoty pamiątkowe i kolekcjonerskie, lecz o zwyczajne obiegowe

powszechnego użytku. W USA istnieją banknoty 500 dol., można też znaleźć milion dolarów w jednym papierku, ale w obiegu są maksymalnie stówki.

W Polsce pierwsze poniżenie nastąpiło w roku 1994, gdy wprowadzono banknot 200 zł. Odpowiedzialne za tamto poniżenie narodu i waluty było PSL (premier Waldemar Pawlak). Banknot 500 zł wprowadzono do obiegu w roku 2017, pod koniec rządów Beaty Szydło z PiS. Poniżenie polega na tym, że skoro w roku 1994 do normalnych transakcji w sklepie wystarczał banknot 200 zł, a 23 lata później w normalnym obiegu potrzebny jest banknot o wartości 500 zł, to znaczy, że w tym czasie siła waluty spadła dwa i pół razy. I liczenie moje jest łaskawe, bo nie biorę pod uwagę tego, że coraz mniej transakcji wykonujemy gotówką, czyli banknoty stosujemy do transakcji coraz drobniejszych – na coraz mniejsze zakupy. Gdyby z walutą było wszystko w porządku, powinny wystarczać banknoty o nominale 100 zł. Tymczasem PiS zapowiada wprowadzenie banknotu 1000 zł.

Degradację waluty pomiędzy rokiem 1994 a 2023 powodowały wszystkie siły sprawujące władzę, od lewa do prawa. Władza ma dbać o stabilną walutę. Żadna partia tego nie robi, więc WSZYSCY WON. Porządną władzę poznamy po tym, że zaczną wycofywać banknoty wyższe niż 100 zł (bo nie będą potrzebne do życia), ale jednocześnie nie będą wycofywać gotówki, lecz ją

popierać. Promowanie operacji bezgotówkowych to działanie na szkodę obywateli, bo z każdej transakcji bezgotówkowej prowizję dostaje jakiś bank, czyli dwaj obywatele dokonujący tej transakcji tracą – każdy z nich taci kawałek swoich pieniędzy na rzecz banków pobierających opłaty od transakcji bezgotówkowych.

Kupujesz książkę za 100 zł. Gdy płacisz kartą, z twojego rachunku znika 102 zł, a na rachunku księgarni pojawia się tylko 98 zł. Każda władza, która promuje transakcje bezgotówkowe, jest władzą wredną, wyrodną i działającą przeciw obywatelom. WON.

Chrześniak dostał kopert zawierający poniżający banknot PiS o nominale 500 zł. Wiem, że to za dużo, ale na tym to miało polegać, aby się chłopak nauczył zastanawiać, co się robi z większymi pieniędzmi. Drobne kwoty nie są szanowane i człowiek je wydaje szybko i byle jak. Ale gdy się trafi gruba forsa, to warto się mocno zastanowić, co z nią zrobić.

Ojcu Chrześniaka dałem prawo weta, gdyby pomysł chłopca były nieodpowiednie.

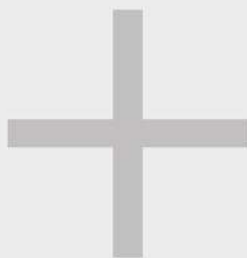
Chrześniakowi postawiłem warunek, że nie może tej forsy wydać na nic, co kosztuje mniej niż 500 zł, czyli ma wydać całość w jednym kawałku. To oznacza, że najprawdopodobniej będzie musiał jeszcze dołożyć ze swoich. A zatem kupi coś solidnego typu komputer lub korepetycje do matury, a może nas wszystkich zaskoczy i kupi coś rodzicom lub dorzuci się do opon zimowych, gdyby usłyszał w domu rozmowę na ten temat.

Liczę na rozwój odpowiedzialności w kierunku „młody mężczyzna”, a nie ciągle mały chłopiec. Być może się przeliczę i stracę 500 zł. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



~~492~~zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER:

„MISTRZOWIE POLSKIEGO
KABARETU”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

215,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 277zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl e4ba89c5d2



TANI
PARKING



WYGODNY
DOJAZD



DARMOWY
BUS

LOTNISKO
WARSZAWA-RADOM

DO EGIPTU BLIŻEJ Z RADOMIA

KOMFORT NA STARCIE

LEĆ NA [ANEXTOUR.COM.PL](https://anextour.com.pl)

anex | 

